

W. E. D. Ross

Koniec lata

Przełożył Jarosław Szostak

Droga od zjazdu z autostrady w Kennebunk do miasteczka Kennebunkport to niecałe dziesięć minut jazdy, ale dla Jennifer Bruce, ślicznej dwudziestojednoletniej blondyneczki, była to niezwykła podróż ze świata ponurej rzeczywistości do czegoś w rodzaju baśniowej krainy. Gdy jej żółty samochód zabębnił kołami na drewnianym mostku, który wiódł ponad rzeką ku rynkowi miasteczka, rozrzewniły i zachwyciły ją swoim widokiem, szczelnie do siebie przytulone kamieniczki, siedziby najrozmaitszych przybytków i sklepów, od księgarń z tanimi książkami po małe prowincjonalne kawiarenki, które zapraszały do swych wnętrz prostymi, niewyszukanymi szyldami.

Za rzeką po lewej stronie sterczała wśród budynków wieża kościoła unitariańskiego, który Jennifer wielokroć miała okazję podziwiać na obrazach, bo artyści malujący Kennebunkport upodobali sobie nadzwyczaj ten kościół. Na wprost, na tle innych domów odbijał nowoczesny, ceglany budynek apteki oraz wiekowy gmach mieszczący galerię sztuki, oblepiony mnóstwem tabliczek i strzałek, na których odręcznie wykonane napisy i malunki odsyłały w różnych kierunkach do różnych innych obiektów. Były między nimi tabliczki wskazujące drogę do Leśnego Gniazda, do hotelu Kolonia i do Teatru w Kennebunkport.

Ot, właśnie, Teatru! Dla Jennifer był to ten najważniejszy obiekt. Cel jej podróży. W tym sławnym teatrze, w gronie zawodowych aktorów, miała odbyć praktykę.

Starannie wybrała właściwą uliczkę, którą jej samochód wspiał się szybko na mały pagórek. Blisko szczytu, przy skrzyżowaniu, stał stary i piękny, podparty białymi kolumnami dom, który zdawał się przegradzać uliczkę. W istocie jednak uliczka nie była ślepa, o czym Jennifer przekonała się, gdy podjechała bliżej domu – zobaczyła tam kolejny drogowy znak, który szukających teatru kierował w lewo. Posłusznie skrzyła w otwierającą się po lewej drogę. Jechała nią kilka dobrych minut, potem następny znak kazał jej skrzyć ponownie w lewo. Dróżka skończyła się po chwili jazdy obszernym parkingiem; duża czerwona buda, miejsce przedstawień, wznosiła się nie opodal. Na jej tyłach, na łące, stłoczono kilka przybudówek, gdzie mieszkali aktorzy, obsługa techniczna i goście-stażyci.

Z przejściem chłoneła oczami ten duży, długi budynek. Był prosty i w gruncie rzeczy nieefektowny, jego regularne kształty urozmaicały jedynie tarasy – czołowy i dwa boczne – a jednak – budził on w Jennifer dreszczyk emocji. Kilka osób stało w rzędzie do kasy, gdzie zapewne sprzedawano bilety na jakieś przyszłe przedstawienie. Była zaledwie połowa czerwca, a teatr nie otwierał podwoi wcześniej niż 4 lipca. Zwykle dopiero w tygodniu, w którym przypadało amerykańskie narodowe święto, okoliczne letniska zapełniały się ludźmi i teatr zaczynał tętnić życiem.

Ominęła samochody pozostawione przez amatorów biletów i zajechała przed trzypiętrowy żółty budynek, który opisano jej w liście od właściciela teatru. To w nim mieszkała większość młodych adeptów sztuki, i to w nim Jennifer miała spędzić najbliższe jedenaście tygodni.

Jedenaście tygodni. Tyle czasu w zespole zawodowych aktorów, tyle czasu w

towarzystwie uznanych artystów. Szczęście wypełniało jej młode serce na tę myśl. I jakże się dziwić temu sercu, że było szybciej i gorliwiej w tej chwili, skoro właśnie spełniało się jej najgorętsze pragnienie.

Jennifer urodziła się i wychowała w Danvers, małej miścinie niedaleko Bostonu, i kiedy skończyła średnią szkołę, długo musiała upraszać swojego ojca, który przez całe życie był księgowym, by pozwolił jej zapisać się do Emerson College na aktorstwo dramatyczne. Zresztą nie tylko ojciec, ale i matka miała wiele wątpliwości co do tego nierozważnego, jej zdaniem, kroku. A jednak jakoś Jennifer udało się udobruchać ich oboje.

Od tamtego czasu minęły trzy pracowite lata w murach Emersona i wiele już wiedziała o tym, co to znaczy być aktorką. Pragnienie, by poświęcić życie teatrowi, nie osłabło; ba, nawet przybrało na sile. Zdobyła dyplom, który upoważniał ją do nauczania aktorstwa na poziomie szkoły średniej, a w jej rodzinnym miasteczku czekała na nią posada do objęcia z początkiem roku szkolnego. Tymczasem jednak skorzystała z tej sposobności, by samej popraczkować w Kennebunkport. Wiedziała, że nie będzie z tego pieniędzy, że wszystko, czego może oczekiwać, to pokój i wyżywienie. Mogła tu jednakże nabyć wiele cennego doświadczenia, a nawet, przy odrobinie szczęścia, dostać kilka niewielkich ról w wystawianych tu co tydzień profesjonalnych inscenizacjach. To się dla niej liczyło najbardziej, bo udany występ w takiej roli zawsze może, marzyła po cichu, zaowocować dalszymi rolami w zawodowych teatrach albo i poważniejszymi propozycjami. Wiadomo, że wiele zespołów aktorskich daje próbne przedstawienia w takich letnich teatrach jak ten i że na takich przedstawieniach z reguły bywają producenci, którzy zamierzają je przenieść na Broadway. I zdarza się nieraz, że taki producent wypatrzy talent, który wyda mu się bardzo odpowiedni do jakiejś roli – i młody aktor łąduje na Broadwayu z kontraktem, o jakim mu się nie śniło.

To było oczywiście tylko marzenie, ale jedno z tych marzeń, których za nic na świecie nie potrafiłaby się wyrzec. Była co prawda gotowa pogodzić się ze skromniejszym losem i przez kilka lat pouczyć w szkole, ale najpierw, zanim zdecyduje się w życiu na coś trwałego, chciała spróbować swych sił jako aktorka – w teatrze, • w telewizji lub w kinie. Jej rodzice byli ludźmi starej daty, a ona była ich jedyną córką. Jakże ciężko im przyszło dać zgodę na ten wyjazd do Emersona, a potem na to, by wespół z trzema innymi studentkami wynajęła pokój przy Alei Wspólnoty Cygańskiej. I tej letniej eskapadzie do Kennebunkport też pewnie byliby przeciwni, gdyby nie to, że sami spędzili tam niejedno lato i dobrze znali to niezwykle miasteczko. Ojciec studiował swego czasu z właścicielem Leśnego Gniazda, stąd rodzina Bruce'ów często wypoczywała tam przez część wakacji.

Podjechała pod wejście tego wielkiego żółtego budynku, omijając przyległy doń parking, na którym odpoczywała gromadka sfatygowanych samochodów i kilka moto, cykli. Wyglądało na to, że większość pracującej przy teatrze młodzieży posiada własne środki lokomocji. No i dobrze, pomyślała Jennifer. Rodzice zapobiegliwie napomnieli ją, aby nie brała za dużo osób do samochodu i żeby nie dawała się wyciągać na żadne wariackie jazdy. Oświadczyli jej też, że planują wpadać do Leśnego Gniazda w niektóre weekendy, a więc będą zaglądać na przedstawienia w teatrze – i mieć na nią oko.

Wcale jej to zresztą nie martwiło. Grunt, że dostała ten angaż i że miała przed sobą całe

lato życiowej szansy. Kiedy wysiadła z samochodu i ruszyła po schodkach do pensjonatu, na jej twarzy gościł wyraz radosnego oczekiwania.

Zapukała do drzwi. Po chwili po ich drugiej stronie pojawiła się mamuciej iście postury kobieta w drukowanej sukience, która przyjrzała się jej badawczo przez szybę. Miała siwe włosy i owalną twarz matrony.

– Słucham? – rzekła, już tym pierwszym słowem zdradzając swe pochodzenie. Tylko rodowici mieszkańcy Maine tak nosowo przeciągają samogłoski.

– Nazywam się Jennifer Bruce – przedstawiła się Jennifer. – Należę do grupy stażystów. Pan Roger Deering powiedział mi, że będę tu mieszkać.

– Zgadza się – potaknęła bez entuzjazmu olbrzymia matrona. – Przyjechała pani ostatnia. Mam was tu w bród, więc będzie pani musiała się wprowadzić tam, gdzie zostało jeszcze miejsce.

– Nie jestem z tych grymaśnych.

– Bogu dzięki. Tu się nie grymasi, moja pani. Niech pani zaparkuje auto tam gdzie wszyscy i przyniesie bagaże. Pokażę pani, gdzie jest pani pokój.

– Dziękuję.

Cała rozmowa odbyła się przez drzwi.

Jennifer wróciła do samochodu i cofnęła go na parking, gdzie szybko znalazła dlań odpowiednie miejsce. Jej bagaże, w postaci dwu masywnych marynarskich worków, leżały na tylnym siedzeniu.

Z ciężkim westchnieniem wydobyla je z auta i potykając się zaczęła je nieść w stronę pensjonatu. Towary były tak ciężkie, że aż przyginały ją do ziemi. Znajdowała się już blisko frontowych drzwi, gdy zauważyła otyłego młodziana z szopą niesfornych czarnych włosów, który zmierzał w tym samym kierunku. Miał nalaną twarz o piwnych, sennie zmrużonych oczach i niemal, uroczystą minę.

Gdy tylko ujrzał Jennifer, podszedł natychmiast i grzecznie zapytał:

– Czy mogę ci zanieść te worki? Wydają się ciężkie. Uśmiechnęła się. – Bo są ciężkie! Ale to jeszcze nie powód, żeby cię nimi objuczać.

Zaśmiał się uprzejmie. – Kiedy zwyczajnie mam ochotę zaofiarować ci trochę staroświeckiej galanterii. Mogę? – Wskazał worki.

– Skoro tak, to dobra – zgodziła się i zamrugała oczyma z niedowierzaniem. Opuściła worki na ziemię, a on natychmiast się po nie schylił.

– Przyjechałaś na praktykę? – zagadnął.

– Tak.

– To tak jak ja. Jestem Randy Scott. W szkolnym teatryku szło mi niezgorzej, a w zeszłym miesiącu straciłem robotę na stacji obsługowej w moim miasteczku. No i postanowiłem spróbować aktorstwa.

– To chyba dobre miejsce na stawianie pierwszych kroków.

– Mnie się musi powieść jeszcze tego lata – oświadczył poważnym tonem. – Skąd jesteś?

– Z Danvers. Studiowałam na Emersonie.

– Słyszałem o tej budzie – powiedział, otwierając sobie drzwi. – Ja jestem z takiego

małego miasteczka w Vermont.

– Lubię Vermont – rzuciła podążając jego śladem. Randy postawił worki na pokrytej linoleum podłodze holu.

– Pochodzę z Wilmington.

– Przejeżdżałam tamtędy kiedyś, jak jechaliśmy całą rodziną na wakacje – rzekła. – Jest tam taki dom towarowy z wielkim szyldem, przy skrzyżowaniu.

– Zgadza się – potwierdził, zachwycony, że spotkał kogoś, kto zna jego rodzinne miasto.

– Izaak i Spółka.

Skinęła głową. – Tak, właśnie tak. Ładnie tam.

– Pełno gór dokoła. Ale tu też mi się podoba. Zawsze lubiłem morze.

– Jasne, to przecież nadmorskie lotnisko.

– Ta chałupa to nie Grand Hotel, nie bądź zaskoczona – ostrzegł ją. – A na dodatek jest tu okropny tłok.

– Spodziewałam się tego.

– Ale to fajna paczka.

– I o to przede wszystkim chodzi.

– Mamy teraz kupę roboty.

– Co robicie?

– Ja chcę grać • – westchnął. – A na razie maluję dekoracje.

Roześmiała się. – Jesteś na dobrej drodze.

– Mogłaby być lepsza. Gram trochę na gitarze.

– Dobry sposób na rozrywkę.

– Grywam tylko tak, dla siebie. Pani Thatcher wie o twoim przyjeździe?

– Tak. Dopiero co z nią rozmawiałam.

Rozejrzał się po holu. – Powinna tu gdzieś być. Chociaż nie, akurat zbliża się pora kolacji, a ona pracuje również w kuchni. Jest wdową, sama zarabia na życie, dlatego latem zawsze prowadzi tu kwatery dla przyjezdnych. Ten pensjonat daje jej utrzymanie. Prowadzi też bufet, a po przedstawieniach w teatrze otwiera bar dla publiczności. To w tym budynku koło teatru, przy drodze.

Jennifer była pełna podziwu. – Chyba urabia sobie ręce po łokcie.

Jej korpulentny towarzysz przystanął z workami u stóp schodów i zawołał:

– Pani Thatcher!

Z półmroku korytarza wyłoniła się potężna matrona w drukowanej sukience.

– A, to pani – rzekła. – Musicie iść na ostatnie piętro. Pokój numer dziesięć.

Randy pokiwał smętnie głową. – Mogłem się domyślić, że to będzie ostatnie. Idź za mną

– zwrócił się do Jennifer.

Poczuła się głupio z powodu tych worków.

– Daj, wezmę jeden – zaproponowała.

– Nie, dwa będzie mi łatwiej nieść – zapewnił i zaczął się pierwszy wspinać po schodach.

Jennifer ruszyła za nim. Już na pierwszym piętrze jej usługowy znajomy ciężko dyszał. Nie umknęło to jej uwagi i zrobiło się jej jeszcze bardziej głupio. Zdawała sobie sprawę, że przy

jego tuszy musi go to kosztować niemało wysiłku.

Ale jakoś dotarli na to ostatnie piętro. Nad nimi był już tylko jeden strop i dach. Zauważyła, że gdzieś tam sufit jest wcięty, a mury skłaniają się do środka.

– Numer dziesiąty jest tam po lewej! – wysapał Randy.

– Jesteś wykończony! – okazała mu współczucie.

– Wyjdzie mi to na dobre.

Podeszli do otwartych drzwi przy końcu korytarza, za którymi znajdował się obszerny pokój z trzema łóżkami. Wyszła im na spotkanie im wysoka, szczupła blondynka w czerwonym bikini. Miała gładką, oliwkowej barwy skórę, która czyniła jej urodę jeszcze bardziej wyzywającą. Zdawała się odznaczać wszystkimi cechami tak uwielbianych przez chłopców nadających piękności.

– Cześć, Spaślaczku! – przywitała Randy'ego. – Wprowadzasz się do nas? Bomba!

Randy przeszedł koło niej i z ulgą – złożył worki na podłodze. Z tylnej kieszeni swoich wytartych dzinsów wyjął chusteczkę i wytarł spocone czoło.

– To wasza nowa współlokatorka – poinformował.

– Jak babcię kocham – zaklęła seksbomba w czerwonym bikini, przypatrując się Jennifer z nie tajonym zaciekawieniem. – Wyglądasz na jedną z tych wymuskanych idealistek.

– Jeżeli sprawa tego wymaga – uśmiechnęła się Jennifer – potrafię być twarda. Ale nie proszę mnie, żebym z wami robiła strajk głodowy. Nie piszę się na takie rzeczy, to by mi zrujnowało figurę.

Randy spojrział na nią z sympatią. – Chyba już dasz sobie radę. To jest Sybil March, trochę pozuje na gwiazdę. A ta wyciągnięta jak długa na łóżku to Helen Murray, najlepsza aktorka pośród stażystek.

– Dziękuję, Spaślaczku, za komplement! – z łóżka, które kryło się częściowo za otwartymi wciąż drzwiami, doleciał ich pogodny głos. Równocześnie zza drzwi wyjrzała komiczna, choć pełna jakiejś zadumy czy tęsknoty twarz, okolona ogromną grzywą kędzierzawych rudych włosów. Nie była to brzydka twarz, ale i z całą pewnością nie piękna.

– To na razie – rzucił Spaślaczek i wyturlał się z pokoju.

– Ty naprawdę jesteś nieśmiały, Spaślaczku, coś mi się zdaje! – zawołała za nim Sybil Seksbomba, wspierając się ręką na własnym kształtnym udzie.

Ruda brzydula usiadła na łóżku i zlustrowała Jennifer wzrokiem. Miała na sobie zwykłe bawełniane szorty i biały staniczek bez zapięć. Jak większość rudzielców, została przez naturę obdarzona skórą o mlecznobiałej karnacji, która łatwo ulega działaniu promieni słonecznych; ramiona i ręce Helen były spieczone słońcem do czerwoności.

– Jak się nazywasz? – zapytała Helen.

– Jennifer Bruce. – Od pierwszej chwili Jennifer była dziwnie pewna, że tę rudą polubi dużo bardziej niż brunetkę.

– To jest nazwisko dla gwiazdy – zachwyciła się Helen. – Twoje prawdziwe?

– Tak.

– Szczęściara. Wiesz, jakim nazwiskiem mnie los obdarzył? Meritzky. Ładna mi wizytówka, co? Dlatego sobie wymyśliłam pseudonim artystyczny: Helen Murray.

Podeszła do nich Sybil, żeby włączyć się do rozmowy. Ze znudzoną miną nadąsana piękność zapytała:

– Robiłaś już coś w teatrze? Masz praktykę?

– Skończyłam aktorstwo dramatyczne w Emerson College – odpowiedziała Jennifer. – Mam dyplom nauczycielski i posadę w szkole od jesieni. No i, oczywiście, grałam całe lata w szkolnych teatrach.

– Nauczycielka! – prychnęła brunetka, jakby to słowo przepelniało ją obrzydzeniem. – Kółko teatralne! Ty to nazywasz praktyką?

– Ależ zadzierasz nosa! – obruszyła się Helen. – A ty czego takiego wielkiego dokonałaś?

Sybil butnie uniosła czoło. – Skończyłam Amerykańską Akademię Sztuki Dramatycznej, mieszkam i pracuję w Nowym Jorku. Ostatnio jako modelka.

Helen aż podskoczyła na łóżku, a na jej szczerzej twarzy odbiły się rozbawienie i irytacja.

– Modelka! Dobre sobie! – Odwróciła się do Jennifer i wyjaśniła: – Powiem ci, na czym polega jej praca. Chałturzy w domach towarowych jako manekin. Asystentka demonstratora. Wiesz, jak to wygląda: jednego tygodnia jest Miss Foto i pstryka sobie z klientami pamiątkowe zdjęcia, a ^następnego demonstruje w kuchni działanie nowego przemysłnego obieracza do kartofli.

– No i co z tego, do tego też trzeba aktorskiego talentu – warknęła Sybil, zła jak osa. – Za to nie musiałam sobie zmieniać nazwiska.

– Ja też bym nie zmieniała, gdybym robiła to, co ty – odparła Helen z komicznie groźną miną.

– A co robisz? – wtrąciła się Jennifer.

– Byłam przez rok w Akademii Królewskiej w Londynie. Rzuciłam college i pojechałam na studia do Anglii. Dlatego teraz specjalizuję się w brytyjskim akcencie. Zrobiłam parę reklamówek dla telewizji, poza tym obracałam się w malutkich półprofesjonalnych trupach w Nowym Jorku.

Sybil uśmiechnęła się złośliwie. – Grają w suterrenach, na takim odludziu i tak głęboko pod ziemią, że nikt ich nie może znaleźć.

– Wolnego, mój Kartoflany Manekinie. Nie przypominam sobie, byśmy cię angażowali na krytyka teatralnego.

Jennifer rozbawiło to starcie między rudą i brunetką. To były dwa diametralnie różne charaktery. Wydawało się jej jednak, że da się z nimi wytrzymać.

– Mam nadzieję, że się pomieścimy.

– Nie przejmuj się – odrzekła ruda. – Wszystkie pokoje są takie pełne. Prawie w każdym muszą mieszkać trzy osoby, bo zakwaterowano tu z nami część ekipy z teatru. Łazienka dla tego piętra jest po drugiej stronie holu i zawsze lepiej ustawić się w kolejce wcześniej rano, bo jak nasza koleżanka Sybil się’ do niej dorwie, to okupuje ją zwykle przez okrągłe pół godziny.

– Jestem przyzwyczajona do tego, że mam własną łazienkę – powiedziała Sybil.

– I służących – zakpiła Helen. – I całą ubieralnię wyłącznie dla siebie.

– A tak, moi rodzice mi to zapewniali – odparła Sybil ze złością wydymając wargi. – Ten

pobyt tutaj to z mojej strony poświęcenie dla sztuki!

Helen skrzywiła się i rozłożyła bezradnie ręce, zwracając się do Jennifer:

– Może łatwiej byłoby się przyzwyczaić do dzielenia pokoju z żoną senatora.

Sybil też zwróciła się do Jennifer, i to nadspodziewanie przyjaznym tonem, jakby odezwała się lepsza część jej natury:

– Mogę ci pomóc przy rozpakowaniu? Jak chcesz, to weź sobie to łóżko przy oknie.

– Dzięki – odrzekła Jennifer. – Myślę, że poradzę sobie sama. Tyle że powinnam się do tego zaraz zabrać. Niebawem ma być kolacja.

– Owszem – potwierdziła Helen i na powrót zasiadła na swoim łóżku. – A o siódmej, mamy próbę.

– Ciekawa byłam, czy już zaczęliście. – Jennifer zataszczyła jeden z worków na łóżko pod oknem i wzięła się do rozpakowywania. – Co gracie na początek?

– „Tylko bez seksu, proszę – jesteśmy Brytyjczykami” – odrzekła Helen. – Taka dość zabawna komedia. W reżyserii Rogera Deeringa i z Donaldem Winterem, reporterem brytyjskiej telewizji, gościnnie jako gwiazdą. I, ma się rozumieć, z Timem Moore’em, który normalnie gra tu główne role. Naprawdę pokaże się dopiero w drugim przedstawieniu. To będzie „Pogoda ducha” Noela Cowarda. Moore zawsze był tu pierwszym aktorem.

– A ja i Helen dostałyśmy role – dorzuciła Sybil.

– Brawo! – ucieszyła się szczerze Jennifer, szukając w szafce wieszaków na parę swoich sukienek.

– Rólki właściwie – poprawiła koleżankę Helen. – Ja mam kilka zdań do powiedzenia, a Sybil głównie eksponuje swoją figurę. Ale, w każdym razie, będzie przy tym trochę zabawy.

Sybil spadła jak sęp na żółty jednoczęściowy kombinezon, który Jennifer wydobyła właśnie z drugiego worka.

– Ale cudny! Poezja! Na dodatek mamy prawie taki sam rozmiar. Pozwolisz mi to kiedyś ponosić?

Jennifer nie była pewna, czy to dobry pomysł, ale nie chciała z tego powodu psuć atmosfery zaraz po przyjeździe. Powiedziała więc:

– Pewnie pozwolę, o ile naprawdę będzie pasował. Jestem niższa od ciebie.

– Tylko troszkę! – zapewniła Sybil, przymierzając się do kombinezonu, aż wreszcie porwała go przed jedyne w tym pokoju lustro i zaczęła się z wszystkich stron oglądać.

Helen zrobiła znużony gest ręką.

– Już wiesz, dlaczego była taka skora do pomocy. Interesują ją ciuchy. Cudze!

Jennifer uwinęła się szybko z rozpakowaniem rzeczy, a potem wybrała się do służącej całemu piętrowemu łazienki, by się odświeżyć po podróży.

Gdy wróciła, Sybil miała już na sobie ciemne luźne spodnie i białą bluzeczkę. Helen czekała przy drzwiach.

– Będziemy cię eskortować do jadalni – oznajmiła. – Chyba siądziesz przy naszym stole, nie? Powiem, żeby ci dostawili krzesło.

– To najlepszy stół w jadalni – objaśniła ją Sybil. – Siedzimy przy dużym oknie ze storą, a musisz wiedzieć, że przy upalnej pogodzie w jadalni robi się bardzo gorąco.

– No i siedzą z nami chłopcy. – Helen puściła do Jennifer oczko. – Jednego z nich już znasz, to Spaślaczek. Oprócz niego jest jeszcze taki dryblas z Bostonu nazwiskiem Peter Bayfield i Buddy Phillips.

– Buddy to facet jak marzenie – rzekła Sybil z uniesieniem, gdy cała trójka ruszyła po schodach w dół.

– O! – okazała zainteresowanie Jennifer.

– Jest synem, i to jedynakiem, zamożnego hotelarza – jęła jej tłumaczyć Helen, zniżywszy głos. – Mają sieć knajpianych teatrów, gdzie można zjeść kolację, napić się, a potem w tej samej sali gratis obejrzeć sobie przedstawienie. Buddy przyjechał tu uczyć się produkcji. Aktorstwo go nie interesuje, chociaż jest przystojny i mógłby na pewno być aktorem.

– Ale jest za młody i nikt się nim serio nie interesuje – powiedziała Sybil swym wyniosłym tonem.

– Akurat, bo to mało razy widziałam, jak próbowałaś zwrócić na siebie jego uwagę – zareagowała na to ruda Helen. – Ma mniej więcej tyle lat, ile my: dwadzieścia jeden albo dwadzieścia dwa.

– Wołę starszych mężczyzn – odparła sucho Sybil.

– A ja bym wzięła cokolwiek, byle było płci. męskiej i nie uciekło na drzewo – oświadczyła jej Helen.

Dotarli na parter i przeszli do wielkiego pomieszczenia, gdzie czekały na nich okrągłe stoły z obrusami w czerwonej kratce. Helen posadziła ją przy stole pod oknem. Zajmował tam już miejsce Randy, który na widok dziewczyn natychmiast wstał. Młodzieniec, który siedział obok niego, poszedł za jego przykładem. Był wysoki, miał płowe włosy i szczupłą twarz, którą rozjaśniał ładny, ujmujący uśmiech.

– Zaraz przyniosę krzesło – zaofiarował się ów młody człowiek i odwzajemnił przyjazne spojrzenie Jennifer. Natychmiast też opuścił stół, by spełnić obietnicę.

Jennifer nie miała najmniejszych wątpliwości, że był to ten osławiony Buddy Phillips, który przyprawiał dziewczyny z zespołu o przyspieszone bicie serca. Nietrudno było jej zrozumieć, dlaczego.

Buddy Phillips powrócił z krzesłem dla Jennifer i ustawił je między sobą a Randym. Uśmiechnął się i oznajmił:

- Kazałem kelnerce przygotować dla ciebie nakrycie.
- Dziękuję – ‘ – odrzekła i usiadła. Sybil i Helen już siedziały na swoich miejscach.
- Ty jesteś tą nową dziewczyną – stwierdził raczej, niż zapytał Buddy.
- Tak. Jestem Jennifer Bruce – przedstawiła się, a potem dorzuciła kilka zdań o sobie.
- Powinno ci się tu spodobać – mówił z ożywieniem Buddy. – I zapewne będzie to dla ciebie dobra praktyka. Roger Deering grywał swego czasu z największymi gwiazdami, a reżyserem jest wyśmienitym.

Pokiwała głową. – Słyszałam o nim. Buddy zerknął w stronę innych stołów. ‘

- Jak widzisz, mamy tu pośród praktykantów całą gamę typów ludzkich.

Zlustrowała wzrokiem pozostałe stoły i zauważyła, że część obecnych jest jeszcze młodsza niż stażyści z jej grupy. „ – Niektórzy są nawet dość młodzi – podzieliła się swoim spostrzeżeniem.

– Tak, prosto ze szkół – potaknął. – Dopiero co pokończyli średnie szkoły. Przeważnie służą tu za „przynieś, wynieś, pozamiataj”: biegają na posyłki, sprzedają w kasie i tak dalej. Nasz stół to starsza grupa wiekowa. A ci inni to oczywiście personel techniczny: pracownicy fizyczni, elektrycy, rekwizytorzy, dekoratorzy.

Spostrzegła, że ta grupa, w której skład wchodziłi głównie dorośli w bardziej dojrzałym wieku, zachowywała w stosunku do innych pewien dystans. Przesadą byłoby powiedzieć, że się izolowali; po prostu stoły zajmowane przez młodszych zdawały się ich zupełnie nie obchodzić. Mieli własne sprawy i własne rozmowy. Poza tym, ostatecznie, byli – zawodowcami, opłacanymi za swoją pracę, w przeciwieństwie do nieopierzonych praktykantów kwaterujących u pani Thatcher.

– Widzę, że nawet tutaj istnieją podziały klasowe. Jakbyśmy byli pośród nietykalnych – zauważyła.

– Nie jest aż tak źle – roześmiała się. – Personel odnosi się do nas bardzo życzliwie. Zawodowi aktorzy zresztą na ogół też.

- Gdzie oni mieszkają?

– W domu po drugiej stronie teatru. Wszyscy z wyjątkiem Rogera Deeringa i gwiazd. Roger umieszcza swych słynnych gości w Zagrodzie. Zagroda to taki przyjemny zajazd nad rzeką, przy szosie. On sam zaś mieszka w willi” nie opodal” zjazdu.

- Pracujesz z personelem?

– Tak.

Tu powtórzył jej o sobie to, co wiedziała już od Helen: że interesuje go tylko to, by poznać tajniki teatralnej realizacji i wykorzystać tę wiedzę na posadzie, którą obiecał mu ojciec – jako kierownik kilku teatrów mających za siedziby należące do ojca hotele.

Usługująca im panienka nakryła dla Jennifer, a po chwili na stole pojawiło się kilka

niewymyślnych, smacznych dań. Tutejsze wyżywienie było mniej więcej takie samo na co dzień i od, święta, jak wyjaśniono Jennifer. Opiekany łupacz – ryba, która stanowiła tego wieczoru zasadnicze danie – smakował jej w każdym razie nadzwyczajnie.

Helen uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Jak widzę, nie trzeba was już sobie przedstawiać.

– Już się tym zajęliśmy – zapewnił ją Buddy. Przez naburmuszoną twarz Sybil przemknął cień uśmiechu.

– Jennifer chce grać, musimy więc liczyć się z dodatkową konkurencją.

Randy wydał stłumiony chichot. – Dla ciebie w tym bikini, złotko, to ona żadną konkurencją nie będzie.

Sybil wyduła wargi. – Noszenie bikini to nie jedyne, co potrafię, Spaślaczku!

– Spaślaczek ma rację! – poparła Randy’ego Helen. – To robisz najlepiej!

Buddy, chcąc ugłaskać brunetkę, rzekł do Jennifer:

– Helen i Sybil grają w pierwszym przedstawieniu. Są świetne.

– Tylko małe rôle – zauważyła Helen, upijając łyżeczkę kawy z filiżanki.

– Ale jesteście do nich bardzo odpowiednie, a o to chodzi – rzekł na to Buddy.

– Sęk w tym, że ta sztuka była już na Broadwayu, i to zaledwie w zeszłym roku. Jaki producent, czy choćby łowca talentów, przyjedzie ją tutaj zobaczyć? – lamentowała Sybil.

Jennifer zwróciła się znów do Buddy’ego:

– O ile dobrze zrozumiałam, o siódmej jest próba. Chciałabym się spotkać z Rogerem Deeringiem i dać mu znać, że już jestem. Gdzie mogłabym go znaleźć?

– W teatrze właśnie. Będzie robił próbę na scenie, bo przecież w przyszły poniedziałek otwieramy sezon. Zazwyczaj siada z brzegu w którymś ze środkowych rzędów.

– Będę pamiętała.

– I na ogół zachowuje się bardzo przyjaźnie. Czasem można jednak trafić na jego gorszy humor, gdy jest czymś podenerwowany. Wtedy lepiej go unikać.

Gdy skończyli kolację, poszli wszyscy razem zaczerpnąć łyk świeżego powietrza. Spacerowali kilka minut, nie oddalając się zbyt od pensjonatu. Był ciepły czerwcowy wieczór, w ogródku przy żółtym budynku bujnie i kolorowo kwitły kwiaty. Potem zaczęli wolno zmierzać ku czerwonej budzie teatru. Jennifer poczuła mały niepokój, nie była bowiem pewna, jak przyjmie ją znany reżyser.

Weszła do teatru bocznymi drzwiami, które wychodziły na przyległy bufet. Gdy tylko zamknęła je za sobą, odgrodziwszy się w ten sposób od światła zachodzącego słońca, ogarnął ją półmrok wnętrza i to znajome uczucie przyjemnego podniecenia, którym napełniał ją każdy teatr. Przez chwilę stała przy drzwiach, próbując się zorientować, dokąd powinna skierować kroki.

Scena znajdowała na lewo, już oświetlona, choć aktorów jeszcze nigdzie nie było widać. Dekoracje już ustawiono. Przedstawiły gościnny pokój, w pełni umeblowany, z przepierzeniem w tylnej części, przysłaniającym w połowie kuchnię. Na scenie krzątał się Buddy.

Na widowni w jednym ze środkowych rzędów krzesel siedział człowiek, którego –

sugerując się tym, co jej powiedziano – uznała od razu za Rogera Deeringa. Trochę niezdecydowanie ruszyła ku niemu między rzędami.

– Dobry wieczór – zaczęła.

– Dobry wieczór – odpowiedział przyjaźnie.

Był przystojny, na oko sądząc – dobiegał czterdziestki. Miał klasyczne, regularne i ostre rysy, które pozwalały łatwo domyślić się w nim aktora.

– Chciałam się z panem zobaczyć, zanim zacznie się próba... – Zająknęła się.

– Ze mną?

– Przyjechałam dziś po południu. Nazywam się Jennifer Bruce.

Podniósł się z krzesła; był wyższy od niej o głowę.

– Miło mi cię poznać, Jennifer.

– Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z mojej pracy, panie Deering.

Na jego przystojną twarz wypłynął uśmiech.

– Jestem przekonany, że będziesz dla teatru cennym nabytkiem. Jest tylko jedno małe ale: ja nie jestem Rogerem Deeringiem.

Z miejsca poczuła się jak skończona idiotka.

– Okropnie przepraszam – wybąkała.

– Nie szkodzi – powiedział szybko. – Ktoś ci pewnie powiedział, że tutaj znajdziesz Rogera. Tak się składa, że właśnie na niego czekam, dlatego siadłem w miejscu, gdzie zwykle siada. To nie twoja wina, że się pomyliłaś.

– Dziękuję – uśmiechnęła się nerwowo. – Czułam się przez chwilę bardzo głupio.

– Każdy mógłby się w tej sytuacji pomylić – dodał. – Nazywam się Tim Moore.

Jej oczy rozszerzyły się z wrażenia. – Tim Moore! Gwiazda zespołu!

– Od czasu do czasu – uśmiechnął się skromnie. – Co robiłaś przed przyjazdem tutaj?

Odpowiedziała, a on słuchał z życzliwym zainteresowaniem. Zakończyła pytaniem:

– Jak długo jest pan tu pierwszym aktorem?

– Obawiam się, że jeśli odpowiem, zdradzę mój wiek. – Chrząknął. – Dziesięć lat temu przyjechałem tu po raz pierwszy. W następnym sezonie grałem już główne role.

– O rany, jaki wspaniały sukces – zachwyciła się.

– Zabawa jest tu istotnie przednia. W trakcie zasadniczego sezonu gram jedno, dwa przedstawienia na Broadwayu. Zdarza się, że niektóre sztuki kończą swój sceniczny żywot bardzo szybko. Mam też na koncie udział w kilku kiczowatych serialach telewizyjnych i małe role w kinie.

– Musi pan być dumny ze swojej kariery.

– O nie, to nic wielkiego – zaoponował.

W tejże chwili w przejściu między rzędami pojawiła się kolejna postać o imponującej męskiej urodzie. Mężczyzna był jednak starszy i niższy od Tima, z widoczną skłonnością do tycia, a włosy miał przetykane siwizną. Podeszedł do nich niespiesznym krokiem.

– Rogerze, chciałbym ci przedstawić Jennifer Bruce. Jest tu na stażu, przyjechała dzisiejszego popołudnia.

– Aha, no tak – mruknął Roger Deering. – Wymieniliśmy listy, pamiętam. Twój ojciec

należy do przyjaciół Freda Shorta, właściciela Leśnego Gniazda.

Potwierdziła skinieniem głowy. – Chodził z moim ojcem do collegeu, do tej samej klasy...

– Tak, Fred mi wspominał – wpadł jej w słowo reżyser. Sprawiał wrażenie znużonego. – Wiesz, że Fred ma udziały w naszym teatrze?

– Nie, nie wiedziałam.

– Znaczne udziały. Tym samym jest jednym z tych, którzy finansują to całe przedsięwzięcie. Fred idzie nawet dalej, bo żywo się interesuje tym, co robimy. Mam nadzieję, że będziesz się u nas dobrze czuła.

– Z całą pewnością.

Reżyser otaksował ją fachowym okiem.

– Podoba mi się twoja aparycja. Nim lato minie, będziemy wiedzieli, czy potrafisz go poprzeć talentem i umiejętnościami.

– Mam taką nadzieję – zaczerwieniła się.

– A na razie: potrzebujemy akurat suflerki. Nie widzę powodu, byś nie miała się tym zająć. Zgłoś się do Kena Chadwicka, kierownika sceny, on ci przekaże egzemplarz tekstu. Będziesz siedziała za kulisami i w razie potrzeby podpowiadała aktorom. Są jeszcze w obsadzie tacy, którym zdarza się czegoś zapomnieć.

– Dziękuję – ucieszyła się, że tak szybko dostała zajęcie.

– Dobra – podsumował swym znużonym tonem reżyser, po czym zakończył rozmowę, odwracając się do Jennifer plecami.

Tim przesłał jej uśmiech otuchy. – Jestem jednym z tych, którym potrzebna będzie twoja pomoc. Z całego serca życzę powodzenia.

– Dziękuję – powiedziała znowu. Oddalając się od nich, usłyszała jeszcze, iż wywiązała się pomiędzy nimi ożywiona dyskusja na temat obsadzenia następnej sztuki. Przypominała sobie, że ma nią być „Pogoda ducha” i że Tim będzie w niej grać główną rolę. Bez wątpienia musiało mu zależeć, żeby obsadę dobrano jak najlepiej.

Z widowni nie było bezpośredniego wejścia na scenę, musiała zatem opuścić teatr tymi samymi drzwiami, którymi weszła, i wspiać się po krótkich schodkach na tyły . sceny. Prawie całą przestrzeń zajmowały tu kabiny, gdzie mieściły się garderoby aktorów. Ich drzwi były w większości zamknięte, ale mimo to Jennifer dochodziły z nich głosy aktorów, ponieważ ścianki kabin nie sięgały dachu. Przy konsolce oświetleniowej, która znajdowała się na prawo od sceny, zastała Buddy’ego, Randy’ego, elektryka oraz wysokiego, chudego jegomościa z łysą czaszką i małymi czarnymi wąsikami. Od razu odgadła, że to właśnie kierownik sceny, miał bowiem w sobie coś z powagi zwierzchnika.

– Pan Chadwick? – zapytała nieśmiało.

– Jestem Ken Chadwick – odrzekł. – Pani ma do mnie sprawę?

– Mam suflerować aktorom. Pan Deering powiedział, że pan mi da egzemplarz sztuki.

– Tak powiedział? – zdziwił się łysy.

– Tak. – Zauważyła, że Buddy i Randy się uśmiechnęli, i elektryk też.

– To muszę pani powiedzieć, młoda damo, że nie zazdroścę pani roboty – oświadczył Chadwick. – Nasz reżyser jest impulsywny i krew go zalewa, kiedy do premiery kilka prób, a

aktorzy zapominają tekstu. A, niestety, faktem jest, że nie wszyscy z obsady zdążyli wejść dobrze w role.

– Przede wszystkim David Winter! – wykrzyknął Buddy. – Wczoraj zjadł aż kilka linijek! Randy pokiwał głową. , – I zmylił Tima Moore’a!

– Już ja wiem najlepiej, jak było – rzekł ponuro kierownik. – Nie musicie mi wcale przypominać.

Sięgnął pod konsolę i wyciągnął stamtąd oprawny, pękaty maszynopis. Wręczył go Jennifer ze słowami:

– Jest cały twój, moja miła.

Podziękowała i rozejrzała się za krzesłem, by usiąść i zapoznać się z tekstem.

Siadła opodal i zabrała się do czytania, lecz nie minęło . pięć minut, gdy podszedł do niej Buddy i powiedział:

– Miej się na baczności, Jennifer. To twój pierwszy wieczór tutaj, nie chciałbym, żeby ci od razu wysiadły nerwy. Staraj się podpowiadać szybko, kiedy tylko ci się wyda, że to potrzebne, i nie daj się zahukać Deeringowi.

– Postaram się. – Uśmiechnęła się nerwowo.

– Wczoraj daliśmy partyturę takiej bardzo młodej stażystce – ciągnął Buddy. – Wybiegła w zupełnej hysterii przed końcem drugiego aktu. Ale dzisiaj nie powinno być źle. Aktorzy na pewno poduczuli się solidnie od wczoraj, przynajmniej większość z nich.

– Obyś się nie mylił – westchnęła.

Buddy już nic więcej nie powiedział, tylko odszedł do swoich zajęć, a ona podjęła lekturę scenariusza.

Z minuty na minutę narastał tumult za kulisami, wkrótce wrzało tam już jak w ulu. Na scenie zaczęli się pojawiać pierwsi aktorzy, aż przyszedł wreszcie także brytyjski gość, Donald Winter, który stanął za kulisą i oddał się pogawędce z Timem. Wyglądał dość żałośnie, wydał się Jennifer przestraszonym i bardzo spiętym człowieczkiem, którego siłą bodaj zmuszono do występu w tej sztuce, z racji tego tylko, że mówi ze starannym brytyjskim akcentem.

– Dobra, bierzmy się do roboty! – doleciał z widowni głos Rogera Deeringa. Reżyser sprawiał wrażenie cokolwiek zniecierpliwionego.

Jennifer podniosła się z krzesła i przeszła za kulisę. Musiała znaleźć sobie miejsce, z którego widziałaby aktorów, nie będąc jednocześnie widzianą z widowni. Ken Chadwick kazał opuścić kurtynę, by potem podnieść ją z chwilą rozpoczęcia przedstawienia. W pierwszej scenie występował Tim Moore, grający młodego, i bardzo zatroskanego żonkosia, w czym partnerowało mu powabne złotowłose dziewczę, wcielające się w jego jeszcze młodszą żonę.

Kurtyna poszła w górę, Tim i blondynka odegrali swoje bez zarzutu. W następnej scenie na deski wkroczył Donald Winter, jako ekscentryczny pracownik banku.

Jennifer nie spuszczała oka z tekstu, linijka po linijce śledząc rozwój akcji. Donald Winter dobrze się spisywał w swojej roli, łączył w niej bowiem właściwą dozę komicznej, karykaturalnej powagi z farsową nerwowością. Sztuka była zresztą doprawdy zabawna;

Jennifer oglądała ją z przyjemnością, nawet trochę podśmiewała się w duchu.

I wtedy stało się. W pewnej chwili, gdy akcja toczyła się szczególnie wartko, Donald Winter nagle zaciął się – i ani rusz nie mógł sobie przypomnieć dalszego ciągu kwestii. Zaraz przeczytała mu feralną linijkę i aktor jakoś wybrnął z opresji. Ale na tym nie miało się bynajmniej skończyć. Dwie albo trzy minuty później znów go przytknęło. Nim zdążyła mu cokolwiek podpowiedzieć, z mroku zalegającego widownię dobiegł głośny protest.

– Nie! Nie! Nie! – wrzasnął Roger Deering. – Tak dalej być nie może. Donaldzie, rozwalasz mi sztukę!

Brytyjczyk podszedł do krawędzi sceny i, zachowując pełny spokój, wlepił oczy w punkt pośród ciemności.

– Przepraszam, stary. – Rozłożył ręce. – Wykuję tę kwestię na blachę jeszcze dzisiaj, zobaczysz.

– Wczoraj też tak mówiłeś! – pieklił się reżyser.

– Pracowałem nad tym, daję słowo – tłumaczył się Donald Winter, a reszta aktorów stała w milczeniu. – Ja w zasadzie wiem, co mam powiedzieć, tylko w ostatniej chwili zawsze umknie mi to pierwsze słowo, albo jakieś inne, i się zacinam. Wystarczyłby mi jeden wyraz, hasło, bo ja wiem, żeby mnie naprowadzić, ale ta młoda pani, co tu dziś sufleruje, nieco za wolno wchodzi, a na domiar złego czyta mi cały wiersz, zamiast mi po prostu podrzucić parę kluczowych słów.

Z widowni dobiegł znów zmęczony głos reżysera:

– Hej, ty za tą kotarą! Jennifer, czy jak ci tam! Wyjdź no, żebym cię mógł zobaczyć!

Kompletnie zdruzgotana, wyszła zza kulisy z opasłym scenariuszem w ręce i zrobiła mały krok w stronę widowni.

– Słucham? – wyjąkała, wpatrując się w ciemną pustkę przed sobą:

Poniżej, wśród rzędów pustych krzeseł, miotał się Roger.

– Wiem, że jesteś amatorką i nowicjuską, panienko, ale postarajże się trochę i nie przysypiaj. Nie trzeba też, żebyś nam czytała całe kwestie. Masz tylko szybko podać panu Winterowi samą esencję, jądro wiersza, żeby mógł dalej mówić swoje bez zauważalnej przerwy.

– Rozumiem, proszę pana – powiedziała potulnie.

– To świetnie. Zacznijmy jeszcze raz – polecił. Scenę odegrano ponownie i tym razem wszystko poszło dobrze. Jednakże kilka chwil potem, przy samym końcu aktu, Donald Winter ni stąd, ni zowąd palnął niewłaściwą kwestię. Tim odpowiedział mu na to jak gdyby nigdy nic swoją kwestią, która oczywiście nie przystawała w tej sytuacji do kwestii wygłoszonej przez Donalda – i obaj utknęli. Na scenie na moment zapadła pełna konsternacji cisza. Przerwał ją dopiero wybuch złości Rogera.

I tak to wszystko przebiegało przez cały wieczór. Jennifer, choć roztrzęsiona i zdeprymowana, starała się jednak podpowiadać najszybciej, jak potrafiła. W miarę upływu czasu szło jej coraz lepiej. Kiedy wreszcie nabrała trochę rutyny, zajęcie przestało się jej wydawać takie trudne. Nie odmienił się natomiast zły humor Rogera, który jeszcze kilka razy przerywał przedstawienie.

Jak wszystko, tak i próba ma jednak swój koniec. Po kilku godzinach nerwówki Jennifer mogła nareszcie zamknąć skrypt i odmaszerować do pokoju. Za dekoracjami natknęła się na rozmawiających Kena Chadwicka i Randy'ego. Musiała wyglądać na bardzo przygnębioną, bo kierownik na jej widok rzekł:

– Nieźle sobie radziłaś, jak na pierwszy raz.

– No, naprawdę – przytaknął mu z powagą Randy.

– Przynajmniej nie wybiegłaś stąd w hysterii, a to już coś – pogratulował jej kierownik.

– Co nie znaczy, że nie miałam na to ochoty.

– Jutro będziesz w lepszej formie, zobaczysz – pocieszył ją Chadwick. – Donald Winter też, mam nadzieję, choć nie zostało mu wiele czasu na wbicie sobie tych kwestii do łba.

– Słyszałem, że nauka idzie mu bardzo powoli. Ciężka głowa – wtrącił Randy.

– O tak, przecież to widać na próbach. Żal patrzeć, jak co wieczór czegoś zapomina – rzekł Chadwick z politowaniem. – Nawet Tima potrafi zbić z tropu. Przecież normalnie Timowi nie zdarzają się takie wpadki. To wszystko przez to, że musi pracować z takim Winterem.

– Na pewno – przyświadczyła Jennifer. Randy uśmiechnął się do niej szeroko.

– W każdym razie wygląda na to, że wcisnęli ci robotę suflera.

– Niestety – zgodziła się markotnie. – Mogłabym wziąć tekst ze sobą do pokoju? – zwróciła się do kierownika. – Chciałabym się z nim lepiej poznać.

Oczywiście – kierownik zaaprobował pomysł. Nawet powinnaś.

– Z Helen i Sybil w pokoju wiele się nie poczujesz -ostrzegł ją Randy.

– Potrafię skupić się na nauce. Dam sobie jakoś radę. Właśnie przystanął koło nich Buddy.

– Nie przejmuj się gadaniem Rogera. Moim zdaniem byłaś świetna. ‘

– Poprawię się. Muszę się tylko połapać, jak to się robi.

– To musi trochę potrwać – zgodził się. – Jak ci się podobały Helen i Sybil?

– Świetnie obsadzone! – roześmiała się.

– Też tak myślę. Gdybym odpowiadał za rozdział ról, obsadziłbym je dokładnie tak samo.

Zresztą, jak przypuszczam, będę się tym niebawem zajmował u ojca.

– To chyba bardzo odpowiedzialna praca?

– Wiem. Dlatego tu jestem. Próbuję liznąć tego i owego, jak ty.

Randy mrugnął do kolegi okiem.

– A może byś znalazł tam robotę nam wszystkim?

– Obiecuję – zaśmiał się Buddy – że dostaniesz rolę pierwszego grubasa.

– Ludzie widzą we mnie tylko tuszę – skrzywił się żałośnie Spaślaczek. – Dlaczego nie przyjrzą mi się lepiej i nie chcą we mnie dostrzec dramatycznego aktora?

– Bo nic nie widzą przez tę warstwę tłuszczu – objaśnił go Ken. – Albo go zrzucisz, albo przez całe życie będziesz grywał rolę tłściochów!

Randy pokręcił głową. – Coś mi się zdaje, że wszystko, czego mogę od życia i teatru oczekiwać, to praca za kulisami – rzekł smętnie.

– Poczekałabyś na mnie chwilkę? Moglibyśmy razem wrócić spacerkiem do domu –

zapropował Buddy. – Mam tu jeszcze tylko kilka rzeczy do zrobienia. Za parę minut będę z powrotem.

– Zgoda – przystała. – Poczekam.

Buddy od pierwszej chwili wydawał się jej bardzo sympatyczny i chyba miała ochotę poznać go bliżej. Był poważny, dojrzały – a w teatrze bez wątplenia czekała go duża przyszłość, tym bardziej że posada u ojca winna mu zapewnić dobry punkt zaczepienia.

Stała tak w zamyśleniu, rozważając życiowe perspektywy Buddy'ego, gdy kątem oka zauważyła sunącego przez scenę dużymi krokami Tima. Przystojny aktor najwyraźniej w świecie zmierzał w jej kierunku.

– Byłem z ciebie dumny – rzekł i uścisnął jej rękę.

– Akurat, chce mnie pan tylko podnieść na duchu.

– Nie, mówię serio.

– Roger Deering nie przejawiał takiego zachwytu.

– Roger po prostu taki jest – roześmiał się aktor. – Pewnie już o tym słyszałaś. To po prostu rys charakteru. Jest dla nas z reguły surowy, ale można mu to wybaczyć, bo przemawiają za nim jego przedstawienia. Klapa to u niego rzadkość.

– Wierze. Na pewno jest świetny.

– O tak. Naprawdę jest świetny. Głowa do góry, Jennifer. – Urwała na moment. – Słuchaj, . mam pewien pomysł. Pojechałabyś ze mną dokądś na szklaneczkę? Odprężyć się przed powrotem na kwaterę.

Dopiero teraz zaczęła sobie zdawać sprawę, jak wielki jest jej podziw dla tego urodziwego aktora.

– Nie chcę się narzucać.

– Nie ma mowy o narzucaniu! Sprawiałabyś mi przyjemność.

Głos aktora brzmiał tak przyjaźnie i przekonywająco, że, nie wahała się dłużej.

– W takim razie chętnie.

– Tu niedaleko stoi mój samochód – rzekł i pierwszy ruszył do wyjścia. Jennifer podążyła bez zastanowienia za nim. Całkiem zapomniała, że miała poczekać na Buddy'ego, któremu przecież obiecała spacer.

Noc była zimna i orzeźwiająca, jak większość letnich nocy w Maine. Szli przez parking, ona i Tim, w kierunku ciemnej sylwetki nisko zawieszzonego sportowego samochodu. Aktor przystanął, by otworzyć jej drzwiczki.

– Oto mój jaguarek – rzucił przez ramię, zapraszając ją do samochodu. – Nie najnowszy model, ale świetny wóz. Drogę z Nowego Jorku połknął w okamgnieniu.

– Lubię takie auta – powiedziała Jennifer. – Są jakieś takie... niepowszednie. Jak białe kruki na drogach, nie wiem, jak to powiedzieć...

– Chyba wiem, o co ci chodzi. – Zatrzasnął drzwi po „jej stronie i obszedł samochód, żeby usiąść za kierownicą. Gdy przemykali koło teatru, zobaczyła Buddy’ego, który właśnie wyszedł na podest przy „drzwiach wiodących na tyły sceny i rozglądał się we wszystkie strony, jakby kogoś lub czegoś szukał. Na chwilę owładnęły nią wyrzuty sumienia, bo przypomniawszy sobie, że umówili się na spacer. Zaraz jednak uspokoiła sumienie postanowieniem, że wytłumaczy się przed nim przy najbliższej okazji.

Oparta wygodnie w rozkładanym fotelu jaguara przyglądała się mijanej okolicy. Jechali wzdłuż rzeki, której brzeg usiany był wodnymi przystaniami. Cumowały w nich ogromne ilości łódek, motorowych, i żaglowych.

– Ależ tu zatrzęsienie amatorów pływania – zauważyła na głos.

– Wielu z nich to przyjezdni – objaśnił ją Tim. – Wpadają tu na dzień, dwa, a czasem jedynie na jedno popołudnie. Część przystani żyje przede wszystkim z takich gości, hotele i restauracje też swoje na nich zarabiają. No i teatr, 4eatr przecież też.

– Strona finansowa jest ważna.

– Najważniejsza. Myślisz, że Rogera to nie dotyczy? Musi tak dobierać sztuki, żeby zadowolić jak najwięcej widzów. Stara się zachować równowagę, a to niełatwa rzecz.

– O, z pewnością – zgodziła się. – Powiedziałabym jednak, że ta sztuka, którą teraz wystawia, powinna spodobać się prawie wszystkim.

Na przystojnym obliczu Tima odmalowała się zaduma.

– Nie byłbym taki pewien. Radę nadzorczą teatru trudno zadowolić. Bez ustanku łypią tęsknym okiem ku Ogunquit. Tamtejszy teatr ma w tym roku cały repertuar paczkowanych inscenizacji, a to zaledwie dwadzieścia minut jazdy stąd.

– Paczkowanych inscenizacji? – zaciekała się.

– Wiesz, co to jest? U nas rzecz wygląda tak, że sprowadzamy gwiazdy i robimy próby na miejscu z naszym zespołem. Czasem w ogóle nie mamy gwiazd i wówczas stały zespół robi przedstawienie sam. Natomiast teatry jak Ogunquit nie mają własnych zespołów, jedynie kilkunastu młodych stażystów, bo sprowadzają kompletne, gotowe inscenizacje. Taki teatr to właściwie coś w rodzaju agencji handlowo-usługowej.

– Rozumiem. Robi się próby sztuki z określoną gwiazdą i obsadą, a potem wysyła się całość w objazd.

– Ot, właśnie. Paczkuje się to, i w drogę. Ogunquit to miejscowy rynek zbytu. Takie

podejście zapewnia im udział dużych gwiazd i eliminuje wszelkie problemy związane z inscenizowaniem na miejscu. Z drugiej strony, zaletą inscenizowania na miejscu jest większy wybór sztuk i aktorów, przez co można te rzeczy lepiej dopasować.

– Który sposób jest w sumie lepszy?

– Ja wolę robić – to tak, jak to się robi tutaj. Ale ogólna tendencja jest odwrotna. Z roku na rok zawiera się coraz więcej kontraktów na przedstawienia objazdowe.

– No tak.

– Kilka miesięcy gry w różnych sztukach, na co tu mogę co roku liczyć, to dla mnie jako aktora rzecz nie do pogardzenia. Jest to też pewna podstawowa ilość pracy, na której mogę oprzeć swój roczny dochód.

– Rozumiem, to jasne.

Tim wolno wprowadził samochód w zakręt, który wyniósł ich na asfaltową szosę przed dużym hotelem. Biały budynek w stylu epoki kolonialnej był rzęsiście oświetlony reflektorami, a otwarte na oścież drzwi westybulu odsłaniały przytulne, wyłożone boazerią wnętrze.

Tim zaparkował pod chmurką, w pierwszym wolnym miejscu przy wejściu do hotelu.

– To jest Kolonia – oznajmił. – Bardzo dobre miejsce, jeśli chce się miło spędzić parę chwil po teatrze.

– I nie bardzo odległe – dodała Jennifer. Otworzył jej drzwiczki auta i wolno pomaszrowali do wejścia, nad którym widniał szyld „Sala Kapitańska”.

Otworzył jedne z przeszklonych drzwi wiodących do długiego, szerokiego korytarza.

– W weekendy mają tu muzykę i wieczory taneczne – poinformował. – Ale w tygodniu jest tu bardzo spokojnie.

– Duży hotel – rzekła, gdy wyszli z półmroku korytarza do holu recepcyjnego.

– I stary. Ma ponad pół wieku.

W holu natychmiast podszedł do nich młody chłopak, który zaprowadził ich do stolika na osłoniętym tarasie. Taras cały był obudowany szkłem i roztaczał się z niego imponujący widok na ocean, port oraz przylegającą doń Plażę Kennebunk. Jennifer z zachwytem chłoneła wzrokiem rozjarzoną mnóstwem świateł plażę i nocne niebo, odbijające się miriadami gwiazd w ciemnej tafli oceanu.

– Cudowny widok. Byłam tu z rodzicami dawno temu, jeszcze jako mała dziewczynka, i to w dzień, a nie w nocy.

– Mieszkaliście tu, w Kolonii? – spytał Tim.

– Nie, w Leśnym Gnieździe. Nie pamiętam, bym często wychodziła poza teren hotelu, a więc nie mogę wiele wiedzieć o mieście.

Twarz urodziwego aktora rozjaśnił uśmiech.

– Jak się mieszka w Leśnym Gnieździe, to nie trzeba daleko szukać rozrywek. Wszystko tam mają na miejscu.

– Teraz patrzę na to miasto z zupełnie innej perspektywy. Wydaje mi się bardziej interesujące.

Zamówili napoje i Tim zaczął ją wypytywać o jej doświadczenia z teatrem. Opowiedziała

mu o szkolnych przedstawieniach, o latach spędzonych u Emersona.

– Nie palę się do pracy w szkole – westchnęła – ale moi rodzice uważają, że będzie to praktyczny krok z mojej strony. To niezwykle praktyczni ludzie.

Przyglądał się jej z lekkim rozbawieniem. – Nie ma nic złego w tym, że ktoś jest praktyczny. O ile nie przesadza, rzecz jasna.

I w tym właśnie sęk. Lękam się, że oni z tym przesadzają.

– To się po prostu im nie daje. Zresztą, te parę lat pracy w szkole na pewno ci nie zaszkodzi. Może uda ci się w lecie złapać jakąś robotę w teatrze albo nawet coś w bostońskiej telewizji. Będziesz przecież niedaleko.

– Jest też niemało zespołów, które dają przedstawienia w weekendy. To znaczy, że taka na przykład nauczycielka, jak ja, może z nimi swobodnie pracować, kiedy już odrobi swoje pięć dni w szkole.

– W takim razie możliwości masz sporo – rzekł z uśmiechem.

– Ale to nie to samo co prawdziwy teatr – odparła smętnie. – Słyszałam, że w zeszłym roku grał pan na Broadwayu – zmieniła temat.

– Owszem. W komedii pod tytułem „Proszę przyjść jutro”. Mamy ją tu wystawić za parę tygodni. Nawiasem mówiąc, wielkim przebojem nie była, niestety.

– Nie szkodzi! I tak bym wiele dała, żeby w niej zagrać! – Wydała głośnie westchnienie.

Tim wpatrywał się w nią lśnącymi oczyma.

– Wszystkim się tak na początku wydaje. Potem, z czasem, przestaje to być takie bardzo ekscytujące. Człowiek zaczyna się zwyczajnie martwić o to, żeby dostać jakikolwiek angaż, niekoniecznie na Broadwayu. Ja grałem na Broadwayu sześć razy.

– To fantastyczne! Teraz rozumiem, dlaczego Roger reklamuje f3ana jako nowojorskiego gwiazdora.

– Rzekłbym, że to gruba przesada – zaśmiał się. Kelner przybył z zamówionymi przez nich napojami, a oni rozmawiali i rozmawiali. Z ukrytych głośników sączyła się cicha, dyskretna muzyka. Przy barze opodal siedziało dwóch mężczyzn: rostry, postawny o ciemnych kędzierzawych włosach i jego niższy, chudy towarzysz w okularach w rogowych oprawkach.

– A propos Leśnego Gniazda. – Tim nachylił się do niej. – Oto i jego właściciel. Siedzi tam przy barze z szefem tego hotelu, Jimmem Fredericksem. Założę się, że rozprawiają o zbliżającym się sezonie.

– To Fred Short – powiedziała, zerkając w stronę baru. Mężczyzna w okularach właśnie zaniósł się śmiechem nad jakimś opowiedzianym mu w sekrecie przez szefa Kolonii dowcipem.

– Tak – potwierdził Tim. – Często bywa w teatrze, musisz wiedzieć.

– Naprawdę? Chodził z moim ojcem do jednej klasy w college’u. Mam polecenie, by go odwiedzić.

– To czemu do niego nie zagadasz?

– Teraz? Tak będzie, w porządku?

– Na pewno. – Tim podniósł się z krzesła. – Ruszaj. Poczekam tu na ciebie.

– To potrwa tylko małą chwilkę – obiecała, wstając i kierując się do baru.

Przystanąła koło tego chudego w okularach i zapytała niepewnym głosem:

– Pan Short?

– Słucham panią – odpowiedział obojętnym głosem.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Ale pan jest przyjacielem mojego ojca – wyjaśniła.

Twarz siedzącego na wysokim zydłu rozjaśniła się natychmiast.

– Ach tak, a ty pewnie jesteś Jennifer Bruce!

– Tak. – Kamień spadł jej z serca: poznał ją. Zsunął się z zydła i uściśnął jej dłoń. – Twój tata pisał do mnie o twoim przyjeździe, ale nie sądziłem, że to będzie tak rychło. Bardzo wydorostałaś od czasu, gdy cię ostatni raz widziałem.

– Wiem. – Jak zwykle w obecności przyjaciół jej rodziców, nie mogła opanować zakłopotania.

– Jesteście wszyscy zainstalowani przy teatrze?

– Tak.

– To dobrze. Roger Deering wystawia znakomite przedstawienia. Pewien jestem, że ci się tam spodoba.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości – zapewniła żarliwie. – Tim Moore mnie tu dziś przywiózł. Coś mi się zdaje, że to jego ulubione miejsce.

Fred Short uniósł brwi. Jego bystre oczka świdrowały ją ciekawie zza okularów.

– Szybko nawiądziesz znajomości w zespole. On tu gra główne role od czasu, gdy ja przejmowałem ten hotel z rąk moich rodziców. Czyli od jakichś dziesięciu lat.

– Jest bardzo dobrym aktorem.

– I czarującym facetem. – Fred uśmiechnął się blado. – Tylko czy nie oderwiesz się nadto od reszty stażystów, jeśli będziesz przestawać ze starszymi artystami?

– Nie pomyślałam o tym.

– Bo to i pewnie nie takie ważne – machnął ręką. – Daj mi znać, kiedy będziesz miała pierwszy wolny wieczór. Musisz zjeść kolację u mnie w Leśnym Gnieździe.

– Dziękuję za zaproszenie. Prawdopodobnie niedzielę będę miała wolną.

– Świetnie. W niedzielę zawsze jestem na swoich śmieciach.

– Moi rodzice zamierzają tu zjeżdżać w weekendy na niektóre przedstawienia. Chcą się u pana zatrzymać.

– Nie ma sprawy, znajdziemy dla nich jakiś pokój – zapewnił. – A jak nie my, to Jim coś znajdzie.

Tu obrócił się do swego młodszego kolegi, aby umożliwić mu włączenie się do rozmowy.

– To Jim Fredericks, jest tu szefem – przedstawił go Jennifer.

– Bardzo mi miło – rzekła do kędzierzawego bruneta, który jak zauważyła, przypatrywał się jej z życzliwym zainteresowaniem.

– Nie chodzę co prawda na przedstawienia – powiedział. – Dopóki w sezonie będą tu takie tłumy, dopóty nie będę miał na to czasu. Ale docierają do mnie pochlebne komentarze gości.

Fred popatrzył na niego z dezaprobatą. – Powinieneś znajdować czas na teatr. Ja jakoś znajduję.

Hotelarz roześmiał się. – Proszę mnie powiadomić, panno Bruce, kiedy pani będzie grała w jakiejś sztuce. Dla pani zrobię wyjątek.

Fred puścił oko do Jennifer.

– Nie zapomnij. Trzymam go za słowo i nie dam mu się wymigać.

– Nie zapomnę. Miło było panów poznać.

– Pozdrów ode mnie Tima – poprosił Fred, widząc, że Jennifer zbiera się do odejścia. I pomachał aktorowi z daleka ręką. Tim zauważył to i odwzajemnił się podobnym gestem.

Szarmancko wstał od stołu, gdy Jennifer zjawiała się znowu na tarasie.

– Pogadaliśmy sobie miło – rzekła siadając.

– Mówiłem ci, że powinnaś iść. Fred wiele zrobił dla naszego teatru. Jest w radzie nadzorczej.

– Słyszałam od tym od Rogera.

Czuła się w jego towarzystwie tak dobrze i swobodnie, jakby znali się od zawsze, i nie mieściło się jej w głowie, jak w tej niewinnej randce z nim mogłoby być coś złego.

– Kiedy będziemy robili „Proszę przyjść jutro”, chciałbym, żebyś powalczyła o pewną rolę. Jest tam taka mała rola dziewczyny, której rodzice się rozwiedli. To wprawdzie tylko jedna scena, ale za to scena wzruszająca, gdzie ta dziewczyna rozmawia z ojcem. Ponieważ to niewielka rola, obsadzimy w niej którąś ze stażystek. Będzie po prostu konkurs na czytanie. Moim zdaniem, rzecz jest w sam raz dla ciebie. Dziewczynie, która to grała w Nowym Jorku, prawie co wieczór bito gorące brawa.

gdy schodziła ze sceny, a po całym przedstawieniu, kiedy nas wywoływano po kolei i nagradzano oklaskami, ona dostawała całą burzę oklasków. Jennifer była zelektryzowana.

– Poważnie sądzi pan, że będę się nadawała do tej roli?

– Fizycznie na pewno. Co do reszty, nie wiem. To będzie zależało od twojego czytania. Znam Rogera i wiem, że w tych sprawach jest absolutnie bezstronny i sprawiedliwy: da tę rolę tej, która wykaże się najlepszym czytaniem.

– Dam z siebie wszystko.

– Podrzucę ci wcześniej egzemplarz tekstu i poćwiczę z tobą trochę, żeby rzecz wyglądać. Jeśli zostanie dobrze zagrana, ta rola jest pewnym sukcesem.

Wyprostowała się i powiedziała z błyszczącymi oczyma:

– Tak się cieszę, że tu jestem. To będzie na pewno wspaniałe lato.

– Mam nadzieję. Co nie znaczy, że sezon się nie skończy, nim się obejrzysz, jak zwykle. Nadejdzie koniec lata, a my znowu będziemy zdziwieni, że, tak szybko.

– Koniec lata – zadumała się. – Jest w tych słowach jakaś smutna nuta.

– Tak, to taki melancholijny czas. – Ta chwila, gdy zrywa się przyjaźnie dopiero co nawiązane, gdy trzeba się pożegnać ze znajomymi miejscami i znajomymi ludźmi. Nie powiem, żebym to lubił.

– Chciałabym, żeby to lato nigdy się nie skończyło – rozmarzyła się.

– Wierz mi, każde się kończy – powiedział cicho.

Zerknęła w stronę baru i stwierdziła, że Freda i kierownika Kolonii już tam nie ma. Sala była niemal pusta, zostali prawie całkiem sami.

Zwróciła się znów do Tima:

– To dla mnie cudowny wieczór. Był pan taki miły, że mnie pan tu przywiózł.

– Nie, po prostu samolubny – odrzekł z uśmiechem.

– Samolubny? – powtórzyła zdziwiona.

– Jak najbardziej. To mnie przypadają wszystkie korzyści, a ty świadczysz dobrodziejstwa. Nie byłem w stanie ci się oprzeć. Twoja młodość, twoja miłość do teatru, twoja pociągająca powierzchowność – to było dla mnie za wiele. Miałem nieprzepartą chęć spojrzeć na świat twoimi oczyma. Widzieć świat takim, jakim ty. go widzisz, odzyskać choć odrobinę dawnego entuzjazmu. Choć na chwilę. Przebywanie z tobą to dla mnie jak gdyby przeżywanie młodości na nowo.

Wbiła w niego zażenowane spojrzenie. – Ale mnie nie wydaje się pan stary ani zmęczony światem.

– Dzięki. Ale nie zmienia to faktu, że mogłabyś być moją córką. Gdybym miał córkę, chciałbym, żeby była dokładnie taka jak ty.

Poczuła ciepło na policzkach.

– Dzięki. Tylko że ja wcale nie myślę o panu jak o ojcu. Traktuję pana jak przyjaciela.

– Starszego przyjaciela.

– Nie! – zaprotestowała. – Moim zdaniem aktorzy nie mają wieku. Są wiecznie młodzi.

– Jasne, że chcieliby tacy być. – Uśmiechnął się smutno. – Mocno się jednak obawiam, że to tylko złudzenie. Widzisz, nawet cały czas zwracasz się do mnie per „pan”. Niemniej doceniam twoje wysiłki i komplementy i mam nadzieję, że możemy się dalej przyjaźnić.

– Ależ tak – rzekła z zapałem. – Wspaniale się czuję w pana towarzystwie.

– Prawdopodobnie lepiej się będziesz bawiła pijąc piwo w jednej z tawern z innymi stażystami. Słyszałem, że najchętniej przesiadują w jakiejś speluncie przy basenie.

– Nie sądzę. Uwielbiam takie wieczory jak ten. Chłopcy z grupy wydają się wprawdzie bardzo sympatyczni, zwłaszcza Buddy Phillips... ale... ale są tacy młodzi!

– Nie gardź młodością ^ – upomniał ją aktor. – Pamiętasz, – co mówi Szekspir w „Nocy Trzech Króli”? *Więc daj mi, droga, ust twych miodu, Bo młodość jak kwiat przechodzi!* – Święta to prawda.

– W tej chwili akurat nie mogę się doczekać, kiedy będę starsza.

– Przejściowe stadium – brzmiał jego komentarz. Dał kelnerowi znak, że chce płacić.

– Lepiej będzie, jak zaraz odwiozę cię na kwaterę, bo inaczej zszargam ci reputację pierwszego wieczora.

Wybuchnęła śmiechem. – To tylko uczyni mnie bardziej interesującą.

Tim uiścił rachunek i opuścili hotel. Przez całą drogę powrotną prowadził auto bardzo wolno. Jechali, tak jak przedtem, nad rojącą się od łódek rzeką.

– Policja robi tu często kontrole – wyjaśnił jej. – Nie opłaca się zbyt szarżować. Zresztą, nie śpieszy mi się, bo chciałbym jak najbardziej przedłużyć sobie ten wieczór.

Rzuciła mu czułe spojrzenie, które ukrył panujący w samochodzie intymny półmrok.

– To dziwne – powiedziała. – Ja tak samo.

– Może to nie ostatni taki nasz wieczór. Na pewno nie – zaryzykował.

– Na pewno! – przytaknęła z mocą. – Jeszcze tylu rzeczy o panu nie wiem. Chciałabym jeszcze posłuchać o tym, co pan robił w teatrze i w ogóle o tym, jak się panu dotąd żyło.

– No, na to potrzeba co najmniej kilku wieczorów – roześmiał się.

– Jest pan żonaty?

– Nie.

Było w jego głosie, gdy to powiedział, coś takiego, że musiała zapytać:

– A był pan?

Potaknął ruchem głowy. – Ożeniłem się, kiedy byłem mniej więcej w twoim wieku.

– Ale to nie wytrzymało próby czasu?

– Nie.

– Dlaczego?

Oczy miał utkwione w drodze przed samochodem, tak że widziała tylko jego kształtny profil. Był poważny, a nawet zaszępioty.

– Rzecz była przesądzona od samego początku. Mieliśmy dokładnie tyle samo lat, więc byłem dla niej za młody. Ja chciałem pracować w teatrze, a ona chciała, żebym wziął papierkową robotę u jej ojca, w sklepie z obuwem.

– W sklepie z obuwem! – powtórzyła z niedowierzaniem.

– Nie była to taka zła propozycja – dodał pośpiesznie. – Jej ojciec ma teraz całą sieć sklepów i ten facet, który ją poślubił po naszym rozwodzie, jest teraz dyrektorem tego interesu.

– A pan tego nie chciał!

– Nie – rzekł kwaśno. – Nie chciałem. Musiałem zostać aktorem. No i zostałem.

– Uważam, że to piękne, co pan zrobił – rzuciła szybko. – Nie mogłabym na pana patrzeć, gdyby pozostał pan mężem tej dziewczyny tylko po to, żeby być dyrektorem sieci sklepów z obuwem.

– Nie było na to najmniejszych szans.

Skręcił ostrożnie w wąską boczną dróżkę, która miała ich zawieść do teatru. .

– Zdałem sobie sprawę – podjął – że wcale się nie kochamy, ba, że nawet się nie lubimy w gruncie rzeczy. A to jeszcze gorzej.

– A więc nie było mowy o wzajemnym zrozumieniu.

– Gdzież by tam! Żadnej. Przez cały czas, gdy byliśmy małżeństwem, toczyła się między nami zażarta walka.

– Dzieci były?

– Nie było. Teraz ma dzieci z tym drugim mężem. Kiedyś po przedstawieniu na Broadwayu przyszła do mnie z nimi wszystkimi do garderoby. To zabawne, ale mam wrażenie, że przez tamte kilka minut bardzo cieszyliśmy się swoim widokiem i było nam ze sobą lepiej niż przez całe nasze małżeńskie pożycie.

– Bo spotkaliście się jako przyjaciele.

– Dobre spostrzeżenie. – Zerknął ku niej. – Byliśmy w stanie się zaprzyjaźnić, ale nie wyszło nam jako mężowi i żonie.

– Nie czuje się pan samotny?

Wzruszył ramionami. – Do tego się można przyzwyczać. Zresztą kiedy pracuję, jestem jakby wśród rodziny. Z czasem zespół staje się czymś w rodzaju rodziny. Można by rzec, że ożeniłem się z teatrem.

– Uważam to za dobre małżeństwo. Jest chyba jednak w pańskim życiu miejsce dla jakiejś drugiej osoby, gdyby się pojawiła ta właściwa?

– Być może. Ale nie będę o tym wiedział na pewno, dopóki tej osoby nie spotkam.

– Racja.

Zbliżali się już do owego dużego żółtego budynku, który przez całe lato miał jej służyć za dom. Tim zatrzymał samochód przed frontem.

– Wybierzmy się jeszcze gdzieś wkrótce – rzekł.

– Chętnie.

– Chciałbym, żebyśmy się zaprzyjaźnili – rzekł, a o szczerości tych słów świadczył wyraz jego twarzy i oczu, które wpatrywały się w nią z napięciem.

– Nie wiem, co interesującego może pan we mnie widzieć – wyznała – ale cieszę się.

– Uważam cię za interesującą, ale nie chcę ci się narzucać ani przeszkadzać ci w nawiązywaniu innych przyjaźni. Chcę, żebyś się normalnie bawiła z twoimi rówieśnikami, kiedy tylko będziesz miała na to ochotę. Jeśli będziesz wolała być z nimi niż spotkać się ze mną, nigdy nie obawiaj się powiedzieć mi o tym. Naszą przyjaźń możemy zbudować tylko na takiej podstawie.

– Będę z panem szczerą. Nie będzie takich kłopotów, bo ja już z góry wiem, że zawsze będę wolała spotkać się z panem niż z kimkolwiek innym.

– No, nie wiem... – uśmiechnął się słabo.

– Jestem tego pewna, Timie. – Jej głos zniżył się niemal do szeptu. – Nie masz nic przeciwko temu, żebym mówiła ci po imieniu?

– Przeciwno? Wręcz przeciwnie – odparł i wziął ją w ramiona, by pocałować ją na dobranoc.

Wbiegła schodami na ostatnie piętro, gdzie dzieliła pokój z dziewczynami. Była w ekstatycznym nastroju. Jeszcze czuła na wargach pocałunek Tima – czuły, słodki i gorący, taki jaki rozpala krew w żyłach i wprowadza zamęt w myślach. Jennifer biegła po schodach z głową w chmurach. Cokolwiek podpowiadałby jej teraz głos rozsądku, nie mógł zagłuszyć głosu jej serca, które już wiedziało swoje. Gdy znalazła się w mrocznym korytarzu pod drzwiami pokoju, stanęła niezdecydowana. Modliła się w duchu, by jej współlokatorki spały.

Ostrożnie, najdelikatniej jak umiała, uchyliła drzwi i wśliznęła się do środka. W tej samej niemal chwili Helen poruszyła się w łóżku i rozblęsnęło światło małej nocnej lampki. Spod rudej czupryny patrzyły na nią zaspane oczy.

– Wszyscy od dawna śpią! – Helen zamrugła oczami.

– Nie chciałam was obudzić – rzekła Jennifer przepraszająco, stojąc na środku pokoju.

Sybil też podniosła głowę, a z jej ślicznej buzi biło szyderstwo.

– No jasne, że nie.

– Co ty sobie wyobrażasz – natarła Helen – że odfruwasz z głównym aktorem, ledwo go poznałaś?

Jennifer zaśmiała się nerwowo.

– To był jego pomysł. Pojechaliśmy do Kolonii. Siedzieliśmy na tarasie, a ja spotkałam znajomego mojego ojca.

– Srutututu! – zakpiła Helen. – I to ten stary znajomy ojca zatrzymał cię do tak późna, co?

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno.

– No jasne, że nie – rzekła z przekąsem Sybil. – Gdzieżbyś tam pamiętała o czasie! Nie liczy się godzin, kiedy się ma do czynienia z samym wcieleniem męskiego wdzięku.

– Mało tego – docięła jej Helen. – Na dodatek wystawiłaś do wiatru Buddy’ego Phillipsa. Stał biedak i czekał, aby zobaczyć, jak odjeżdżasz z Timem Moore’em. Czuł się tak podle, że zabrał mnie i Sybil do kawiarni. No i w ten sposób jednak coś dobrego wynikło z twojego postępuku.

Jennifer przysiadła w nogach łóżka Helen.

– Głupio mi z powodu Buddy’ego. Naprawdę miałam zamiar na niego poczekać.

– Ale nie czekałaś! – zauważyła Sybil. Jennifer przeniosła spojrzenie na brunetkę.

– To nie było nic zobowiązującego. Niczego właściwie nie planowaliśmy...

– No więc pojechałaś sobie z Timem – dopowiedziała Helen.

– A tak. I nie uważam, żeby to było coś bardzo złego. Helen wzruszyła ramionami. – Jest od ciebie o kupę lat starszy, a przy tym, tak się składa, jest rozwodnikiem.

– I cóż z tego? To było dawno. Żony nie ma od wieków.

– Tak, nadal nie ma żony – rozmarzyła się Sybil, ale zaraz się zreflektowała. – Tylko że stażyści nie powinni się zadawać z zespołem.

– Kto tak powiedział? – zapytała zdziornie Jennifer.

– To takie niepisane prawo – odparła Sybil. Helen zachnęła się. – E tam, skoro niepisane,

to się nie liczy. Jeśli o mnie chodzi, to umawiaj się, z kim chcesz – Helen oznajmiła Jennifer swój werdykt, potrząsając rudą czupryną. – Wiem, że Tim potrafi być bardzo miły.

– Jest miły – orzekła autorytatywnie Jennifer. – A jeśli chodzi o ten rozwód i o to, że jest ode mnie prawie dwa razy starszy, to Tim mi o tym wszystkim sam powiedział i postawił sprawę całkiem jasno. Spotykamy się tylko na stopie przyjacielskiej.

– Oczywiście, że nie ma w tym nic złego – zgodziła się Helen.

– A Ruth Crane? – nie ustępowała Sybil. Usiadła na łóżku, zupełnie rozbudzona.

– Zapomniałam o Ruth – przyznała Helen.

– Kto to taki, ta Ruth? – zaciekała się Jennifer.

– Aktorka z zawodowego zespołu. Ma około trzydziestki, czasem gra nawet główne role, ale częściej drugoplanowe.

– Była dziś na próbie – wtrąciła Sybil. – Ma takie piwne oczy i ciemnoblonde włosy.

Jennifer od razu zaświtało w głowie.

– Aha, już wiem. To ta, która gra – w sztuce żonę Tima, tak?

– Właśnie ta – przytaknęła Helena.

– Ona uważa Tima za swoją wyłączną własność – ostrzegła Sybil. – Mówi się, że to tylko z jego powodu przyjeżdża tu od dwóch lat. Ma dużą rolę w Hollywood, w tym szpiegowskim serialu, który ostatnio robi prawdziwą furorę, a że skończyła już zdjęcia, miała wolny czas i mogła przyjechać.

– I ma pieniądze – dodała Sybil po przerwie. – Ma własną willę niedaleko stąd, przy polu golfowym. Obok Rogera Deeringa jest jedyną osobą w zespole, która może się pochwalić własnym domem.

Jennifer wysłuchiwała tego wszystkiego ze zdumieniem.

– Mówicie, że poważnie interesuje się Timem?

– Nie sędzę, by ktokolwiek ośmielił się w to wątpić – rzekła Helen jak najbardziej serio.

– W takim razie nie wierzę, żeby jemu zależało na niej – oświadczyła stanowczo Jennifer.

– Kto wie? Są chyba w przyjacielskich stosunkach. Często grywają ze sobą w tenisa.

– To jeszcze nie musi nic oznaczać – sprzeciwiła się Jennifer. – Podobnie jak nie musi nic oznaczać ten nasz wieczór w Kolonii. To nic takiego. Po prostu tak się składa, że pasujemy do siebie chemicznie.

– Już ja coś wiem o tych chemicznych eksperymentach. Uważaj, żeby się to nie skończyło groźną eksplozją – rzuciła przemądrzała Helen.

– To dobra rada, moja droga! – podchwyciła Sybil. – Teraz się szybko kładź spać. Oczy mi się same zamykają.

Te ostatnie słowa były tylko zduszonym jękiem, bo Sybil dała nura do łóżka i nakryła głowę kołdrą.

– Przepraszam. – zakończyła Jennifer, po czym szybko przeniosła się z łóżka Helen na własne i poczęła się pośpiesznie przebierać do spania.

W parę minut znalazła się w łóżku, a pokój znów zaległa ciemność. Helen milczała, a Sybil sen zmorzył w okamgnieniu i po chwili dało się słyszeć jej ciche, miarowe pochrapywanie. Nic więcej nie zakłócało nocnej ciszy, a jednak Jennifer nie mogła zasnąć.

Zbyt wielu wrażeń dostarczył jej ten wieczór, zwłaszcza ta jego część, która nastąpiła po próbie. Wciąż nie mogła ochłonąć. I była głęboko przeświadczona, że Tim się nią zainteresował. Cudownie zaczynało się dla niej to lato.

Minęła dłuższa chwila, nim Jennifer wreszcie zasnęła. Gdy się przebudziła, miała wrażenie, że dopiero co złożyła głowę na poduszce. A przecież było już rano, a jej współlokatorki krzątały się po pokoju. Sybil stanęła u jej wezglowia, ubrana jedynie w szorty i różowy staniczek, i przyglądała się jej z drwiącym uśmiechem.

– No to już wiemy, co z ciebie za ziółko! – oznajmiła. – Przez całą noc gdzieś fruwa, a rano przesypia śniadanie.

Jennifer zerwała się na równe nogi.

– Ile mamy czasu?

– Za dziesięć minut kończą wydawanie śniadań – poinformowała ją Helen z drugiego końca pokoju.

– Zdażę! – zapewniła, rozglądając się za kapciami. W jadalni zjawiała się w chwili, gdy pani Thatcher miała właśnie zamknąć drzwi przed spóźnialsłymi. Gospodyni popatrzyła na nią z rezygnacją i wpuściła ją do środka, gdzie spośród czterech stołów jeden tylko nie był jeszcze pusty – siedzieli przy nim Helen, Sybil i Buddy.

Ledwie usiadła koło nich, Buddy zwrócił się do niej ze znaczącym uśmiechem:

– Myślałem, że cię już nie zobaczymy. Wyglądało na to, że przechodzisz do zespołu zawodowego.

– Przepraszam za wczorajszy wieczór. Nie sądziłam, że mamy konkretne plany – rzekła pogodnie.

– Ja miałem – odrzekł Buddy. – Ale ty, zdaje się, nie. No trudno. Jak się bawiłaś z naszym Timem?

– Polubiłam go. Bardzo miły facet.

– I dobry aktor – powiedział Buddy, dolewając: sobie kawy. – Nie da się zaprzeczyć.

– Jaki mamy na dziś rozkład zajęć? – zmieniła temat Helen.

– Ja mam robotę u Kena Chadwicka – odparł Buddy – przy dekoracjach do następnej sztuki. Sybil będzie dalej pomagała przy malowaniu, a ty aż do popołudnia masz siedzieć w kasie biletowej. Resztę dnia masz dla siebie.

– Łaskawcy! – wydeła usta Helen.

– Mam już serdecznie dość tych puszek i pędzli – poskarżyła się Sybil. – Zawsze się cała upaśćkam farbą.

Buddy rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

– No, to chyba żaden problem dla ciebie, skarbie. Masz na sobie zwykle tak niewiele, że wskoczysz pod prysznic i po krzyku.

Sybil wstała od stołu. Jej oczy miały błyskawice.

– Ty!..

– A co ze mną? – Buddy'emu przyszła w sukurs Jennifer.

– Zgodnie z harmonogramem – pośpieszył, z odpowiedzią – jedziesz ze Spaślaczką na Przylądek Morświnów i nad Zalew Biddefor. Rozwieziecie po domach ulotki.

– Współczuję wam, tyle zachodu w ten upał – uzalila się nad nimi Helen. – Ja już wolę siedzieć w kasie. Tam przynajmniej mam wentylator.

– Poświęcę się dla sprawy – uśmiechnęła się Jennifer.

– Ulotki trzeba rozwieźć jak najprędzej – rzekł z naciskiem Buddy. – W przyszłym tygodniu otwarcie sezonu.

Było już wpół do dziesiątej, gdy Jennifer wreszcie dotarła do teatru. Na trawie za budynkiem rozłożone były makiety, które miały współtworzyć scenerię przyszłego przedstawienia. Sybil wraz z grupą młodzieży płci obojga zaczynała pod kierownictwem scenografa nakładać ni makiety farbę. W samym teatrze Buddy i Ken Chadwick rozplanowywali dekoracje i rekwizyty do sztuki Noela Cowarda. Helen ulokowała się w teatralnej kasie, w towarzystwie, młodego, znanego Jennifer jako Rudy stażysta.

Jennifer przeszła wzdłuż teatralnego tarasu i odnalazła furgonetkę, a w niej Randy’ego za kierownicą, pogrążonego w lekturze komiksu. Gdy ją spostrzegł, odłożył go pośpiesznie i przesłał jej jeden – ze swych diabelnie przyjaznych uśmiechów.

– Gotowa do drogi?

– Owszem. Masz ulotki?

– Całą stertę. To może ja poprowadzę, a ty będziesz roznosić – zaproponował szybko.

Otworzyła sobie drzwi furgonetki i zajęła miejsce obok Randy’ego.

– Coś mi się zdaje, że. źle wyjdę na tym interesie. Chcesz mi wtrzynić czarną robotę.

Uruchomił silnik. – Coś ty, tu nikt nie wychodzi dobrze ani źle. Jedziemy na tym samym wózku, koleżanko. Ale jeśli się z tym uwiniemy, może zdążymy sobie pojechać na nabrzeże na Przylądku Morświnów i popatrzeć na łodzie.

– To przynajmniej pachnie przyjemnym próżniactwem.

– Nie zamierzam przepracować każdej minuty lata. Przejechali przez miasteczko i podążyli traktem nr 9, gdzie rozpoczęli akcję. Zatrzymywali się przy każdym domu i zostawiali ulotkę. Niektóre letnie rezydencje były jeszcze pozamykane na głucho, ale i tam przystawali, a Jennifer wsuwała ulotkę pod drzwi. Byli też tacy, co mówili, że nie są zainteresowani. Jennifer przyjmowała to jako swego* rodzaju wyzwanie i próbowała ich namówić do obejrzenia choćby pierwszej sztuki. Inni z kolei od razu witali ją serdecznie i wyrażali nieklamany entuzjizm dla teatru. Tym Jennifer dziękowała wdając się w krótkie pogawędki.

Tłuścioszek Randy cały czas siedział za kółkiem, a upał nasilał się z każdą godziną. Szyby furgonetki były opuszczone, ale wewnątrz i tak było nieziemsko gorąco i pot lał się strumieniami z biednego Randy’ego.

– Gdy będzie po wszystkim, oszaleję z radości – gderał w drodze do następnej grupy rozrzuconych domów. – Zostało nam jeszcze tylko, bagatela!, Kennebunk i główna autostrada.

– He czasu nam to zajmie?

– Jak dobrze pójdzie, prawie całą resztę tygodnia. A potem zajęcia przy teatrze, i tak w kółko.

– Chciałeś być aktorem, to masz.

– Nie widzę żadnego związku między rozwożeniem ulotek a byciem aktorem – skonstatował nieszczęśliwym głosem Randy.

Gdy kończyli objazd, zapas ulotek był na wyczerpaniu. Randy zawiózł ją na obiecane nabrzeże; widok zeń był istotnie imponujący, a nie opodal znajdowała się duża restauracja, którą Spaślaczek zareklamował Jennifer jako najlepszą w okolicy. Zaprosił ją nawet do niej na drugie śniadanie, a gdy nie skorzystała z zaproszenia, poszedł sam i wrócił po chwili z monstrualną kanapką. Nietrudno było się domyślić, skąd bierze się jego pokaźna tusza: bez przerwy jadł albo myślał o jedzeniu.

Spoczęli w końcu na ławce przy nabrzeżu, z przyjemnością wystawiając twarze na działanie słonej bryzy i słonecznego żaru.

Skończywszy kanapkę Randy oznajmił:

– Wiesz, mam pewien pomysł.

– Jakiż to pomysł? – zainteresowała się.

– Wiesz, że w tym teatrze nie dadzą mi pograć.

– Skąd ta pewność?

– Przecież widzę, w jakim kierunku to wszystko idzie. Słyszysz, że nazywają mnie Spaślaczkiem. Widzą we mnie śmiesznego grubasa. Jak tylko wyjdę na scenę, ludzie pokładają się ze śmiechu.

– Wszystko będzie w porządku, jeśli dadzą ci odpowiednią rolę. Taką, żeby to nie miało znaczenia.

– A ile może być takich ról?

– Niewiele – przyznała.

– Właśnie. Dlatego co najwyżej pracuję za kulisami albo służę za chłopca na posyłki. Jakieś korzyści odnoszę jedynie z obserwacji.

Popatrzyła na niego uważnie. – Wydaje mi się, że mniej więcej oto chodzi.

– Tylko że ja chcę grać!

– A zatem?

– A zatem wpadłem na pewien pomysł.

– To znaczy?

– Jedna z kafejek przy basenie portowym ma gitarzystę i piosenkarkę. Co wieczór występują tam w duecie. Ale ta druga nie ma nikogo na stałe.

– No i?

– Chcę iść i złożyć im propozycję. Grałbym u nich na gitarze, regularnie przeplatając muzykę skeczami. Skoro chcą się ze mnie nabijać, to niech mi przy okazji nabijają kieszenie. Dlaczegoż bym nie miał obrócić tego na swoją korzyść, powiedz? Byłbym komikiem, występowałbym u nich co wieczór po teatrze.

– Brzmi to wspaniale, Randy – roześmiała się. – I co wieczór byłbyś na scenie!

– Tak, to mi się podoba najbardziej – przytaknął.

– Koniecznie musisz z nimi pogadać.

Randy promieniał. – Inni by się ze mnie śmiali, ale ty – wiedziałem, że tobie mogę powiedzieć.

– No pewnie.

– Jeszcze dziś wieczorem wybieram się na rozmowę z szefem tej kawiarni. Jeśli na to przystanie, pierwsze przedstawienie dam dziś po otwarciu teatru. Chciałbym zaprosić całą obsadę i w ogóle wszystkich z teatru.

– Ja przyjdę, obiecuję. Helen i Sybil też na pewno Przyjdą. I Buddy!

– Na początek nieźle. – Po namyśle dodał: – Moim zdaniem, wpadłaś Buddy’emu w oko.

– Tak myślisz?

– Aha. Od kiedy tu przyjechaliśmy, nie widziałem, żeby się jakąś tak bardzo interesował. Jak tylko się pojawiłaś, od razu go wzięło.

– Chyba przesadzasz – roześmiała się. – Ja tego nie zauważyłam.

– Zrobiłaś na nim wrażenie, mówię ci.

– Nie wydaje mi się, żeby aż tak wielkie.

– Zrobiłaś, zrobiłaś – uciął Randy. – Buddy może mieć dziewczyn na pęczki, to nie to, co ja. Ale on ich wcale nie podrywa, raczej trzyma się z daleka. Tylko z tobą jest inaczej. To chyba o czymś świadczy.

– Randy...

– Założę się, że nim sezon dobiegnie końca, Buddy zacznie wyciągać cię na randki.

– Randy, ja tu przyjechałam pracować, a nie romansować.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Znajdziesz czas i na romanse, chyba że jesteś ulepiona z innej gliny niż wszyscy.

Nie siedzieli już długo, niebawem wsiedli w samochód i wrócili do teatru. Tam zjedli obiad – i znowu ruszyli w trasę. Tym razem skierowali się do Kennebunk, gdzie dopadł ich upał jeszcze większy niż nad samym oceanem. Gdy uporali się z ulotkami, było już późne popołudnie. Jennifer, wykończona, miała jeszcze przez pewien czas nadzieję, że zdąży sobie przed kolacją uciąć zbawczą drzemkę. Niestety, jej nadzieje okazały się płonne.

W drodze powrotnej do teatru spotkali złoisty sportowy kabriolet, który ze złożonym dachem pędził dokądś w przeciwnym kierunku. Auto przemknęło koło nich jak strzała, lecz mimo to Jennifer zdołała wypatrzeć w nim Tima. Jechał jako pasażer i miał na sobie strój do gry w tenisa. On też ich spostrzegł i pomachał im ręką, gdy się mijali. Za kierownicą kabrioletu siedziała zaś Ruth Crane, też ubrana na sportowo, – z czerwoną chustką zawiązaną na wypieszczonych jasnych lokach.

– Jaśnie państwo zawodowcy – mruknął Randy. – Jeżdżą sobie zabijając czas tenisem, a my tymczasem tyramy...

– Tak ten świat został urządzony – uśmiechnęła się.

– Pięknie. Nie podoba mi się tylko, że jestem w tej gorszej połowie – kontynuował swe żale Randy.

Ale i jej to przelotne spotkanie nie nastroiło optymistycznie do świata. Było bowiem dowodem, nie pierwszym i nie ostatnim, na to, że jej świat dzieli od świata zawodowych artystów głęboka przepaść, której nie sposób przeskoczyć ot tak, z marszu. Dało jej to wiele do myślenia, a przede wszystkim kazało jej zadać sobie pytanie, czy to naprawdę możliwe, by ona i Tim nawiązali jakąś trwałą przyjaźń, czy może to jedynie przyjemna mrzonka. Czas

pokaże – powiedziała sobie w końcu.

Zamiast drzemki zafundowała sobie zimny, orzeźwiający prysznic, który momentalnie postawił ją na nogi. Potem była kolacja, a wreszcie przyszedł już czas na próbę, którą zapowiedziano na siódmą. Między jednym a drugim zdążyła jeszcze kilka razy przejrzeć tekst sztuki, co bardzo poprawiło jej samopoczucie. Spodziewała się, że tego wieczoru okaże się bardziej wartościowym suflerem i aktorzy nie będą narzekać na szybkość i jakość jej wypowiedzi.

Za sceną panowała normalna w takiej chwili gorączka i krzątanie. Jennifer zajęła swoje miejsce i tam spokojnie czekała na kurtynę.

Zjawił się Tim, by zamienić z nią kilka słów.

– Nie wiem, czy poznałeś mnie tam w samochodzie, gdy się mijaliśmy?

– Tak, widziałam cię. Wracaliśmy z Kennebunk. Rozdawaliśmy ulotki.

Uśmiech igrał na jego przystojnej twarzy.

– Mam przez ciebie wyrzuty sumienia. Grasz w tenisa?

– Nie za dobrze.

– Trzeba cię będzie wypróbować któregoś dnia. Ja sam nie gram za dobrze.

– Wszyscy na miejsca! – rozległo się wołanie Kena Chadwicka.

Początkowo próba przebiegała szybko i sprawnie. Jennifer, mając w pamięci wszystko, co Helen i Sybil mówiły o aktorce wcielającej się w żonę Tima, przypatrywała się jej grze ze szczególnym zainteresowaniem. Nie ulegało wątpliwości, że Ruth Crane jest aktorką co najmniej poprawną. Urodą może nie zwałała z nóg, ale i zarzucić jej cokolwiek byłoby trudno: szczupła, elegancka, stylowa, co w połączeniu z gracją i pewnością ruchów dawało bardzo przyzwoite wrażenie ogólne.

Kryzys miał miejsce w drugim akcie, a wywołał go oczywiście nie kto inny jak Donald Winter, szacowny brytyjski gość. Wyłożył się na szalenie istotnej akurat kwestii, przez co całe tempo akcji diabli wzięli.

Z tonącej w mroku widowni doleciało wycie Rogera.

– Nie, nie rób mi tego znowu!

Jennifer wykrzyczała Winterowi jego zdanie, ale ten zdawał się nic nie słyszeć i tylko stał jak cieleń z nieprzytomną miną.

– Całą scenę od początku! – zarządził reżyser. – Chyba za drugim razem tego nie spaprzesz, co?

Zdeprymowany Brytyjczyk wszedł za kulisę i poprosił Jennifer o skrypt.

– Jak sobie jeszcze raz przeczytam, to może mi już zostanie w głowie – wyjaśnił.

Uprzejmie oddała mu tekst, a reszta aktorów biorących udział w scenie czekała niecierpliwie na jego powrót. Ruth i Tim rozmawiali o czymś z przejęciem, gestykułując, i kiedy Jennifer spojrzała w ich stronę, przyszło jej na myśl, że tworzą atrakcyjny, utalentowany aktorski duet. Nie dziwiło jej wcale, że aktorka, którą trudno by nazwać podlotkiem, zadurzyła się w Timie. Nie czuła zawiści.

Donald tymczasem skończył lekturę i wrócił na deski. Scertę odegrano ponownie, tym razem bez żadnych potknięć. Trzeci akt też wyszedł niezłe, a Helen i Sybil wypadły w swych

komediowych rólkach znakomicie – były pocieszne, wesołe i prostoduszne. Sybil co prawda nie miała nic do powiedzenia, ale jej dobry wygląd i mimika wystarczyły, by przydać roli właściwych kolorów. Helen zaś wykazała się odpowiednim dla swojej roli wyczuciem komizmu.

Próba dobiegła końca mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Jennifer stanęła za kulisami ze scenariuszem w ręku, bardzo ciekawa, czy i tym razem Tim przyjdzie z nią porozmawiać. Miała, prawdę mówiąc, taką nadzieję, wbrew temu, co ostatnio zobaczyła i usłyszała. I, o dziwo, nie musiała nawet długo czekać. Tyle że Tim przybył z uwieszoną na jego ramieniu Ruth.

Podeszli do niej oboje.

– Więc to ty jesteś tą utalentowaną osóbką, o której Tim się tyle rozwodzi – uśmiechnęła się lodowato Ruth.

Jennifer zdobyła się w rewanżu na niewyraźny grymas, przypominający tylko trochę uśmiech.

– Nie taka znowu utalentowana – bąknęła.

– A Tim, zdaje się, tak uważa. – Ruth podniosła oczy i spojrzała mu w twarz. Były w tym spojrzeniu poufałość i rozbawienie zarazem.

– Owszem, uważam, że Jennifer ma wielki aktorski potencjał.

Ruth jeszcze raz przyjrzała się jej z uwagą.

– No, na pewno się o tym przekonamy jeszcze w tym sezonie. Chciałabym teraz, moja mała, spędzić z tobą jakąś godzinę i poznać cię bliżej, ale jesteśmy z Timem zaproszeni na boskie przyjęcie u przyjaciela, który ma dom przy plaży. Będziemy musiały to sobie na razie odłożyć.

Powiedziawszy to, przyłgnęła do ramienia Tima, a ten popatrzył na Jennifer z zakłopotaniem i obiecał:

– Zobaczymy się niezadługo.

– Oczywiście – odrzekła cieniutkim głosem. Ruth na to obdarzyła ją zwycięskim uśmiechem, po czym znowu wpiła się w ramię Tima i pociągnęła go do wyjścia.

Było wiadomo, że tego wieczora w żadnym wypadku nie da sobie odebrać jego towarzystwa.

– A co byś powiedziała na dublera?. – jakiś głos zatrąbił jej prosto do ucha. – Odwróciła się i zobaczyła Buddy’ego, który przyglądał się jej z oznakami rozbawienia na twarzy...

– Chyba z jakiegoś skorzystam, bo zdaje się, że główny aktor jest w szponach Ruth.

– Zauważyłem. Mogę się założyć, że ktoś jej już powiedział o wczorajszym wieczorze.

– Tak sądzisz?

– No.

– Mnie to nie wydaje się takie . ważne.

Buddy skrzywił się. – Ważne czy nie, nie wiesz, jakich tu mamy w zespole plotkarzy. Słuchaj, jestem już gotów do wyjścia i chciałem ci właśnie zaproponować przejażdżkę do Prastarego Zajazdu na . coś, co cię pokrzepi.

– Do Prastarego Zajazdu? Nie słyszałam o nim.

– Prawie co wieczór zbiera się tam niemały tłum. To bombowe miejsce.

– W takim razie chciałabym się przekonać.

– I o to chodzi. Pojedziemy moim samochodem. To przy bocznej drodze, kilka kilometrów od zjazdu.

– Czyli jak należy: na uboczu – zaśmiała się.

– Właśnie. Za to wewnątrz mnóstwo się dzieje. Buddy nie mijał się z prawdą. Prastary Zajazd okazał się sędziwym, wzniesionym bez ładu i składu budynkiem poczty, którego pomieszczenia zaadaptowano na bar i restaurację. W głównej sali hałasował niemiłosiernie rockowy zespół, a hurma amatorów i amatek tego głośnego gatunku rozrywki, w krótkich spódniczkach tudzież sportowych wdziankach, – miotła się po parkiecie w rytm muzyki. Jennifer i Buddy wybrali jednak cichy kąt w jednym z mniejszych pomieszczeń, gdzie w miłym półmroku można było usiąść przy stoliku i porozmawiać.

Gdy kelner przyniósł zamówione napoje, Buddy rzucił na nią przenikliwe spojrzenie.

– Wyglądałaś na zagubioną, kiedy Ruth porywała ci Tima po próbie.

– Tak?

– Tak. Żał mi ciebie było. No i byłem trochę zaskoczony. Przecież znasz go zaledwie od paru dni. Nie mogłaś się w nim tak prędko zakochać.

– Chcesz mnie poddać psychoanalizie? – spytała z uśmiechem.

– Martwię się o ciebie.

– Dzięki.

– Mówię serio.

– Nie wątpię.

Patrzyła na niego w zamyśleniu.

– Chcesz, żebym ci opowiedziała o Timie i o tym, co do niego czuję? To nie będzie łatwe.

– Mamy na to cały wieczór – odparł z uśmiechem.

– W takim razie chyba lepiej będzie dla mnie, jak spróbuję. Chociaż wolałabym pogadać o tobie.

– Ja mogę poczekać.

– No dobrze. Co czuję do Tima, tak? Wydaje mi się, że to człowiek wyjątkowy. Imponuje mi, jako że grywał na Broadwayu, jako że jest starszy, trochę jak ojciec, ale i ma w sobie coś, co sprawia, że mogłabym stracić dla niego głowę.

– Na to wygląda.

– Myślę, że potrzeba mi kogoś takiego jak on – kontynuowała poważnym tonem. – To nie znaczy, że musimy od razu mieć ze sobą wspaniałą romans, a potem się pobrać i założyć szczęśliwe stadło małżeńskie, czy coś w tym guście. Nie to mam na myśli. Potrzebny mi raczej jego autorytet, rada, życzliwość. Mój ojciec jakoś nie potrafił mu tego dać i być może stąd to się bierze. Coś takiego w moim wieku jest bardzo ważne, wpływ Tima może zaważyć na moim życiu.

– A tak. I w tym sęk. Czy to nie za duże ryzyko? Ty ryzykujesz swoim życiem, a on w zasadzie niczym. Wystawiasz się na cios, Jennifer.

Spuściła wzrok i zaczęła się bawić uszkiem filizanki.

– Pewnie masz rację.

– Boję się, że to może się dla ciebie okazać zbyt niebezpieczne.

– Czemu?

– Bo myślę, że czujesz więcej, niż ci się zdaje – odpowiedział jej wprost. – Podejrzewam, że może się skończyć na tym, że się w nim bez pamięci zakochasz, a on w tobie. On jest w tym wieku i w tym punkcie kariery, że kto wie, – może właśnie potrzeba mu kogoś takiego jak ty, i to nie mniej niż tobie potrzeba jego. I w końcu uleglibyście głupiemu złudzeniu, że małżeństwo rozwiąże wszystkie, tak jego jak i twoje, problemy.

Spojrzała na niego czupurnie. – Dlaczego to głupie złudzenie?

Pokręcił głową.

– Bo... – Czemu nie miałyby rozwiązać?

– Ty już zaczęłaś szukać guza.

– Niekoniecznie. Powiedz mi jedno: gdybyśmy z Timem postanowili się pobrać, dlaczego to byłby błąd?

Buddy zaczerpnął duży haust powietrza.

– Niech ci będzie... A więc na dobry początek: Tim ma trzydzieści dziewięć lat, lekko licząc.

– On ma urodę Gary'ego Granta. Prawdopodobnie ma teraz więcej uroku niż wtedy, gdy miał lat dwadzieścia.

– I jest o bez mała dwadzieścia lat starszy od ciebie. To nie wróży nic dobrego, bo to nic dobrego nie jest. Może faktycznie twój przyszły powinien być od ciebie nieco starszy, ale nie o dwadzieścia lat! Dwadzieścia lat to ogromna różnica.

– Moim zdaniem, to jeszcze nie jest powód, żeby takie małżeństwo odrzucać. Są może jakieś inne?

– Tak. Z Tima sukcesem zawodowym nie jest tak różowo, jak sobie wyobrażasz. Jasne, grał parę razy na Broadwayu, niekiedy nawet dość długo. Tylko że to nie był prawdziwy sukces, taki jaki ustawia człowieka na całą resztę życia. Teraz już czas pracuje na jego

niekorzyść. Kto wie, czy nie nastaną dla niego ciężkie czasy, gdy trudno mu będzie wyżyć z aktorstwa.

Słuchała tego w osłupieniu. Tim jawił się jej dotąd jako uosobienie sukcesu, uznany i wzięty aktor, a jego występy na Broadwayu były czymś, co zrobiło na niej piorunujące wrażenie i do czego odnosiła się niemal z nabożną czcią. Przełknęła ślinę. – Dlaczego miałby mieć teraz kłopoty? – Mówiąc bez ogródek, jego najlepszy wiek już minął. Takich podtatusiałych aktorów jest bez liku, więcej, niż myślisz. Mój ojciec wielu takich zatrudnia, bo to mniejsze nazwiska i może ich mieć za niewielkie pieniądze.

– Jestem pewna, że Tim zawsze znajdzie pracę.

– Słyszałem nieraz opowieści, których ty słyszeć nie mogłaś. Wiesz, że już bywał bez pracy przez długie miesiące? Prawda, aktorom takie rzeczy się zdarzają, bo to już taki zawód. Ale Tim się starzeje i kiedy mu się to znowu przytrafi, może się z tego tak łatwo nie wykaraskać. Jeśli się nie ma pieniędzy i nie osiągnie się sukcesu, aktorstwo może być ciężkim kawałkiem chleba. Los starych aktorów jest nie do pozazdroszczenia.

– Tim nie jest starym aktorem!

– Ale starzejącym się – powiedział stanowczo Buddy.

– Niech ci będzie, starzejącym się – ustąpiła z wątlym uśmiechem.

– Mamy takich starych aktorów nawet tu w zespole. Na przykład Dudley Moffet. Widziałas go w sztuce, grał tego zabawnego inspektora bankowego.

– Tak. Bardzo dobrze grał.

– A traci wzrok. Odróżnia tylko światło od cienia i w ten sposób udaje mu się nie zablądzić na scenie. Udaje że jest z nim lepiej, niż jest w istocie, żeby ludzie nic nie zauważyli. Bo ta praca jest dla niego szalenie ważna. Więc korzysta z pomocy innych aktorów, prosi ich, żeby mu czytali tekst i podpowiadali w razie potrzeby, a mnie Ken każe oprowadzać go po scenie, aż się nauczy na pamięć, gdzie są wyjścia i poszczególne rekwizyty.

– Nie miałam o tym pojęcia!

– Twardy staruszek. Ale jest ofiarą tego zawodu. Ma nadzieję, że jeszcze popracuje, ale czy długo?

– Chcesz mnie załamać.

– Chcę, żebyś zrozumiała, moja świeżo upieczona gąsko-aktorko, że teatr ma nie tylko blaski, ale także i cienie.

– To świństwo! – jęknęła.

– Przepraszam. Podejrzewam zresztą, że daremnie strzępię sobie język, bo ty i tak będziesz myślała swoje. Nie zrezygnujesz z nawiązania przyjaźni z Timem, choćbym ci to nie wiem jak odradzał, prawda?

– Nie sędzę – przyznała otwarcie. – Zaproponował mi pomoc w nauce roli.

– Nie widzę w tym nic złego: w tym na pewno potrafi ci pomóc.

– No i lubię jego towarzystwo – dodała.

Buddy pochylił się ku niej. – Będziesz miała kłopoty z Ruth, jak się zaczniesz z nim zbyt często widywać. Ona go uważa za swoją szczególną własność.

- I domyślałam się, że jej aktorska kariera kwitnie.
- Od pewnego czasu. Żadna z niej gwiazda, ale jest na nią popyt. Gdyby Tim się z nią ożenił, pewnie byłaby w stanie mu pomóc. W najgorszym razie, gdyby przypadkiem został bezrobotnym, ona pracowałaby na nich oboje.
- Nie wyobrażam sobie, by Tim tego chciał.
- Nie chce – zgodził się Buddy. – W to nie wątpię. Ale to nie znaczy, że Tim wie, co dla niego jest dobre.
- A tobie się zdaje, że wiesz?
- Ja przynajmniej mogę na to spojrzeć w sposób obiektywny. A to już coś.
- A poza tym, jako syn zamożnego przedsiębiorcy teatralnego, nie musisz się martwić o swoją przyszłość – zdemaskowała go oskarżycielskim tonem.
- Ach, o to chodzi! – Uśmiechnął się drwiąco. – Cieszę się, że poruszyłaś ten temat.
- Czyżby?
- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, ilu ludzi mi nadszkakuje w przekonaniu, że mogę załatwić im pracę.
- Chcesz powiedzieć, że nawet nie owijają tego w bawełnę?
- Owijają, owijają, ale to łatwo przejrzeć. – Na jego twarzy malował się niesmak. – Wolałbym, żeby ludzie z zespołu nie wiedzieli, kim jestem. Ale teraz już za późno, żeby to ukryć. Już się do mnie przyssali.
- Tak czy inaczej, jesteś szczęściarzem. Kiedy skończysz ten staż, masz zapewnioną dobrą posadę. Ojciec da ci atrakcyjną pracę.
- Popatrzył jej nagle prosto w oczy. – Chcesz coś wiedzieć?
- Co?
- Nie przyjmę tej posady. Czeka go niewąska niespodzianka. Długo dojrzywałem do tej decyzji, ale teraz już wiem, że cokolwiek zrobię, chcę to zrobić sam i sukces zawdzięczać jedynie własnej pracy.
- Zatkało ją. – Zaraz, zaraz, a twój pobyt tutaj? Gdzie jego sens? Podobno uczysz się tu produkcji, żeby poprowadzić teatry ojca?..
- Taki jest jego zamysł. On mi zaplanował całe życie – rzekł Buddy z goryczą. – Kiedy skończę ten staż, pojedę do Nowego Jorku i będę się tłukł po mieście, pukał do wszystkich drzwi, aż znajdę najlepszą pracę przy produkcji, jaką będzie można znaleźć. Znajdę ją sobie sam.
- Chwilę wytrzeszczała na niego oczy, wreszcie się roześmiała.
- A więc ci wszyscy, którzy ci się podlizują, zwyczajnie tracą czas.
- Bezpowrotnie – przytaknął z zadowoleniem. – Czy to nie piękne? Przecież kiedy ojciec usłyszy o moich zamiarach, nie będzie chciał mnie więcej widzieć na oczy.
- Dobrze tak podlizywaczom – osądziła. – Ale ty? Co z tobą? Po co sobie utrudniać życie?
- Kwestia dumy. Kiedy wrócę do ojca na posadę, o ile w ogóle kiedyś wrócę, chcę być doświadczonym fachowcem, który ma co zaoferować pracodawcy.
- Chyba już pojmuję.

W tym miejscu ich rozmowę przerwała swym pojawieniem się na sali brytyjska gwiazda, Donald Winter. Rozpoznał ich od razu.

– Ty jesteś Buddy – powiedział, po czym uśmiechnął się do Jennifer. – A to moja suflerka... suflerzyna? Jak to się mówi?

– Nie usiądziesz? – zapytał Buddy, ściskając mu dłoń.

– Dosłownie na chwilę – zarzekł się Winter i opadł na wolne krzesło. – Właśnie wyszedłem z przyjęcia, na które stawiała się prawie cała nasza obsada. Wydała je jakaś tęga dama, która ma duży dom przy plaży. Towarzystwo mnie trochę znudziło, a poza tym miałem już dosyć trunków, więc się wyniosłem.

– A Tim Moore i Ruth Crane też tam byli? – spytała Jennifer.

– Jak najbardziej – odrzekł żartobliwie. – I zdaje się, że kiedy wychodziłem, jeszcze tam byli, choć tego pewien nie jestem. Roger musiał oczywiście być obecny, bo ta starsza dama jest wielką entuzjastką i podporą teatru. Nie śmiał uczynić jej afrontu.

– To bardzo trudny zawód – uśmiechnął się Buddy.

– O tak – zgodził się Winter markotnym tonem. – Byle ten tydzień szybko przeleciał, a potem wracam z rozkoszą do codziennej telewizyjnej harówki.

– Zawsze pana z przyjemnością w niej oglądam powiedziała Jennifer.

Łypnął na nią okiem z wyraźnym zaciekawieniem.

– To mój podstawowy środek wyrazu.

Wychylił się od stołu i zajął do sąsiedniej sali, gdzie trwało rockowe szaleństwo.

– Głośny zespół – zauważył. – Ale za to rytm co się zowie! Miałaś ochotę ze mną potańczyć, miła suflerko? – zapytał i zerwał się z miejsca.

– Naturalnie. – Nie potrafiła mu odmówić, przyjęła więc rękę, którą jej ofiarował. – Przepraszamy na moment, Buddy.

Buddy zaniósł się śmiechem. – Bawcie się dobrze i nie wróćcie głusi – rzucił za nimi.

Donald dumnie wkroczył z Jennifer na taneczny parkiet. Kilku tańczących natychmiast go rozpoznało i Jennifer wyczuła, że ona i aktor skupili na sobie uwagę większości sali. Znaleźli sobie trochę miejsca w tłumie i rzetelnie odprawili całutki rytuał polegający na pochylaniu się i prostowaniu oraz podnoszeniu i opuszczaniu nóg w niewielkiej odległości od partnera. Nieskomplikowana ta procedura stanowiła najwyraźniej obowiązujący tu styl tańca, przestrzegali jej bowiem z upodobaniem wszyscy obecni na parkiecie. Gdy muzyka na chwilę zamilkła, Jennifer i Donald opuścili taneczną salę, z trudem łapiąc oddech.

– Niezwykłe przeżycie, nie ma co – wyrzucił Winter. – Jedno z tych niezapomnianych.

Odprowadził ją do stolika, życzył dobrej nocy i szybko umknął z tętniącego życiem zajazdu.

Usiadłszy, Jennifer znalazła się twarzą w twarz z rozbawionym jak dziecko Buddym.

– Zdziwił mnie. Wytrzymał cały kawałek! – tryskał humorem. – Kompletnie go wykończyłaś!

– To był jego pomysł – przypomniała mu.

– Fakt – przyznał. – No i jak, wystarczy rozrywek na ten wieczór?

– Mnie tak!

– Zadowolona?

– Podoba mi się tu bardzo.

– To nie ostatni taki wieczór – obiecał Buddy. – Są jeszcze inne ciekawe miejsca.

– Nie wątpię.

Pojechali z powrotem do pensjonatu. Buddy zaparkował nie opodal żółtego budynku. Noc była ciepła i gwiaździsta, niewielką przestrzeń przebyli spacerowym krokiem.

– Nie widzę świateł w oknach – odezwała się Jennifer.

– Jesteśmy ostatni. Większość już śpi. Lubią się dobrze wysypiać, więc wcześniej się kładą.

– To sprawa powietrza i ciężkiej pracy. Sama czuję się już śpiąca. – Przystanęli na progu, aby popatrzeć na rozgwieżdżone niebo.

– Dzięki za miły wieczór – powiedział Buddy. Odwróciła się do niego z uśmiechem. – A ja dziękuję za wszystkie wykłady i prawdy objawione.

– Zapomnisz do rana – przepowiedział. j– Mam nadzieję.

– Wyglądasz bardzo ślicznie i młodo – rzekł z ciepłą nutą w głosie. – Dobrej nocy, Jennifer.

Objął ją i ucałował na pożegnanie. Nie był to pocałunek tak elektryzujący jak pocałunek Tima, ale i nie przykry. Nie – nawet wcale przyjemny.

– Dobranoc, Buddy.

Razem weszli do budynku i ruszyli po schodach, potykając się w mroku i tłumiąc śmiech, potem w równie ciemnym korytarzu szukali po omacku swoich drzwi.

Podobnie jak dzień wcześniej, Jennifer zastała w pokoju ciemność i ciszę. Tym razem jednak żadna z dziewczyn się nie obudziła. Przygotowała się więc bezszelestnie do snu, zadowolona, że na razie obyło się bez kłopotliwych pytań. Kilka minut później spała już jak głaz.

Dopiero rano koleżanki zasypały ją pytaniami o to, gdzie była i co robiła. Kiedy opowiadała im o tańcu z Donaldem, Helen i Sybil zrobiły okrągłe oczy.

– Wyobrażasz sobie jego w takiej knajpie jak Prastary Zajazd? – Helen zawołała do Sybil.

– Taki niepozorny człowieczek!

Sybil stała przed lustrem, układając na łapucapu długie czarne włosy, Helen zaś i Jennifer naprędce kończyły się ubierać.

– Widocznie Jennifer go z tej niepozorności wyleczyła – powiedziała Sybil.

– To on chciał tańczyć – odparła Jennifer. – I tańczyliśmy tak długo, że zszedł z parkietu ledwo żywy.

Sybil dała spokój swojej fryzurze. Zapytała:

– Umawiasz się z dwoma facetami naraz, ale chyba jednego z nich lubisz bardziej? Którego: Buddy’ego czy Tima?

– Nie zadaje się takich pytań – obruszyła się Jennifer. – Tak się składa, że lubię ich obu, ale każdego w inny sposób!

Helen złapała koleżankę za rękę.

– Chodź, nie trać czasu na głupie pytania, bo nam zamkną jadalnię. Pewnie, że Tima lubi

najbardziej ze wszystkich! Co się jej pytasz!

Jennifer nie dała im w tym względzie żadnej satysfakcji, tylko bez słowa udała się ich śladem na śniadanie. Po prawdzie, ona sama nie była pewna swych uczuć do Tima i Buddy'ego i gdyby ją przycisnęły do muru, nie potrafiłaby im udzielić kategorycznej odpowiedzi. Tamtego wieczora, gdy się poznali, Tim naprawdę zawrócił jej w głowie. Ujął ją za serce swoją urodą i ujmującym sposobem bycia. Ale teraz, gdy na trzeźwo rozważyła pewne sprawy, o których mówił Buddy, już nie była co do Tima taka pewna.

Po śniadaniu przydzielono im zadania na ten dzień; Jennifer powierzono tym razem kasę biletową, Helen zaś wysłano w towarzystwie Randy'ego na akcję rozwożenia ulotek. Helen bardzo na to psioczyła, natomiast Jennifer ze swego nowego stanowiska pracy była zadowolona.

Sprzedawała bilety razem z Sibil, którą również tam skierowano – i całe szczęście, bo klienci napływali niemal nieprzerwanym strumieniem. Cóż, otwarcie sezonu było tużtuż, a i letnicy zaczęli wreszcie tłumnie zjeżdżać. Niektórzy teatromani kupowali nawet karnety na cały sezon, które dawały drobną zniżkę.

Przed południem wpadł do kasy Roger Deering. Był w niedbałym, roboczym ubraniu – luźnych spodniach i rozpiętej pod szyją białej koszuli. Mimo iż od lat nie występował na scenie, wciąż było w jego wyglądzie coś niewątpliwie teatralnego. Sprawdził, ile zostało biletów na pierwsze przedstawienie, a wynik tej kontroli wywołał na jego twarzy wyraz zadowolenia.

– Prawie wyprzedane – stwierdził.

– Od samego rana miałyśmy duży ruch – poinformowała z uśmiechem Jennifer. – Zostało nam tylko kilka rozrzuconych miejsc z przodu i parę z tyłu.

– Właśnie widzę – rzekł rozpromieniony. – I cos wam jeszcze powiem, moje panie: to tutaj, w takiej samej mierze jak na scenie, decydują się losy spektaklu. Jeśli w kasie jest niedobrze, to jakość przedstawienia przestaje się na dobrą sprawę liczyć.

– Wielu tu mówiło rano o spektaklu w Ogunquit – odezwała się Sybil. – W przyszłym tygodniu gra u nich Shirley Booth.

Roger zmarszczył brwi. – Mocna konkurencja! A ja i zapłaciłem ładny grosz za Donalda Wintera. Właśnie w tym punkcie Ogunquit kładzie nas na łopatki. To dzięki tym gotowcom. Co tydzień mają nową dużą gwiazdę a nas na to zwyczajnie . nie stać.

Rozmowa skończyła się wraz z pojawieniem się nowych kupujących, ale Jennifer jeszcze długo chodziło po głowie, co powiedział reżyser. Jego słowa przypomniały jej o tym, co usłyszała wcześniej od Tima; spektaklegotowce . ; zaczynają podbijać letnie teatry.

Siedziały z Sybil w kasie aż do obiadu. Po obiedzie i należał im się czas wolny. Sybil była już umówiona w prywatnym klubie plażowym w Kennebunk z jakimś młodym tubylcem. Jennifer nie mogła się zdecydować, co robić. Zastanawiała się nad umyciem włosów, ale w końcu się rozmyśliła. Miała właśnie wyjść na słońce, żeby trochę się poopalać, gdy donośny okrzyk pani Thatcher z samego parteru powiadomił ją, iż jest proszona do telefonu.

Aparat znajdował się w suterenie budynku. Jennifer zbiegła po schodach i dopadła

aparatu niemal bez tchu.

– Słucham? – wydyszała do słuchawki.

– Co ty, biegłaś całą drogę? – zapytał rozbawiony głos po drugiej stronie.

– Prawdę mówiąc, tak – odrzekła rozpoznając głos Tima.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało.

– Znalazłem w moich rzeczach tekst „Proszę przyjść jutro”. Chciałbym ci go podrzucić. Chcę, żebyś go zawnoczu przeczytała i doskonale znała.

Od razu się zapaliła. – Dziękuję, to strasznie miło z twojej strony.

– Nie ma za co. Jadę akurat do Kolonii na basen. Może byś ze mną popływała? Przy okazji dałbym ci tekst.

– Bardzo chętnie. Mam wolne popołudnie.

– . To świetnie. Przyjadę po ciebie za jakieś dziesięć minut.

– Poczekam na dole w holu.

Odłożyła szybko słuchawkę i pobiegła na górę do pokoju. Następne kilka minut wypełniły jej gorączkowe poszukiwania: kostiumu kąpielowego, który byłby najbardziej odpowiedni na tę okazję; czepka, który akurat w tajemniczy sposób gdzieś się zawieruszył; wreszcie stosownej sukni plażowej.

Kiedy już była gotowa, przyjrzała się sobie dokładnie w lustrze i stwierdziła z zadowoleniem, że jej żółto-czarna kwiecista sukienka plażowa prezentuje się dostatecznie okazale. W końcu uśmiechnęła się do swego odbicia, bo zdała sobie nagle sprawę, jak bardzo jest podniecona – mimo, wszystko – perspektywą nowego spotkania z Timem.

Tim nie kazał jej na siebie czekać. Jego czarny, przysadzisty samochód zajechał pod pensjonat punktualnie. Tim miał na sobie dzianą białą koszulkę, zapinaną pod szyją, i kraciaste długie spodnie. Nic nie powiedziała, ale pomyślała sobie, że nigdy dotąd nie wyglądał bardziej ; młodo i atrakcyjnie niż w tym swobodnym odzieniu. Jego smągła cera i opalona skóra dobrze kontrastowały z białą koszulką.

– Cieszę się, że możesz ze mną jechać – powiedział, zawracając samochód w kierunku miasteczka.

– Miałaś szczęście trafić w dobry dzień – uśmiechnęła się. – Pracowałam dziś rano w kasie biletowej, więc przysługuje mi wolne popołudnie.

– To wspaniale! Możemy jakiś czas pobyc na basenie w Kolonii, a potem, jeśli będziemy mieli ochotę, pojechać w jakieś spokojniejsze miejsce. Jeśli idzie o basen, to cieszę się tym wyjątkowym przywilejem, ponieważ w hotelu mieszkają pewni moi znajomi, a oni mogą zapraszać gości.

– Wygodne urządzenie.

– Korzystam z niego tak często, jak to możliwe. Tym razem jechali do Kolonii jakąś inną trasą. Znaleźli się w małej, ustronnej alejce między szpalerami starych.

dostojnych wiązków i szeregami dużych pseudowiktoriańskich domów.

Przy końcu alejki Tim skręcił w wąską leśną drogę, potem odbił nagle w prawo – i już byli koło wielkiego białego hotelu. Tym razem musieli zaparkować po drugiej stronie drogi, gdyż pod głównym budynkiem nie było miejsca. Niespiesznym krokiem przeszli do chłodnego, cienistego holu i zameldowali się w recepcji, gdzie Tim upomniał się o swój basenowy przywilej. Podał nazwisko znajomych i uiścił żadaną opłatę, po czym droga na basen stanęła dla nich otworem. Zeszli jeszcze tylko do przebieralni, gdzie przebrali się w stroje kąpielowe, i byli gotowi do korzystania z dobrodziejstw kąpieli.

Basen położony był wysoko na skalnym podłożu, ponad poziomem oceanu. Przystanęli na moment u wejścia, z torbami plażowymi w rękach, i podziwiali okolicę, która słała się u ich stóp.

– Cudowny widok! – zachwycła się. – Tamtego wieczora, kiedy tu byliśmy, nie widziałam go w całej okazałości.

– Widać kawałek oceanu, plażę w Kennebunk i cały teren przy plaży – objaśnił Tim.

Wokół lśniącego kolosa basenu ustawiono mnóstwo leżaków do opalania i krzeseł.

– Gdzie chcesz spocząć? – zapytała.

Założył ciemne okulary, które w jaskrawym blasku słońca były po prostu koniecznością.

– Moi znajomi mówili, że zajmą dla nas krzesła. Zazwyczaj siadają gdzieś po lewej.

Wytężył wzrok w tamtym kierunku i zaraz dodał z zadowoleniem:

– O, już ich widzę!

Obeszli narożnik basenu, ze wszystkich stron opasanego betonowym murkiem. Goście hotelowi opalali się w kostiumach kąpielowych bądź prowadzili rozmowy, siedząc na

krzeselkach. Kilka osób baraszkowało w wodzie, a grupka smarkaczy robiła użytek z trampoliny, każde zanurzenie ogłaszając wszem wobec przeraźliwymi wrzaskami.

Znajomi Tima okazali się starszym małżeństwem z Filadelfii, o nazwisku Hanley: Ellen i James Hanleyowie. Nie zwracali swym wyglądem szczególnej uwagi, ale już pierwszy rzut oka pozwalał się w nich domyślać ludzi o dużej kulturze i wysokim statusie majątkowym. Oprócz tego Jennifer wkrótce się przekonała, że w ich starych ciałach mieszka całkiem młody duch; choć nie przygotowani do kąpieli wodnej, państwo Hanleyowie nie odmawiali sobie kąpieli słonecznej, wylegując się na leżakach w swobodnym sportowym odzieniu.

Ellen Hanley nosiła duży słomkowy kapelusz z szerokim rondem, którym chroniła przed słońcem swoją sympatyczną, aczkolwiek mocno już pooraną zmarszczkami twarz. Nalegała, by Jennifer usiadła przy niej, i zaraz zaczęła ją wypytywać o wrażenia z teatru i jej dotychczasowe zajęcia. James Hanley w tym samym czasie gawędził z Timem. Podsluchując ich jednym uchem, Jennifer dowiedziała się z ich napomknień, że James był ongiś przedsiębiorcą budowlanym, ojciec Tima zaś konstruktorem wielu spośród postawionych przez Jamesa obiektów.

– Ojciec Tima przeżył wielki zawód, kiedy Tim odszedł do teatru – powiedziała Ellen Hanley, nachylając się do Jennifer. – Chciał, żeby Tim pomógł mu prowadzić rodzinny interes. Ale chyba nie wyszło to tak źle. Tim wydaje się zadowolony ze swojej pracy.

– O tak, na pewno – przytaknęła skwapliwie Jennifer. Staruszka zniżyła głos, aby siedzący przed nimi mąż i Tim nie mogli jej dosłyszeć.

– Uważam, że przez swój wybór Tim poniósł wielką finansową ofiarę. Większość pieniędzy ojca przypadła jego młodszemu bratu. Rodzice nie żyją już od ładnych paru lat i podejrzewam, że wszystko, co Tim dostał w spadku, dawno mu się rozeszło.

– Nie wydaje mi się, by przywiązywał zbyt wielką wagę do pieniędzy – rzekła Jennifer.

Ellen pokiwała głową. – Tak, i prawdopodobnie mądrze czyni. Tylko że gdy się człowiek zestarzeje, pieniądze mogą okazać się ważne.

Tim z uśmiechem przerwał im rozmowę:

– Chcesz wejść do wody?

– Czemu nie – odparła.

W mig nałożyła czepek i udała się za nim ku płytszemu krańcowi basenu. Weszła ostrożnie, noga za nogą, ale woda sprawiła jej miłą niespodziankę: była podgrzana do rozsądnej temperatury, dzięki czemu od razu można było zacząć pływanie. Po chwili razem z Timem śmigała radośnie od jednego do drugiego końca basenu i bawiła się o bożym świecie nie pamiętając. Oboje w miarę dobrze pływali; pluskali się w wodzie przez blisko dwadzieścia minut.

Gdy powrócili na leżaki, Hanleyowie zbierali się właśnie do odejścia. Na odchodnym oboje uścisnęli Jennifey dłoń i wyrazili nadzieję, że jeszcze kiedyś – ją zobaczą. Potem ona i Tim zostali na basenie sami. Dzieci, które oddawały się nurkowaniu i skokom, też gdzieś zniknęły i nad basenem zaległa przyjemna cisza.

Rozciągnęli się na leżakach i rozkoszowali słońcem.

– To się nazywa życie! – odezwał się sennym głosem Tim. – Dlatego tak lubię letni teatr.

– Też dostrzegam te dobre strony – zgodziła się. – Hanleyowie byli przyjaciółmi moich rodziców” – rzekł w nagłej zadumie.

– Mili ludzie. Jak na swój wiek, bardzo atrakcyjni kompani.

– Nadzwyczaj atrakcyjni.

Podniósł się na łokciu i obdarzył ją szerokim uśmiechem.

– Ale tak po cichu podejrzewam ich o przekonanie, że zostając aktorem zrujnowałem sobie życie. Są bardzo konserwatywni.

Odwzajemniła uśmiech. – Nie lubisz, kiedy ludzie martwią się o twoje dobro?

– Nie. Chociaż sądzę, że dobrzy z nich przyjaciele.

Wylegiwali się na słońcu jeszcze przez jakieś pół godziny, aż w końcu Tim poszperał w swojej torbie i wyciągnął z niej książeczkę w niebieskiej okładce.

– Weź sobie to do domu i koniecznie przeczytaj dokładnie od deski do deski. Kiedy skończysz, popracujemy nad rolą Ann.

– Dziękuję – rzekła z autentyczną wdzięcznością. – Kiedy ta sztuka ma być planowo wystawiona?

– To będzie trzeci z kolei spektakl. Nie zostało ci wcale tak wiele czasu.

– Zaraz się do tego zabiorę – przyrzekła, przewracając kartki.

– Rola jest nieduża, ale wspomniała – zapewnił ją. – I jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia, to ty ją zagrasz.

Popatrzyła na niego z ^zażenowanym uśmiechem.

– Nie chcę, abyś naciskał na obsadzenie mnie w tej roli. Chcę sprawdzić, czy uda mi się ją samej zdobyć.

– W porządku. Ale najpierw koniecznie muszę ci poduczyć. A potem zobaczymy, co na to Roger.

– Będziesz grał główną rolę? – zapytała po chwili, i – W tej inscenizacji tak. Ale na Broadwayu jej nie r grałem, tam wystąpiłem w roli reportera. Prawdę mówiąc, to tylko rola epizodyczna, ale każdy reżyser obsadza z największą starannością.

Wkrótce potem ponownie znaleźli się w wodzie – pływali niedługo i znowu wrócili na słońce. Większość leżaków była już opuszczona, mieli dla siebie prawie cały basen. Znudzeni troszkę beczynnym leżakowaniem, przespacerowali się do żelaznej balustrady, która oddzielała teren basenu od spadającej ku drodze skarpy. W oddali złociła się plaża i błyszczał ocean. Tim wydawał się jej wyjątkowo przystojny, gdy tak stał u poręczy z rozwianymi bryzą włosami.

Sprawił – wrażenie dziwnie zamyślnego. Jakiś czas wpatrywał się w ocean, aż wreszcie odwrócił się do niej i rzekł:

– Nie potrafię ci powiedzieć dlaczego, ale kiedy jestem z tobą, czuję doskonały wewnętrzny spokój.

– Cieszę się z tego – odrzekła. – Ja też się przy tobie dobrze czuję.

Teraz znów wyglądał na zmieszanego.

– Nie rozumiem. Nie rozumiem tego. Znamy się przecież od tak niedawna, a zdaje mi się, jakbyśmy byli przyjaciółmi od zawsze.

Skinęła głową. – Wiem.

– Dotąd zupełnie dobrze sobie radziłem sam. Teraz nagle poczułem potrzebę bycia z drugą osobą. I prawdziwe zadowolenie daje mi tylko bycie z tobą.

W jej oczach zapaliły się iskierki radości.

– Cieszę się, że to powiedziałaś. Ja mogłabym ci powiedzieć dokładnie to samo.

Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na balustradzie, tam, gdzie spoczywała dłoń Jennifer. Ich oczy się spotkały.

– Tylko, że to szaleństwo! – Spuścił nagle wzrok. – Nie mamy powodu, a tym bardziej prawa, żeby się w sobie zakochać!

– A czy można takie rzeczy logicznie wyjaśnić? Zaplanować?

– Nie sądzę – przyznał. – Ale ja mam prawie tyle lat, że mógłbym być twoim ojcem.

– Ale nie jesteś – ucięła spokojnym głosem. – I wcale nie czuję się twoją córką. Po prostu widzę w tobie okropnie interesującego mężczyznę.

– Ty zaś jesteś najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem – powiedział z przekonaniem. – I myślę, że naprawdę posiadasz potencjał aktorski.

– No więc cóż takiego złego jest w naszym zakochaniu?

Westchnął. – Lepiej będzie, jak od razu ci powiem, bo i tak usłyszysz. Zespół teatralny jest jak rodzina: plotki rozchodzą się lotem błyskawicy i nigdy nie przestają krążyć. Jestem dość blisko z Ruth Crane, chodzimy razem tu i tam. To trwa od kilku lat.

– Wiem. To świetna aktorka.

– Bardzo dobra – potwierdził. – Dzisiaj też byłem z nią umówiony, ale zostawiłem ją na lodzie, bo chciałem być z tobą. Przypuszczam, że ona wie, dlaczego nie przyszedłem. I pewien jestem, że nie potrafi zrozumieć, dlaczego tak postępuję. Jak zresztą mogłaby zrozumieć, skoro ja sam tego nie rozumiem?

Jennifer uśmiechnęła się do niego markotnie.

– Jeśli to, co mamy, jest takie dobre, to po co zadawać tyle pytań?

– Podoba mi się taka filozofia. Wiem jednak, że napotkamy różne opory. Roger krzywo patrzy na wszelkie bliższe przyjaźnie między stażystami a zawodowym zespołem. On będzie tu miał coś do powiedzenia.

– Mnie to nie przeszkadza, a tobie?

Parsknął krótkim, gorzkim śmiechem. – Nie. Prawdę, powiedziawszy, z niejaką przyjemnością będę przed nim obnosił nasz związek. To wariactwo, ale czuję, że tak będzie.

– Próbowałam sobie wybić ciebie z głowy. Nic z tego. Nie wyszło. Czemu by więc nie powiedzieć sobie pewnych rzeczy wprost i się tym cieszyć, miast zamartwiać?

Wpatrywał się w nią z uwagą i czułością.

– Mam nadzieję, że to będzie dla nas cudowne lato.

– To lato nie ma innego wyjścia. Skoro już się tak zaczęło.

Gdy odwiózł ją na kwaterę, siedzieli chwilę w samochodzie przed wejściem do pensjonatu. Nim wysiadła, nachylił się do niej i złożył na jej ustach czuły pożegnalny pocałunek. Stała potem i machała mu ręką, gdy odjeżdżał w kierunku Zagrody, gdzie mieszkali członkowie zawodowego zespołu.

Zniknął wreszcie, a ona obróciła się na pięcie, by wejść do budynku, gdy nagle zza drzwi wyskoczył Randy. Na jej widok tłuścioszkowi gęba roześmiała się od ucha do ucha.

– Szukałem cię – powiedział.

– Tak? – Odwzajemniła uśmiech. – Pojechałam popływać.

– Widzę właśnie. Chciałem ci powiedzieć, że rozmawiałem już z szefostwem kafejki o tym muzyczno-komediowym programie.

– Och, rozmawiałeś? – zainteresowała się natychmiast. – I jak poszło?

– Spodobało im się – odrzekł rozradowany. – Przedstawiłem im pomysł, pobrzdałem na gitarze... i przyjęli mnie!

– Brawo, Randy! – ucieszyła się szczerze.

– Pieniądze będą z tego nieduże, ale będę występował co wieczór. I jeszcze coś bardzo ważnego: chcę, żebym pozyskał do programu jakąś dziewczynę.

– Serio?

– Tak. Jako coś w rodzaju komediowego tła dla mnie. Rozumiesz: ja jej śpiewam, a ona na to nic, nie zwraca uwagi. Wtedy ja wchodzę z komediowym kawałkiem, a ona dalej nic, wygląda na nadąsaną i zdegustowaną. Potem zaczynam taką chwytliwą piosenkę o miłości, a ona nagle przyłącza się do śpiewu, czym oczywiście wszystkich zaskakuje. I na tym koniec programu.

– Brzmi nieźle – powiedziała Jennifer. Zawahał się, jakby się nieco krepował.

– No i o to właśnie chciałem cię zapytać: mogłabyś być tą dziewczyną?

Jennifer była zaskoczona. – Nie wiem. Nie jestem odpowiednia. Tobie potrzeba aktorki komediowej. Może Helen?

Randy’emu raptem rzędła mina. – Ona się w życiu nie zgodzi! Widzi we mnie tylko tego Spaślaczka, niedojdę!

– Nie sądzę, by to było dokładnie tak.

– Kiedy tak jest, i już. Ty jesteś chyba jedyną osobą, która we mnie wierzy.

– To może ja pogadam o tym z Helen? Co ty na to? – zaproponowała. – A potem, jeśli okaże jakieś zainteresowanie, ty sam z nią omówisz resztę.

Spaślaczek rozpogodził się. – Pogadasz z nią, serio. ‘

– Naturalnie. Zrobię to z radością.

Znowu spochmurniał. – Nie sądzę, żeby chciała ze mną robić jakieś programy.

– Nie bądź taki pewien. Pogadać warto. Jeśli uda ci się ją namówić, będziesz miał doskonałą partnerkę. Jestem , przekonana, że z nią twój program musi wypalić. – A ty się nie zastanowisz nad moją propozycją?

– Nie, dopóki Helen nie odmówi. Pogadam z nią, jak tylko ją zobaczę.

Pośpieszyła na górę, gdzie zastała obie swoje współlokatorki; wróciły już najwidoczniej jakiś czas temu. Helen wylegiwała się na łóżku i skarżyła się na ilość potu wylanego w ciągu popołudnia przy rozwożeniu ulotek. Sybil akurat skończyła się szorować po kolejnej styczności z farbą i siedziała na łóżku w szlafroku, czyszcząc sobie paznokcie u rąk.

Helen podniosła się leniwie do pozycji siedzącej.

– Gdzie byłaś? – zagadnęła. Jennifer uśmiechnęła się filuternie.

– W Kolonii na basenie.

– Posłuchajcie jej tylko! – mruknęła Helen. – My pracujemy, a ona się byczy.

– Kto cię zabrał na basen? – zapytała Sybil.

– Tim. Jego znajomi tam mieszkają. Co za popołudnie, mówię wam! – westchnęła.

– No jasne! – gderwała Helen. – A ja spędziłam całe popołudnie w furgonetce ze Spaślaczkiem i z ulotkami. Na domiar wszystkiego. Spaślaczek miał te swoje głupie humory i cały czas milczał jak zakłęty. Prawie nic do niego nie docierało, gadałam jak do ściany.

Jennifer przysiadła na jej łóżku. – A ja wiem dlaczego. Zamartwiał się.

– Spaślaczek? O cóż takiego się zamartwiał?

– To naprawdę sympatyczny i wrażliwy chłopak. Właśnie go zaangażowano do kawiarni, gdzie ma robić wieczorny program artystyczny. Widocznie poznali się na jego zdolnościach. Ale Spaślaczek się martwi, bo nie wie, skąd wziąć partnerkę do tych występów.

– Nie wierzę!

– Ale tak jest – ciągnęła Jennifer. – Uważam, że to może być duża szansa dla kogoś o komediowym zacięciu. Dlatego poddałam mu pomysł, żeby wziął ciebie.

– Mnie! – wykrzyknęła. – Ja mam występować ze Spaślaczkiem?

– A czemu nie? To będzie doskonała praktyka, a on sam ma przed sobą niegorsze widoki.

– To sama z nim graj!

– Ja nie czuję się dobrze w komedii.

– To niech wypróbuj Sybil. Przy jej figurze nikogo nie będzie obchodzić, czy potrafi grać, czy nie.

Sybil podniosła głowę z nad paznokci.

– Ani mi się śni. Nie mam zamiaru pracować całymi wieczorami, jakby mi było mało roboty w teatrze. Mam chłopaka w Kennebunk, a jemu też się coś ode mnie należy.

Helen przewróciła oczami. – Amor strzela, brzydki łotr, bez opamiętania, ale dla mnie jakoś nic ustrzelić nie może.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: zagraj z Randym – przekonywała ją Jennifer. – On tego chce, ale brak mu odwagi, żeby cię samemu poprosić.

Trwało jeszcze dłuższą chwilę, nim w końcu Helen, niechętnie, z rezerwą, zgodziła się omówić sprawę z Randym. Jennifer czuła, że wygrała; była pewna, że gdy Helen i Randy przejdą do konkretów, reszta potoczy się sama.

Co zaś do niej samej, Jennifer, to trzeba powiedzieć, że wciąż nie mogła zejść na ziemię po tym popołudniu na basenie. Rozpamiętywała nadal te wzajemne zwierzenia przy balustradzie: Tim nareszcie wydobył z siebie coś, co było jednoznaczne z wyznaniem miłości, a ona była wobec niego równie szczerą. Fakt, iż darzą się nawzajem uczuciem, wyszedł ze sfery niejasnych przypuszczeń na światło dzienne. I choćby nie oznaczało to nic wielkiego, był to na pewno – przeczuwała – dobry fundament, na którym można to coś większego zbudować.

Przejrzała z grubsza tekst „Proszę przyjść jutro”. Rola Ann rzeczywiście była wspaniała, aczkolwiek krótka. Jennifer mocno postanowiła przeczytać sztukę skrupulatnie i od deski do

deski, tak jak radził jej Tim.

Próba tego wieczora poszła wyjątkowo gładko. Gdy dobiegła końca, Tim zjawił się koło niej i rzekł z uśmiechem:

– Moja ulubiona suflerka nie miała dziś wiele roboty.

– Prawda. Świetnie dziś poszło.

Znać było po nim pewne wahanie, nim powiedział:

– Roger wydaje dziś w Leśnym Gnieździe małe przyjęcie na cześć Donalda. Nie wiem, czy miałabyś ochotę pójść?

– To dla całego zespołu? – spytała.

– Dla całego zespołu – odpowiedział z ociąganiem. Wyczuła w jego głosie coś, co kazało jej zadać następne pytanie:

– Ale ja będę pewnie jedyną osobą z grupy stażystów? Aktor potaknął skinieniem głowy.

– Owszem. Roger nie zaprosił stażystów, ale ty będziesz moim osobistym gościem. Chciałbym cię tam mieć przy boku.

– No, nie wiem...

– Nie musisz się martwić, że ktoś będzie zły z tego powodu. Zorientują się od razu, że przyszedłeś jako mój gość.

Spojrzała na niego z pytaniem w oczach.

– A Roger, co on na to?

– Nic. Co miałby powiedzieć?

– No, mówiłeś mi, jak on się zapatruje na to, że stażyści zadają się z zawodowcami...

Uśmiechnął się. – A więc my będziemy wyjątkiem. Ile czasu ci potrzeba, by wskoczyć w wieczorowy strój?

– Piętnaście minut.

– Świetnie. Przyjadę po ciebie.

Pędem udała się do pokoju, żeby się przebrać. Helen ani Sybil nie było. Helen widziała pod wieczór rozmawiającą z Randym, z czego wносиła z pewną nadzieją, że tych dwoje przystąpiło do dzieła.

Jennifer wybrała na przyjęcie białą suknię bez ramion i naprędce odnowiła makijaż. Gdy wybiegła przed pensjonat, Tima tam jeszcze nie było, za to po chwili z cienia wyłoniła się inna sylwetka. To był Buddy, który dopiero wracał z teatru. Przystanął na jej widok.

– Wybierasz się na bankiet do Leśnego Gniazda? – zapytał.

– Tak.

– Nie wiedziałem, że zaprosili kogoś ze stażystów.

– Tim mnie zabiera – wyjaśniła.

– Aha! Jesteś specjalnym gościem. Życzę ci udanego przyjęcia. Z pewnością będzie dobra zabawa.

Pogoda i naturalność, z jaką to przyjął, sprawiła, że poczuła się dziwnie zawstydzona.

– Szkoda, że nie możecie iść wszyscy. Czuję się tak jakoś niezręcznie, będąc jedyną.

– Jesteś starsza niż większość stażystów. Ty się tam jakoś znajdziesz, ale młodziaki tylko by się setnie wynudzili.

– Pewnie masz rację – westchnęła.

W tej samej chwili dał się słyszeć silnik samochodu i przed pensjonat zajechał sportowy wóz Tima. W środku obok niego siedział Dudley Moffet, ów aktor charakterystyczny, o którym opowiadał jej Buddy.

– Dudley nie ma czym dojechać na przyjęcie – wytłumaczył jej Tim – więc zaproponowałem mu, że go podwiozę. Znajdzie się miejsce dla trzeciej osoby, prawda?

– Oczywiście – przytaknęła, zatrząskując za sobą drzwiczki. – Dobry wieczór, panie Moffet.

– Dobry wieczór, moja droga – odpowiedział stary aktor z właściwą mu dystynkcją. Był postawnym mężczyzną o szlachetnym, nobliwym obliczu i bujnych siwych włosach. Poza sceną nosił grube szkła w rogowych oprawkach, ale i one, jak się zdawało, nie były mu dostateczną pomocą.

– Przepraszam – powiedział jeszcze – że narzucam wam dwojgu moje stare towarzystwo.

– Niech pan przestanie – poprosił pogodnie Tim. – To żaden kłopot. Wszyscy jedziemy na to samo przyjęcie, dlaczego nie mielibyśmy jechać razem?

Przejażdżka ciemnymi szosami nie trwała długo i wkrótce już kroczyli przez – parking ku nowoczesnemu budynkowi hotelu. Wszystkie pomieszczenia były rześście oświetlone, a z otwartych okien dolatywały dźwięki muzyki i wesoły rozgwar.

Z westybulu po wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach wspięli się do głównego holu. Na jego prośbę, Jennifer wzięła na wpół ślepego aktora pod ramię i por mogła mu bezpiecznie pokonać schody. Z głównego holu prosta już była droga do zastawionego stołami i pełnego ludzi hotelowego salonu. Było wśród nich wielu ludzi spoza teatru. Roger musiał zaprosić na przyjęcie wielu wpływowych mieszkańców miasteczka.

Przy wejściu gości witali Roger, członkowie rady i Donald Winter. W szeregu członków rady nadzorczej stał również właściciel Leśnego Gniazda, Fred Short. Gdy ujrzał Jennifer, wracającą do salonu u boku Tima, przez jego twarz przyśliznął się grymas dezaprobaty.

Przyjęcie na cześć Donalda Wintera umiłał gościom trzyosobowy zespół ze Stanford, którą Fred Short od lat zwykł sprowadzać na weekendy oraz specjalne okazje. Jennifer i Tim przetańczyli ze sobą kilka kawałków, a potem wyszli na taras, by popatrzeć na ocean i odetchnąć świeżym morskim powietrzem.

Na tarasie panował półmrok, z wnętrza salonu wyraźnie dochodziły dźwięki muzyki i odgłos rozmów. Podniosła ku Timowi oczy i powiedziała:

– Dzięki, że zabrałeś mnie na takie cudowne przyjęcie. Skinał głowę. – Na razie jest świetnie. Ale to głównie dlatego, że ty tu jesteś.

– Mam nadzieję, że nikt nie ma o to pretensji – powiedziała, bo odrobinę ją to trapiło.

– W ogóle nie zaprzataj sobie tym głowy. Porozmawiali jeszcze trochę, przede wszystkim o sztuce, którą zaczęła czytać, i wrócili do salonu. Zabawa trwała w najlepsze, więc i oni ruszyli w tany. Potem był jeszcze zimny bufet i nim się obejrzeni, wybiło pół do drugiej. Tim oczywiście odwiózł ją na samą kwaterę; wracali już sami, gdyż Moffet pojechał wcześniej z kimś innym.

– Długo nie zapomnę tego wieczoru – powiedział Tim, całując ją czule na pożegnanie.

– Ja też – zrewanżowała się z zapalem. Pobiegła co sił w nogach na górę i prędko wskoczyła do łóżka, przy czym udało się jej nawet nie pobudzić koleżanek. Rano Helen i Sybil były dziwnie dyskretne i ni słowem nie wspomniały o wieczornym przyjęciu. Buddy też o nic nie pytał, lecz zwerbował ją do pomocy w gromadzeniu rekwizytów do sztuki. Wzięli jedną z teatralnych furgonetek i jeździli od sklepu do sklepu i od składziku do składziku, zbierając stare meble, obrazy i inne rupiecie, które miały posłużyć do udekorowania miejsca akcji.

Jennifer zaczynała już podejrzewać jakąś zмовę milczenia, gdy między jednym a drugim przystankiem Buddy wziął ją wreszcie na spytki:

– Jak ci się tu teraz podoba po tych kilku dniach?

– Jak nigdzie dotąd. Wspaniale mi tu jest. Obrzucił ją ukradkowym spojrzeniem.

– Masz na myśli teatr czy Tima? Jennifer poczerwieniała na twarzy. – Miły to ty nie jesteś!

– Ale szczerzy.

– Wszystko mi się tu podoba – tłumaczyła mu podniesionym głosem. – A traf chciał, że Tim jest tego częścią.

Wzrok Buddy'ego chwilowo spoczął na policjancie, który kazał im się zatrzymać i przepuścić niesforny tłumek pieszych turystów.

– Myślę, że przede wszystkim powinnaś uważać, żebyś nie zapomniała, po co tu przyjechałaś. Najważniejsze powinno być dla ciebie to, co dzieje się w teatrze, a nie samo życie towarzyskie.

– Przyjechałam tu serio pracować – rzekła lekko naburmuszona.

– No to się cieszę.

Policjant dał im znak, by ruszali dalej. Przejechali most, kierując się ku Kennebunk.

Przystanęli przed hotelem Narragansett, skąd wytaszczyli dużą roślinę na mosiężnym stojaku, którą Ken Chadwick upatrzył sobie na niezbędny element scenerii. Ponieważ dzień był ciepły i słoneczny, Buddy zaproponował półgodzinną przerwę i przejażdżkę na plażę. Pomysł wydał się Jennifer przedni, więc po chwili odpoczywali już na piasku. Dało im się znaleźć całkiem odludne miejsce, gdzie Buddy zdjął koszulkę i usiadł na słońcu, wystawiając górną połowę swego opalonego ciała na ciepłe promienie. Jennifer ułożyła się obok.

– Może będę mógł cię odwiedzać w Bostonie – powiedział. – Albo tam, gdzie będziesz uczyć. Jesienią wybieram się do Nowej Anglii i Nowego Jorku.

Nabrała piasku w dłoń i patrzyła, jak przesypuje się jej przez palce. – Nie wiadomo właściwie, czy będę uczyła.

– Dlaczego?

Wzruszyła ramionami. – Może zmienię plany. Ty też chcesz zmienić plany, sam powiedziałeś.

Uśmiechnął się niewyraźnie. – Chcę obejść plany mojego szanownego taty, który zamierza mnie wpruć w tryby swojego przedsięwzięcia. Chcę się do tego lepiej przygotować. A ty nie masz takich problemów.

– Mam swoje własne. Wcale tak się nie palę do uczenia. Może uda mi się dostać jakąś rolę na Broadwayu, kto wie?

Przewiercił ją wzrokiem. – Czy to Tim podsuwa ci takie pomysły?

– Nie. To mój władny.

– Mam nadzieję.

– Przecież mówię, że to mój własny!

Buddy zatopił spojrzenie hen w oceanie. – W takim miejscu jak tutaj łatwo dać się zwieść różnym romantycznym wyobrażeniom. Ale gdybyś naprawdę wybrała się do Nowego Jorku i zaczęła szukać tam pracy, przekonałabyś się, że to nie wygląda tak różowo. Mogłabyś się bardzo rozczarować.

Usiadła i spojrzała nań błagalnym wzrokiem.

– Buddy, czy ty musisz tak truć? Czy bez tego nie możemy się przyjaźnić?

– Jasne, że możemy. Ja wcale nie chcę truć. Po prostu uważam, że jesteś wspaniałą dziewczyną i boję się, że Tim wykorzystuje swoją pozycję w zespole, aby mącić ci w głowie.

– Ja się z nim dobrze bawię. Czy to coś złego, że się dobrze bawimy?

Buddy potrząsnął głową. – Bynajmniej. Dopóki nie wysmażycie sobie romansu na niby, z którym żadne z was nie będzie sobie potrafiło poradzić. Tim jest starzejącym się aktorem, a ty młodą panienką, która pracę w teatrze dopiero zaczyna. Musisz mieć się na baczności, bo czyha na ciebie zwodniczy blichtr.

Uśmiechnęła się kwaśno. – A co ty się tak o mnie martwisz?

Buddy popatrzył jej nagle głęboko w oczy.

– Chyba dlatego, że cię lubię. Możliwe nawet, że się w tobie zakochałem.

Całkiem oniemiała, usłyszawszy to niespodziewane oświadczenie.

– No i kto tu daje się ponieść romantycznemu otoczeniu? – zapytała z pretensją.

Buddy wzruszył ramionami. – Mówię tylko o tym, co czuję. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego czuję to, a nie co innego.

– Jesteś zatem zazdrosny o mnie i o Tima?

– Prawdopodobnie – przyznał płowowłosy młodzieniec. – Uważam, że bałamucąc cię w ten sposób, Tim Postępuje samolubnie.

– To ja za nim – latam, nie na odwrót – zaproponowała.

– W takim razie on powinien cię zniechęcać. To wspaniale, moim zdaniem, że się przyjaźnicie. Ale gdybyście się w sobie poważnie zakochali, to byłaby katastrofa.

Śmiało napotkała jego wzrok. – Rozgryzłeś nas, co? , Tak to sobie wykombinowałeś?

– Mniej więcej. Nie złość się na mnie.

– Jak mam się nie złościć, kiedy się tak zachowujesz?

– Więcej o tym nie wspomnę – obiecał.

– Byłabym ci wdzięczna.

Buddy uśmiechnął się półgębkiem. – Pod jednym warunkiem, – Co to za warunek? – spytała.

– Że będziesz się ze mną spotykać towarzysko od czasu do czasu. Tak dla zdrowej proporcji.

Przyjęła to z uśmiechem niedowierzania. – O niemało prosisz.

– Czy moje towarzystwo jest ci aż tak niemiłe?

– Nie.

– No więc co?

Nie od razu odpowiedziała. Potarła dłoń o ciepły piasek. – Bałabym się urazić Tima. Narazić go na śmieszność. Popatrz sam, jak on by się czuł? Umawiam się raz z nim, a raz z młodszą mężczyzną, część czasu dla niego, a reszta dla ciebie. Przecież można by pomyśleć, że celowo bawię się z wami w kotka i myszkę.

– Nic podobnego.

– Jest taka możliwość.

– Tylko jeśli ty i on poważnie się . zaangażujecie, a nie wyobrażam sobie, żeby wam o to chodziło – dowodził Buddy. – Najlepszym sposobem na ukrócenie plotek byłoby dla ciebie spotkanie się od czasu do czasu z kimś innym. Na przykład ze mną. Mamy przed sobą długi sezon. W ten sposób będziesz chronić zarówno siebie, jak i Tima.

– Umiesz być przekonujący – uśmiechnęła się.

– Przedstawiam ci fakty.

– Nie miałabym nic przeciwko randkom z tobą. Tak się składa, że naprawdę cię lubię.

– Zatem nie ma problemu.

– O ile ty go nie stworzysz.

– Mam dzisiaj wolny wieczór, bo jutro jest próba generalna. Chciałbym cię zabrać w pewne miejsce na Buchcie Perkinsa. Co ty na to?

Znowu była w rozterce. – Nie widziałam się jeszcze z Timem. Nie wiem, co planuje na ten wieczór.

– Nie powinno cię to obchodzić. – Buddy był nieustępliwy. – Spędziłaś z nim już kilka

wieczorów. Czas na trochę wyrachowania.

Wysłuchawszy argumentów Buddy'ego, nabrała przekonania, że płyną one ze zdrowego rozsądku. W końcu rzekła:

– Dobrze, Buddy. Wyłącznie po to, żeby ci pokazać, że jesteś w błędzie co do mnie i Tima, dzisiaj pojedę z tobą.

Opuścili plażę i podjęli zbieranie rekwizytów. Gdy wrócili na kwaterę, była już pora obiadowa. Na zielonej murawie przed pensjonatem wylegiwali się na słońcu liczni stażysci. Była wśród nich Sybil w jednym ze swych skąpych bikini.

Na widok Jennifer zawołała: – Zdaje się, że coś namotałaś, koleżanko.

– Co – takiego? – Jennifer udała głupią.

Sybil odgarnęła ciemne włosy. – Spaślaczek i Helen przygotowują się do występów w nocnym klubie. Właśnie próbują materiał. Prawie cały ranek przesiedzieli w teatrze.

– To wspaniale – ucieszyła się Jennifer. – Czyżby się dogadali?

Ładna buzia Sybil zdradzała zaintrygowanie.

– W życiu bym się nie spodziewała, że Helen potraktuje Spaślaczka poważnie. A tak się stało.

– I bardzo dobrze. On jest bardzo uzdolniony.

– Nie wiem, może go nie dość zauważaliśmy – rozmyślała na głos zgrabna brunetka.

– No właśnie. To na pewno dlatego.

Poszła na górę i wzięła sobie przedobiedni prysznic. Popołudnie zeszło jej na lekturze „Proszę przyjść jutro”. Nim się obejrzała, ludzie zaczęli się schodzić na kolację.

Przy stole Helen zagadnęła ją:

– Co robisz wieczorem?

Lecz zanim Jennifer zdążyła otworzyć usta, Buddy oznajmił:

– Jedzie ze mną na Buchtę Perkinsa. Helen zrobiła duże oczy.

– Ależ ty masz wszystko zaplanowane!

– Buddy mówi, że powinnam zobaczyć to miejsce – uśmiechnęła się Jennifer.

– Miejsce jest bomba! – wtrąciła Sybil. – Sześć galerii sztuki i chyba z pięć nocnych knajp.

Randy pokiwał głową. – Myślmy z Helen, żeby się tam wybrać. Może się spotkamy.

– Oby – wyraził nadzieję Buddy. Helen zerknęła podejrzliwie ku Jennifer.

– To wszystko, co masz w planach na wieczór?

– Wszystko – odrzekła krótko Jennifer. Wiedziała, że za tym pytaniem kryje się ciekawość, czy może zamierza się też spotkać z Timem.

Helen obróciła spojrzenie ku Sybil. – A ty, księżniczko?

Sybil uśmiechnęła się niespodziewanie. – Jestem umówiona z Jeffem. Nie wiem jeszcze, jakie ma plany. Jego starzy przyjechali z Bostonu, żebym ich poznała.

– Ty się mocno wiążesz z tym miejscowym kmiotkiem – zauważyła cokolwiek niedelikatnie Helen.

Sybil spaşowiała na twarzy. – To nie żaden miejscowy kmiotek. Jest nauczycielem i pochodzi z Bostonu, a tutaj tylko spędza co roku lato. Przyjechał wcześniej, żeby

doprowadzić chatę do porządku, nim zjedzie rodzina. I wcale nie jestem do niego przywiązana.

– W ogóle nie widuje się ciebie z nikim z zespołu – droczyła się z nią Helen.

– A niby czemu ma się mnie widywać? To prawie sami smarkacze, co najmniej dwa albo trzy lata młodszy.

Pulchna twarz Randy’ego wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

– No i wyszło szydło z worka: jesteś dla nich za stara!

– Ty! – wycedziła urodziwa brunetka „Wstając.

Helen i Jennifer skończyły jeść i opuściły stół chwilę później. Gdy przechodziły przez hol, wzrok Jennifer padł przypadkiem na oszklone drzwi, przez które zobaczyła zajeżdżający przed pensjonat znajomy czarny samochód. To był Tim! Ciężko jej się nagle zrobiło na sercu.

– Ktoś do ciebie – obwieściła ze zgryźliwą miną Helen.

– Tak – rzekła Jennifer nieswoim głosem. – Przepraszam cię na minutkę.

Zostawiła koleżankę i wyszła Timowi naprzeciw. Podeszła do auta; Tim siedział za kierownicą. Podniósł na nią oczy i uśmiechnął się.

– Tak myślałem, że może o tej porze łatwo będzie cię złapać.

– Właśnie skończyliśmy kolację – powiedziała drętwo.

– Co z dzisiejszym wieczorem? – zapytał. Zawahała się. – Mam już plany – rzekła w końcu. Wciąż się uśmiechał. – Mam nadzieję, że zostałem w nich uwzględniony.

– Nie. Niestety nie. Nie masz nic przeciwko?

Uśmiech ulotnił się z jego twarzy. – Cóż... naturalnie, jestem nieco rozczarowany.

– Zobaczymy się innym razem, kiedy tylko będziesz chciał – dodała spieszenie.

– Naturalnie – rzekł bezbarwnym tonem.

– Przykro mi, że mam akurat inne plany. Ale poczyniłam je wcześniej.

Jego oblicze znów się rozpogodziło. – Nie szkodzi, nie i zwracaj sobie mną głowy. Życzę ci udanego wieczoru. Zobaczymy się jutro na próbie.

– Tak.

– Znajdujesz czas na zgłębianie tekstu, który ci dałem? – zapytał.

– Długo nad nim ślęczałam. Rola Ann jest cudowna.

– Cieszę się, że Jesteś tego samego zdania.

W tej chwili z pensjonatu wyszedł Buddy i ujrawszy” samochód Tima, podszedł, by przyłączyć się do rozmowy. ;

– Roger cię szukał jakiś czas temu – rzekł do Tima z szerokim uśmiechem. – Jest teraz u siebie w chacie.

Aktor zmarszczył brwi. – Skoczę tam. Dzięki. Nie wiesz przypadkiem, o co chodzi?

– Chyba o tę sztukę, którą mamy grać pod koniec lipca. Ta gwiazda, którą Roger zamierzał ściągnąć, nie może przyjechać i może trzeba będzie wprowadzić zmiany do repertuaru.

– Pojadę i pogadam z nim – postanowił Tim. – Do zobaczenia jutro – rzucił jeszcze do Jennifer.

– Do zobaczenia – odpowiedziała mu.

Gdy Tim odjechał, odwróciła się ze złością do Buddy'ego.

– Po coś przyszedł? Bałeś się, że nie dotrzymam słowa?

– Trochę się denerwowałem, że Tim ci to wyperswaduje. A poza tym miałem dla niego wiadomość.

– Na którą planujesz wyjazd na Buchtę Perkinsa?

– Nie ma sensu wyjeżdżać wcześniej niż o dziewiątej. Dopiero po dziewiątej zaczyna się tam życie.

– Będę gotowa.

Buchta Perkinsa okazała się częścią Ogunquit, dzielnicą sklepów i nocnych – lokali wciśniętych między wytwórnie konserw rybnych i gmachy mieszczące galerie sztuki. Nocą Buchta Perkinsa zyskiwała dzięki swemu oświetleniu szczególny urok, którego nieco brakowało za dnia.

Pojechali samochodem Buddy'ego krótko po dziewiątej i znaleźli sobie miejsce w położonym nad rzeką lokalu tanecznym, zajmującym suterенę cieszącą się powodzeniem restauracji. Dwuosobowy zespół – pianista i basista – serwował przyjemną dla ucha, łagodną muzykę, taką do tańca i do słuchania zarazem. Zajęli stolik, z którego mieli widok na jasno oświetloną rzekę.

– Podoba mi się tu – oświadczyła Jennifer.

– Liczyłem na to. – Buddy wydawał się szczerze uradowany.

– Jak sądzisz, uda – się przedstawienie? – poddała” temat.

– Jeżeli Donald Winter – będzie w takiej formie jak dzisiaj, wszystko pójdzie doskonale.

To była najlepsza próba w jego wykonaniu.

– Domyślam się, że pierwsza sztuka w sezonie jest bardzo ważna?

– Zawsze. Nadaje ton całemu sezonowi.

– Tim gra główną rolę w sztuce Cowarda, prawda?

– Tak. Dekoracje mamy już pomalowane, próby zaczynają się w poniedziałek. Robisz coś w niej?

– Nie, nie ma dla mnie roli. Ale przymierzam się do małej rólki w trzeciej sztuce.

– Chodzi ci o „Proszę przyjść jutro”? A wiesz, kto jest w tym gwiazdą? Ruth Crane. Roger z początku chciał kogoś większego, ale potem doszedł do wniosku, że jej nazwisko wystarczy.

To było dla niej coś nowego. – Bądź co bądź występuje w telewizji w którymś z popularnych popołudniowych tasiemców, więc większość ludzi powinna ją znać.

– Tak właśnie myśli Roger – zgodził się Buddy. Mam nadzieję, że dostaniesz tę rolę, o którą się starasz.

– Tim obiecał mi udzielić korepetycji. Grał w tej sztuce na Broadwayu – powiedziała z dumą.

– Wiem. – Na Buddym zdawało się to nie robić większego wrażenia.

Potańczyli trochę, po czym wrócili do stolika, aby kontynuować rozmowę.

– Nadal trwasz w postanowieniu, że nie będziesz pracował u ojca, kiedy skończysz ten staż?

– Owszem. Nie chcę tej pracy, dopóki nie będę przekonany, że jestem najlepszym kandydatem na to stanowisko. W tej chwili ojciec mógłby zatrudnić do prowadzenia tego interesu setkę lepszych fachowców. Potrzeba mi jeszcze dużo praktyki.

– Nie będzie na ciebie zły?

– Pewnie będzie – powiedział Buddy z krzywym uśmiechem. – Ale po jakimś czasie mu przejdzie.

– A tymczasem możesz przeżywać ciężkie chwile, gdy będziesz szukał pracy.

– Wiem o tym. Ale nie mam innego wyjścia. Nic mogę przyjąć kierowniczego stanowiska, które mnie przerasta, choćby to miało sprawić przyjemność mojemu ojcu. Gdybym całą karierę zaczął od pracy na niby, nie miałbym potem odwrotu od tego fałszu, musiałbym już grać komedię do końca życia. A tego nie chcę.

Przyjrzała mu się z uwagą. – Masz głowę nabitą etyką. Zawsze cię trapi jakiś problem moralny, twój własny albo cudzy. – Czepiasz się o to?

– Nie. Ale jesteś przez to jakiś inny.

– Wolę być sobą samym i żyć na własny rachunek, lecz kiedy się ma bogatego ojca, to bywa trudne.

– Ano tak. Całkiem możliwe.

Podniosła wzrok znad stołu akurat wtedy, gdy po schodach zeszła do sali nowa para. To był Tim z ucepioną jego ramienia Ruth. Zobaczyli Jennifer w tej samej sekundzie, w której ona ich rozpoznała. Szczęściem po lewej stronie znajdowała się druga sala, mniejsza i bez tanecznego parkietu, i to do niej Tim powiodł swoją towarzyszkę, oszczędzając im wszystkim wątpliwej przyjemności spotkania. Niemniej Jennifer była przekonana, że Ruth ich – ją i Buddy'ego – zauważyła.

Buddy był zwrócony do schodów plecami i przegapił cały moment pojawienia się nowych gości. Teraz jego sympatyczne oblicze wyrażało ciekawość i niepokój.

– Coś się stało?

– Czemu pytasz?

– Raptem wydałaś się taka podenerwowana.

– Chyba ci się przywidziało – zaprzeczyła.

– Wciąż wydajesz mi się niespokojna.

– Jestem zmęczona. Może byś mnie już zawiózł do domu?

Zapłacił rachunek i wyszli oboje. Na szczęście Tim i Ruth wybrali odległy stół w głębi drugiej sali i nie mogli raczej widzieć, jak Jennifer i Buddy przedzierali się do wyjścia.

Gdy dotarli na kwaterę, dochodziła północ.

– Sądziłem, że dobrze się bawisz – poskarżył się Buddy – aż tu nagle tak ci się odmieniło.

– Nie, dlaczego. Po prostu poczułam się trochę zmęczona. Wieczór był udany.

Siedzieli obok siebie na przednich siedzeniach auta.

– Mówisz serio?

– Tak.

– Czy na tyle udany, abyś miała ochotę jeszcze to kiedyś powtórzyć? – zapytał z niepokojem.

Uśmiechnęła się. – Czemu by nie.

– Kiedy to zamieszanie z początkiem sezonu minie, przypomnę ci o tym – zapewnił.

– Czekam zatem.

Nachylił się do niej i pocałował ją.

– Być może wtedy na plaży tylko głośno o tym myślałem. Ale teraz wiem na pewno. Kocham cię, Jennifer.

Dotknęła delikatnie jego ramienia. – To romantyczne otoczenie – przypomniała mu. – Pamiętaj o swojej teorii.

– Zapomnij o moich teoriach! – nie wytrzymał. Odprowadził ją do drzwi pensjonatu, gdzie zostawił go w tyle i pobiegła na górę do swojego pokoju. Okazało się, że tym razem to ona wróciła najwcześniej. Ani Sybil, ani Helen jeszcze nie było. Nie zmartwiła się tym bynajmniej. Dzięki temu spokojnie zdążyła się położyć spać przed powrotem koleżanek. W głowie miała zamęt i troszkę intymności było jej bardzo na rękę.

Nie od razu zasnęła. Leżała na wznak z oczyma utkwionymi w sufit i rozmyślała. Tim widział ją z Buddym na Buchcie Perkinsa – i był to dla niego niemały wstrząs. Nie dlatego, żeby się tym musiała bardzo gryźć. Właściwie – głupstwo. Czy nie o to po części chodziło? I czy on nie miał ze sobą Ruth? Tylko że to ją, Jennifer, zapraszał pierwszą, a ona odmówiła. Odmówiła... Co Tim teraz sobie pomyśli o tej randce z Buddym? Jak się zachowa, kiedy znowu ją spotka?

Dręczyły ją te i wiele innych jeszcze pytań. Lubiła Buddy'ego i dobrze się czuła w jego towarzystwie, a on twierdził, że ją kocha. Ale ona nie żywiła do niego żadnych głębszych uczuć, w każdym razie żadnych takich, jakie żywiła do Tima: Tim miał w sobie coś, co sprawiało, że jej serce lgnęło właśnie do niego. Wiedziała, że to zupełnie na opak, że tak nie powinno być, ale to w Timie się zakochała. A tego wieczora z premedytacją sprawiła mu przykrość!

Na późne niedzielne popołudnie umówiła się z Fredem Shortem na kolację w Leśnym Gnieździe. Próba generalna „Tylko bez seksu, proszę – jesteśmy Brytyjczykami” była zaplanowana na ósmą, więc w hotelu stawiała się o szóstej. Fred już czekał, ubrany w nienaganny biały garnitur. Nim przeszli do jadalni, w salonie wypili przy barze koktajl.

Jadalnia była imponującym, dwukondygnacyjnym pomieszczeniem z wychodzącymi na ocean dużymi oknami. Usiedli przy oknie właśnie i zamówili polecane przez Freda dania. Gospodarz popatrzył na nią badawczo.

– Jesteś zadowolona z pobytu? – zapytał.

– Jest cudownie – odparła z entuzjazmem.

– Ty i Tim Moore, zdaje się, dobrze się rozumiecie – rzekł gospodarz tonem odrobinę zbyt lekkim, by nie wydawał się podejrzany.

Poczuła ciepło na policzkach. – Tim jest dla mnie bardzo życzliwy.

– Jest wyśmienitym aktorem. Na pewno potrafi ci bardzo pomóc w pracy.

– Już mi pomógł. I stara się, żebym wystąpiła w sztuce po tytulem „Proszę przyjść jutro”.

Grał w niej na Broadwayu.

– Wiem, widziałem ją.

Urwał, a po chwili podjął innym głosem: – Czuję się za ciebie w jakimś stopniu odpowiedzialny przed twoimi rodzicami, jako że pisali do mnie i prosili, żebym w ich zastępstwie miał na ciebie oko.

– To dopiero! Przecież nie jestem dzieckiem!

– Wiem o tym. Ale jesteś młoda. Zwłaszcza w porównaniu z kimś takim jak Tim. Z niepokojem widzę, że nadto się nim interesujesz.

Udała zdziwienie. – My się tylko zwyczajnie przyjaźnimy.

– I na twoim miejscu zostawiłbym to właśnie na tym etapie – poradził jej hotelarz.

Przy kolacji nie było już więcej mowy o Timie, zdawała sobie jednak sprawę, że to jedynie dlatego, iż Fred powiedział jej, co miał do powiedzenia. Chodziło mu o to, aby wiedziała, że on nie pochwała tej zażyłości ze starszym od niej aktorem. Starła się zrozumieć jego punkt widzenia, ale sprawy zaszły tak daleko, że nie miała ochoty brać jego rady serio. Wiedziała, że jest w Timie po uszy zakochana. Martwiła się tylko o to, jaka będzie reakcja Tima na zdarzenie z ubiegłego wieczora: jak przyjmie to, iż widział ją z Buddym w lokalu na Buchcie Perkinsa.

Gdy pojawiła się w teatrze, przebrawszy się przedtem naprędce, zastała tam istny dom wariatów. Ken Chadwick doglądał z pomocą Buddy’ego wszystkich szczegółów oświetlenia i dekoracji, wychodząc ze skóry, by absolutnie wszystko było jak należy. Roger siedział na swoim zwykłym miejscu na widowni i stamtąd wykrzykiwał rozkazy. Aktorzy zaś albo przebywali w garderobach, czekając na wywołanie, albo krzatali się za sceną.

Odszukała swój suflerski egzemplarz tekstu i zajęła miejsce za kulisą. Spotkała tam Randy’ego, który pomagał gorączkowo uwijającemu się elektrykowi; do generalnej próby

pozostawało zaledwie parę minut. Czekala niecierpliwie na podniesienie kurtyny, gdy ni stąd, ni zowąd przyszedł do niej Tim. Miał już na sobie kostium i dyskretny, umiejętnie nałożony makijaż: w sztuce grał młodego męża-nerwusa, musiał więc przy pomocy makijażu nieco się odmłodzić.

Uśmiechnął się do niej. – Zdaje się, że nasze mózgi pracują na' tym samych częstotliwościach. Widziałem cię wczoraj na Buchcie Perkinsa.

– Ja ciebie też.

W jego oczach błysnęły złośliwe ogniki. – Buddy to chłopak do rzeczy. A jego ojciec ma te wszystkie teatrzyki, więc pewnie mu pomoże zrobić pierwszy duży krok w zawodzie.

– On nie chce pracować u ojca, dopóki nie zdobędzie odpowiedniego doświadczenia.

Twarz Tima wyrażala zdumienie. – O, to dla mnie pewna niespodzianka. Niech go! Chyba ma rację.

– Mam nadzieję. Jego ojciec z pewnością będzie na niego wściekły, a znaleźć pracę na własną rękę może mu być trudno.

– Widzę, że interesujesz się nim i jego przyszłością.

Usiłowała ukryć zmieszanie. – Lubię go – wyjąkała. – I uważalam, że to dobry pomysł: dla odmiany pójść z nim. Po ostatnim wieczorze bałam się, że mogą zacząć o nas mówić.

Przyznała w ten sposób, że poszła z Buddym po to jedynie, aby rozładować atmosferę wokół ich dwojga. Miała nadzieję, że Tim zrozumie i doceni jej posunięcie.

Twarz Tima się rozjaśniła. – Rozsądna z ciebie dziewczyna.

. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo rozległ się okrzyk Kena, wzywający wszystkich na miejsca. Kurtyna poszła w górę.

Próba generalna wypadła bez zarzutu. Ponieważ wszyscy byli świadomi, jak wiele zależy od tego otwierającego sezon przedstawienia, niemal cały zespół, włączając w to Tima, udał się po próbie prosto na spoczynek. Wszyscy chcieli się solidnie wyspać. Podobnie zrobili stażyści, a Jennifer była nawet zadowolona, że może znaleźć się w łóżku tak wyjątkowo wcześnie.

Nazajutrz dostała się jej ponownie praca w kasie. W pewnej chwili zjawił się u niej znów Roger Deering. Sprawdził, ile biletów na poszczególne przedstawienia sprzedano, ile zostało, i zmarszczył lekko czoło.

– W pierwszy wieczór mamy komplet – powiedział – w piątek i sobotę też jest nieźle. Ale reszta tygodnia wygląda kiepsko. I z wczesnym niedzielnym jest, niestety, nie lepiej.

– Przypuszczam, że wielu letników jeszcze nie dojechało – ośmieliła się zauważyć.

– Prawda – zgodził się. – Ale jest ich tu już też niemało. Coś mi się zdaje, że to ma wiele wspólnego z Ogunquit. Shirley Booth to nie byle jakie nazwisko.

– W przyszłym tygodniu w „Wiernym mężu” gra u nich Walter Pidgeon – dodała.

– Tak, a u nas co? „Pogoda ducha” z Timem Moore'em w roli głównej. – Twarz mu spochmurniała. – Niezbyt silna konkurencja dla takiego gwiazdora jak Pidgeon. Jak jest z przedsprzedażą?

– Nie sprawdzałam dokładnie – przyznała się.

– To sprawdźmy – zaproponował.

Nie zwlekając przystąpili do kontroli wpływów, z której wyłonił się obraz mało optymistyczny. Sprzedaż biletów na drugi tydzień sezonu wyraźnie odstawała od ładnego wyniku, który zapowiadał się w pierwszym tygodniu.

– Jesteśmy o jakąś jedną trzecią do tyłu – stwierdziła.

– Żle – rzekł Roger. – Możemy tylko liczyć na to, że nadrobimy następną sztuką. Mamy w niej Ruth Crane, a telewizyjna sława robi swoje. Powinno się to korzystnie odbić na kasie.

Krótkie to zdarzenie dało Jennifer wiele do myślenia, uzmysłowiło jej ono bowiem, iż Tim będzie miał popisowy występ w słabym finansowo tygodniu. To było dla niej pierwsze istotne zetknięcie z finansowymi problemami w świecie teatru.

Troski te jednak szybko wywietrzały jej z głowy w gorączkowej atmosferze wieczoru otwarcia. Parking był pełen samochodów już na dwadzieścia minut przed podniesieniem kurtyny, a Randy i kilku młodszych stażystów dwoili się i troili, próbując kierować ruchem.

Za kulisami Roger, wystrojony w elegancki smoking, dodawał otuchy stremowanej obsadzie. Gwiazda spektaklu, Donald Winter, to krążył niespokojnie wokół Jennifer, to przemierzał kulisy tam i z powrotem, aż wreszcie kazano mu zająć miejsce na scenie.

– Jeśli się zatnę w środku kwestii, wykrzycz mi to – upomniął się u Jennifer. – Krzycz, pamiętaj! Będę taki skołowany, że jeśli nie będziesz krzyczeć, nie usłyszę cię.

Obiecała, że będzie mu podpowiadać głośno i najwyraźniej, jak potrafi. Potem przygasły światła i cisza zaległa widownię: kurtyna szła w górę. Magia teatru wzięła we władanie publiczność i aktorów. Jennifer wierciła się nerwowo na swym krzeselku za kulisami, śledząc uważnie akcję i nie odrywając prawie oczu od partytury. Wydawało się, że wszystko idzie doprawdy świetnie.

I wtedy raptem, w scenie, w której udział brali Donald Winter, Tim i Ruth, Brytyjczyk zapomniał języka w gębie. Jennifer zastosowała się ściśle do jego życzenia, to znaczy podpowiedziała mu dość głośno kilka słów z jego kwestii. Dosłyszał i wszystko szło już jak po maśle do końca aktu.

Nie umknął jednak jej uwagi wściekły błysk oczu, jakim na tę podpowiedź zareagowała Ruth. Nie myślała o tym więcej w trakcie aktu, dopóki nie spuszczone kurtyny.

Zagrzmiały burzliwe oklaski; kurtyna jeszcze całkiem nie opadła, gdy Ruth rzuciła się z furią ku Jennifer:

– Co ty wyprawiasz, panienko? Suflerka ci nie wystarczy, chcesz, żeby na widowni też cię widzieli i słyszeli?

Podszedł do nich Roger, zwabiony podniesionym głosem aktorki. – Co się dzieje?

Rozeźlona Ruth obróciła się do niego i bluznęła:

– Ta smarkula najwyraźniej pcha się na scenę! Kiedy Donald się zaciął, podpowiedziała mu tak głośno, że chyba cały teatr ją słyszał. Zupełnie zepsuła nastrój.

Reżyser pokiwał głową z ubolewaniem. – Istotnie ją słyszałem – powiedział. – Ale nie sądzę, by zrobiła tym wiele szkody.

– To było i niepotrzebne! – kipiała gniewem Ruth. Roger zwrócił się do Jennifer: – Nie wolno podpowiadać, tak głośno, moje dziecko.

Postanowiła się bronić póki czas. – Donald mnie specjalnie prosił, abym mu

podpowiadała głośno. Bał się, że w przeciwnym razie nie usłyszy.

W samą porę pojawił się Tim, wtrąciłby:

– Wiem, że Donald naprawdę wyraził taką prośbę. I to zdało egzamin, było tylko drobne opóźnienie. Nie ma o co podnosić krzyku.

Ruth obrzuciła go szyderczym spojrzeniem. – Wieczór amatorów! – syknęła z odrazą i oddaliła się ku garderobom.

Tim odprowadził ją kosym spojrzeniem. – Ależ się zrobiła drażliwa!

Roger popatrzył na niego znacząco. – Gdybyś sobie zadał trochę trudu, domyśliłbyś się, dlaczego.

Obrócił się w stronę Jennifer. – Moja rada: nie podpowiadaj jednak tak głośno, bez względu na to, co mówi Donald.

– Jak pan sobie życzy – rzekła z poczuciem, że dostaje w skórę za coś, czemu nie była winna.

Roger odszedł do innych zajęć, Tim zaś został z nią jeszcze chwilę. – Nie przejmuj się. Dobrze sobie poradziłaś – pocieszył ją.

– Najwyraźniej panują co do tego bardzo różne opinie – mruknęła ponuro.

– Nic sobie nie rób z Ruth – powiedział jej na odchodnym. Nie zabrzmiało to przekonywająco, ale nie mógł dłużej zostać, bo musiał się przebrać do następnego aktu.

Podczas kolejnych aktów miała jeszcze dwie okazje, by przyjść Brytyjczykowi z pomocą. Podpowiadała mu nieco ciszej niż poprzednio, ale jakoś udało się jej przebić do adresata. Kiedy opadła kurtyna po ostatnim akcie tego pierwszego wieczoru, odetchnęła z prawdziwą ulgą.

Zarówno sztuka, jak i Donald Winter podobali się publiczności, która hojnie nagrodziła przedstawienie brawami. Cztery razy – tyle naliczyła Jennifer – wywoływano aktorów na scenę.

Tim przybiegł do niej zaraz po złożeniu widowni ostatnich ukłonów.

– Znakomicie się spisałaś – powiedział. – Cała obsada bawi się dziś w Zagrodzie, chciałbym, żebyś ze mną poszła.

Potrząsnęła głową. – Nie dzisiaj, Timie. Przecież nie grałam w tej sztuce. Poczekajmy do tej sztuki, w której zagram. Wtedy będę miała pełne prawo być na bankiecie.

Zmarszczył brwi.

– Sprawisz mi zawód. – Wolę to niż zrobienie sobie nowych wrogów w zespole. – Podniosła na niego pogodne oczy. – Świetnie zagrałeś. Do zobaczenia jutro.

– Trudno – przystał niechętnie. – Skoro tak twoim zdaniem będzie lepiej.

I odszedł, by przebrać się we własne rzeczy.

Niedługo potem zajrzał do niej Buddy. – Stażyści robią własną imprezę – oznajmił. – Jedziemy do Kolonii na plażę, mamy zgodę na ognisko. Będzie góra żarcia i picia ile dusza zapagnie. Jesteś zaproszona.

– Wszyscy się wybierają?

– Niemalże.

– W porządku. Mogę ci w czymś pomóc?

– Nie, nie trzeba. Zabiorę cię do mojego samochodu. Wyjeżdżamy za jakieś dziesięć minut.

Samochód Buddy'ego pękał w szwach. Obok niej i Buddy'ego wtłoczyli się Randy, Helen i jeszcze pewien dryblas o przydomku Rudy.

W drodze na plażę Jennifer zapytała:

– A gdzie Sybil?

– Wyszła ze swoim miastowym chłoptasiem – rzekła z przekąsem Helen. – Moim zdaniem, z tego się robi poważny związek. Ona z nim spędza cały wolny czas.

Kiedy dojechali na plażę, ognisko już płonęło. Noc była piękna i gwiazdzista, a przy tym w miarę ciepła. Powietrze wypełniała woń płonącego drewna i apetyczny aromat piekących się na różnie kielbasek. Śmiechy i ożywiony gwar niosły się po plaży 'od strony strzelającego wesoło ognia, do którego jeden z młodych ludzi właśnie dołożył nowe drwa.

Biesiadnicy siedzieli w krąg na gołym piasku, rozkoszując się blaskiem i ciepłem. Jennifer znalazła się między Buddym i Randym, który biadolił:

– Powinienem wrócić na kwaterę, nie wolno mi tu siedzieć. Powinienem popracować jeszcze nad programem, przecież to już jutro.

– Jeszcze wszystkiego nie dopracowałeś? – zapytała.

– Dopracowałem, a jakże, ale chcę, żeby wszystko było jutro na wysoki połysk.

Buddy pochylił się do przodu, żeby widzieć Randyego.

– Wszyscy mamy zamiar cię obejrzyć, więc lepiej byłoby dla ciebie, żebyś nie zawalił.

– Przedstawienie wyszło dziś całkiem dobrze, prawda? – zmieniła temat Jennifer.

Buddy rozłożył ręce. – I tak, i nie. Donald Winter to jednak nie to. Widziałem tę sztukę z innym gwiazdorem w tej roli i muszę powiedzieć, że tamten facet był o klasę lepszy.

– Dostali mnóstwo braw.

– A to nic dziwnego. Nie mogło być inaczej, bo teatr był dzisiaj pełen zagorzałych teatromanów – wyjaśnił Buddy. – Oni zawsze reagują tak entuzjastycznie. Poczekaj do jutra, a zobaczysz, jak wygląda rzetelna reakcja.

– Chyba masz rację – przytaknęła niepewnie. Buddy pochylił się i dołożył do ognia duży patyk.

– Wiesz, obserwuję od pewnego czasu Rogera z bliska i doszedłem do wniosku, że to właśnie chcę robić. Chcę reżyserować.

Jennifer popatrzyła nań z podziwem. – Jestem przekonana, że będzie z ciebie dobry reżyser.

Buddy podrapał się w swoją płową czuprynę. – Jest tylko jeden szkopuł: to wymaga okropnie dużo nauki.

– Skoro o tym wiesz i nie boisz się tego, nauka nie powinna ci zabrać znowu tak wiele czasu – pocieszyła go.

Uśmiechnął się. – Dziękuję, że zabrzmiało to w twoich ustach tak lekko. Chociaż wiem, że lekko nie będzie. – Potem zapytał:

– A co u ciebie?

– Ja chcę grać. Nigdy nie byłam tego tak pewna jak teraz.

- A jesteś skazana na pracę nauczycielki.
- Zamierzam trochę pograć tego lata. I kto wie, może zmienię plany na jesień.
- Uniósł brwi. – A co na to twoi rodzice? Nie będą chyba z tego zadowoleni?
- Ty się jakoś nie martwisz o to, jak będzie się czuł twój ojciec – wytknęła mu.
- To co innego.
- Niby dlaczego? – spytała, wpatrując się uważnie w jego sympatyczną twarz.
- Kielbasa gotowa! – ktoś zawołał.

Zrobiło się ogólne zamieszanie, chętni zerwali się do kielbaskowej uczty. Jennifer została na swoim miejscu, a ponieważ Buddy i Randy zniknęli w ciżbie amatorów kielbasek, jej sąsiadką była chwilowo Helen. Ruda współlokatorka łypnęła na nią okiem i nagabnęła:

- Dzisiaj nie jesteś z Timem, jak widzę.
- Nie.
- Czemu?

Wzruszyła ramionami. – To impreza dla aktorów. Czułabym się tam nieswojo. Na dodatek Ruth Crane jest na mnie trochę zła.

– Nasza główna dama naprawdę myśli, że Tim jest jej własnością. – Helen pokiwała głową.

- Przyjaźnią się od dłuższego czasu.
- A teraz on nie widzi świata poza tobą. Jennifer zmieszała się. – Przesada.
- Wszyscy tak mówią.
- Pragnie mi pomóc w starcie na scenie.
- Moim zdaniem, to on interesuje się tobą jako osobą, a nie jako aktorką. Nie powinnaś się oszukiwać.

Buddy i Randy wrócili z kielbaskami i napojami, więc cała czwórka zabrała się do jedzenia, odkładając pogaduszki na później. Lekka i szczęśliwa czuła się Jennifer w tym gronie, gdzie prawie wszyscy byli w jej wieku albo i młodsi.

Taką atmosferę, jaka tu panowała, lubiła i rozumiała. To był jej żywioł. A jednak gdzieś w głębi jej serca czaił się mały, doskwierający smutek. Nie mogła przestać myśleć o Timie i o tym, co może dziać się na bankiecie w Zagrodzie. I było jej odrobinę smutno, że nie jest z nim. Buddy nagle na nią spojrzął i odłożył swoją porcję kielbasek. – Co ci jest, Jennifer? Wyglądasz, jakbyś była tysiąc kilometrów stąd.

– Przepraszam – rzekła ze skruchą. – Rozmyślałam o tym, jak się tu świetnie bawimy. I o tym, jakie to wszystko cudowne...

- Akurat – uciał z przekąsem Buddy. – Coś mi się zdaje, że chodzi zupełnie o co innego.
- Posłyszał to Randy.
- No pewnie – palnął. – Ona myśli o Timie. A o kim by innym?
- Jennifer poczerwieniała i zwróciła się do niego błagalnym głosem.
- Randy, to nie jest zabawne!

– Przepraszam! – zreflektował się zaraz Spaślaczek. – Zdaje się, że to była gafa.

– I to jaka! – upewniła go Helen. – Obyś był jutro wieczorem zabawniejszy, bo inaczej wyleją nas, zanim na dobre zaczniemy.

Jakiś wysoki młodzieniec wstał i zaczął uderzać w struny gitary; jego chuda sylwetka ostro rysowała się na tle nocnego nieba, podświetlona blaskiem ogniska. Zaintonował jakiś rockowy utwór, który szybko podchwycono i coraz to nowi śpiewacy dołączali do chóru. Kilka par zerwało się z piasku i zaczęło płaść po plaży.

– Nie wytrzymam tego hałasu – Jennifer krzyknęła do Buddy’ego. – Muszę się stąd na chwilę wynieść.

– Nie ma sprawy.

Podniósł się z ziemi i pomógł jej wstać.

Szybkim krokiem oddalili się od zgiełkliwej kompanii.

Opodal znaleźli zaciszne miejsce, gdzie w spokoju mogli sycić uszy pluskiem fal i wdychać słonawe morskie powietrze. W oddali widać było pomarańczową lunę ogniska, ale wybuchy śmiechu i hałaśliwa muzyka ledwie tu dochodziły. Buddy wziął ją za rękę i tak szli powoli, zachowując bezpieczną odległość od nikłych fal.

– Hałas rzeczywiście stał się nie do zniesienia – powiedział.

– Dokuczał mi.

– Oni zawsze robią tyle rumoru – stropił się Buddy. – Oby tylko ludzie z Kolonii się nie wkurzyli. Nie musieli przecież udostępniać nam plaży, to była grzeczność z ich strony.

– Na pewno wiedzieli, na co się piszą – uspokoiła go. – Zresztą prawdopodobnie w hotelu nie słychać więcej niż tutaj. A więc nie jest tak źle.

– Mam nadzieję, że tak jest – powiedział, wznosząc wzrok ku ciemnemu cielsku hotelu.

– Niepotrzebnie odciągnęłam cię od zabawy.

– Co to za zabawa bez ciebie. Wolę być tu z tobą. Doszli tak aż do miejsca, gdzie dalej iść już nie mogli, jeśli nie chcieli się wspinać na olbrzymie głązy, które odgradzały ich od następnej plaży. Przystanęli więc i zapatrzyli się w ocean. Odbijało się w nim rozgwieżdżone niebo, a gdzieś tam błyskały boje oraz światła przepływających statków.

– No i zaczął się wreszcie ten sezon – westchnęła Jennifer. – I pewnie skończy się, nim się zorientujemy, co się dzieje.

– Tak, te tygodnie szybko przelecą – zgodził się.

– A potem się wszyscy rozstaniemy.

– I pewnie większość z nas już nigdy się nie zobaczy. Odwróciła się z wątłym, smutnym uśmiechem i spojrzała na niego przez ciemność.

– Nie ma nic bardziej melancholijnego! Zdobywamy przyjaciół po to, by ich stracić! I zostają tylko wspomnienia tamtego lata.

– Lepsze wspomnienia niż nic – brzmiała odpowiedź Buddy’ego. – Sądzę, że wielu z nas wiele się tego lata nauczy. I zabierze to ze sobą tam, dokąd się uda, razem ze wspomnieniami.

– Zapewne.

Buddy też się do niej odwrócił. – Wiem, że ja o tobie nie zapomnę. Pomyślisz czasem o mnie?

– Nie może być inaczej!

Uśmiechnął się do niej. – Ale to do Tima będzie należeć znakomita większość twoich myśli?

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Wiem – rzekł kwaśno. – Tak czy inaczej, ja się nie poddam. Będę choć drugi po panu twojego serca.

– Nie wyobrażam sobie, żebym mogła o tobie myśleć w ten sposób – zaprotestowała.

– Dzięki. – Nachylił się lekko i pocałował ją w usta. – Chyba powinniśmy wracać, bo inaczej wezmą nas za zaginionych.

– Albo na języki!

Podążyli wolno w kierunku ogniska, gdzie muzyka i swawola trwały. Gdy byli już blisko, Helen spostrzegła ich i wyszła im naprzeciw. Przy pierwszej sposobności odciągnęła Jennifer na stronę i szepnęła:

– Tim tu był i pytał o ciebie. Wyszedł z bankietu w Zagrodzie, żeby ciebie poszukać. Jak się dowiedział, że cię tu nie ma, odjechał.

Przewidywania Jennifer co do tego, że sezon szybko minie, okazały się aż nadto trafne. Nim się obejrzała, upłynął tydzień i pierwsza sztuka zesła z afisza. Przez cały czas trwały intensywne próby drugiej sztuki. Udało jej się w ciągu tego tygodnia umówić z Timem na parę randek: po jednym z wieczornych przedstawień pojechali do restauracji w Ogunquit, a któregoś popołudnia wybrali się razem popływać do przytulnej zatoczki opodal Leśnego Gniazda.

Pracowała to w jednym, to w drugim dziale teatru – w zasadzie we wszystkich po trosze. Praca ta dostarczała jej wielu ciekawych wrażeń i, co najważniejsze, stanowiła zarazem cenną zawodową praktykę. W końcu nadszedł też ów ranek, gdy miały się odbyć przesłuchania kandydatów do pomniejszych ról w trzeciej sztuce. Główną rolę, zgodnie z tym, co twierdził Buddy, zarezerwowano dla Ruth. Jennifer starała się o rolę Ann.

Przez kilka poprzedzających przesłuchania dni Tim poświęcał jej cały swój wolny czas. Wtedy dopiero przekonała się naprawdę, jak doskonałym jest aktorem. Uczył ją, jak mówić i jak poruszać się na scenie. Objął jej dokładnie, jak zagrać tę rolę, aby mimo jej skromnych rozmiarów zwrócić na siebie uwagę widza.

Nad przesłuchaniami czuwał Roger, do niego też należał decydujący głos. Zrazu do roli Ann zamierzała również kandydować Helen, ale jej występy w barze Trelemorele okazały się takim sukcesem, że grywanie podrzędnych ról w coraz to innych sztukach przestało ją interesować. W zupełności zadowalała ją praca przed widownią po każdym wieczornym spektaklu. Jennifer nie miała zatem żadnej poważnej konkurentki. Roger jednak tak czy owak wysoko ocenił pracę, którą włożyła w naukę roli. Kiedy wysłuchał jej czytania, zawołał ze swego miejsca na widowni:

– Pierwszorzędnie, Jennifer. Rola jest twoja. Ruth, gwiazda przedstawienia, przejawiała nieco mniej entuzjazmu. Odwróciła się do Doleya Moffeta i powiedziała tak, aby wszyscy słyszeli:

– Jeśli będzie mówić tak głośno jak wtedy, gdy suflerowała, to przynajmniej będzie ją dobrze słychać w całym teatrze.

Jennifer zapiekły policzki, ale nie dała po sobie poznać, że przymówka doszła jej uszu. Wystarczyła jej satysfakcja z widoku marsowej miny Ruth, gdy zaraz po czytaniu Tim podbiegł do niej z gratulacjami.

– Będziesz miała własną porcję braw co wieczór, jak obiecałem!

Ku jej wielkiej radości przepowiednia Tima się ziszczyła. Jennifer odnalazła się w tej roli doskonale. Pracowała nad nią tak ciężko, jak jeszcze nigdy dotąd nad niczym nie pracowała, zależało jej bowiem bardzo na tym, aby Tim był z niej dumny. W rezultacie we wszystkich recenzjach z premiery zamieszczono o niej specjalne wzmianki, a publiczność nagrodziła ją specjalną, tylko dla niej przeznaczoną owacją.

Roger Deering przyszedł po spektaklu do jej garderoby i powiedział:

– Jestem zachwycony tym, co zrobiłaś z tą rolą.

– Tim mi pomógł.

– O, nie wątpię – roześmiał się reżyser i szef teatru w jednej osobie. – Mniejsza o to. Tak czy siak, kiedy będę ustalał repertuar na resztę sezonu, obsadzę cię w kilku dobrych rolach.

Nawet Buddy wyraził podziw dla jej gry.

– Byłaś wspaniała! – rzekł krótko.

– Dzięki.

Promieniała. Brawa jeszcze huczały jej w uszach.

Tim nie posiadał się z radości, rozpląwał się w zachwytach nad jej kreacją. A przecież to wszystko było po części jego zasługą. To on poznał się na jej talencie, udzielał jej nieocenionych rad, wierzył w nią, a wreszcie – pomógł jej ukształtować kreację. Nie zapomniała o tym, gdy tak obsypywał ją pochwałami. Ruth natomiast zachowała wobec niej daleko posuniętą oziębłość i nawet jej nie złożyła gratulacji. W jedynej zaś scenie, w której grały razem, z całych sił utrudniała jej życie.

Ale Jennifer nie dawała się zniechęcić takim błahostkom, teraz, kiedy była na fali. W weekend mieli zjechać jej rodzice, którzy też chcieli zobaczyć ją w tej roli, a na zorganizowanym w Leśnym Gnieździe bankiecie jedną z pierwszych osób, które przyszły wyrazić jej swoje uznanie, był Fred Short.

– Dumny jestem, że mogę być twoim przyszywanym wujem – zażartował ze swego zobowiązania wobec jej rodziców. – W antrakcie wszyscy mówili o tobie.

– To dzięki Timowi – odrzekła skromnie.

– Dzięki Timowi? – W głosie Freda zadźwięczała nutka niepokoju. – E tam, nieważne, kto pomagał, ale kto grał. To ty sama tak pięknie się spisałaś na scenie.

Bankiet z okazji premiery toczył się już w najlepsze, gdy wreszcie wymknęła się z Timem na taras. Było tam o niebo przyjemniej niż w zatłoczonym wnętrzu salonu, gdzie wszyscy tańczyli bądź gadali nie wiadomo o czym.

Najpierw wziął ją w ramiona i mocno uściskał. Potem odsunął ją nieco od siebie, by popatrzeć na nią z dumą.

– Dziękuję ci za ten wieczór. Jennifer. Nigdy go nie zapomnę.

– Ja też – powiedziała, jeszcze nieco zadyszana.

– Teraz już nie mam cienia wątpliwości. Możesz grać.

– Bo we mnie wierzyłeś.

– Owszem. Ale to by nie wystarczyło.

– Moi rodzice przyjadą mnie obejrzeć – powiedziała z błyskiem w oczach. – Chcę, żebyś ich poznał.

Tim jakby się nieco stropił. – Chętnie ich poznam, ale jak oni się do mnie odniosą?

– Spodobaś się im! Dlaczego miałoby być inaczej? Odwrócił się i posłał spojrzenie daleko w ocean.

– Zbyt często się widywaliśmy. Mam takie przeczucie, że nie bardzo ich to ucieszy.

– Ja mam dwadzieścia jeden lat! – rzekła z mocą.

– Nie przeczę. – Uśmiechnął się. – Ale ten fakt raczej nie będzie miał wpływu na to, czy im się spodoba, czy nie.

– Jestem dość dorosła, by samej decydować!
– To rzadko dociera do rodziców, kiedy chodzi o ich jedyną córkę.
– Nie obchodzi mnie, co powiedzą. Nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza. I to jest twoja zasługa.

Przytulił ją.

– Dziękuję, Jennifer – powiedział miękko. – Bycie z tobą mnie odmłodziło. Właś we mnie nowe życie. Wszystko, co wydawało się takie zużyte i banalne, stało się nagle znowu świeże. Zaczynałem już prawie nienawidzić tego teatru. Musisz wiedzieć, że to już mój dziesiąty rok tutaj. Ale dzięki tobie to się zmieniło.

Zmarszczyła lekko brwi. – Dlaczego miałbyś nienawidzić tego teatru?

– Bo stanowi niejako symbol mojej porażki. Tak jak teraz jest areną twojego sukcesu. Gdybym był naprawdę dobrym aktorem, nie powracałbym tu rok w rok. Może' ciągnąłbym za sobą jakąś objazdową inscenizację, może robiłbym furorę w jakimś teatralnym czy filmowym przeboju.

Przytłoczyło ją to wyjaśnienie. Raptem zdała sobie sprawę, że taka jest prawda.

– Ale ty zasługujesz na sukces – powiedziała z przekonaniem. – Jesteś takim świetnym aktorem.

– Przekonasz się może sama, że do tego trzeba czegoś więcej niż uzdolnień i umiejętności. Trzeba łutu szczęścia.

– W takim razie to szczęście musi się do ciebie pewnego dnia uśmiechnąć. Tobie się to należy!

Pogoda wróciła na jego oblicze. – Miejmy nadzieję. Ale musiałyby się uśmiechnąć bardzo prędko. Mam niestety dużo, dużo mniej czasu niż ty.

– Nie mów tak! Popsujesz mi wieczór – powiedziała błagalnym tonem.

Dotknął wargami jej czoła. – Przepraszam. Jestem samolubem. To przecież twój wieczór, i tylko to się liczy. A z twoimi rodzicami jakoś sobie poradzę.

– Nie będzie żadnych kłopotów, zobaczysz – obiecała. Wtem otworzyły się drzwi salonu i stanął w nich Fred Short. Obserwował ich przez moment, stojąc w drzwiach.

– Znaleźliście sobie bardzo romantyczny zakątek – powiedział, zamykając wreszcie za sobą drzwi.

– Chciałbym być tego samego zdania – roześmiał się Tim.

– Miałam ochotę odetchnąć od gwaru i muzyki – wyjaśniła Jennifer.

Przez zwykle poważne oblicze Freda przemknął znaczący uśmiech. Jego oczy wpatrywały się w nią badawczo zza grubych szkielek.

– Rozumiem – rzekł cicho, jak gdyby w istocie świetnie rozumiał.

– W piątek przyjeżdżają moi rodzice – powiedziała.

– Wiem – stwierdził sucho. – Trzymam dla nich pokój.

– Mam nadzieję, że moja gra im się spodoba.

– A dlaczego miałyby się nie spodobać? Wszyscy uważają, że wypadłaś doskonale.

– I chcę, żeby poznali Tima – zaryzykowała, ciekawa reakcji przyszywanego wuja.

Jego twarz przybrała osobliwie dyplomatyczny wyraz.

– O tak, na pewno będą chcieli poznać Tima. – I wyprostował się jak struna. – Właściwie to wyszedłem, żeby się przekonać, czy zechcesz ze mną zatańczyć.

– Naturalnie – przystała, choć bynajmniej nie miała ochoty porzucać Tima. Jak jednakże mogłaby odmówić przyszywanemu wujowi? Inna sprawa, że był to z jego strony nader zgrabny fortel, który miał na celu sprowadzenie ich do reszty towarzystwa.

Kryzys rozpoczął się wraz z przyjazdem jej rodziców, niestety. W piątek wieczorem państwo Bruce'owie byli na sztuce i tak się zachwycili, że koniecznie chcieli ją zobaczyć jeszcze raz w sobotę. Jennifer i Tim mieli tego dnia wystąpić także po południu, więc ustalono, że zapoznanie Tima z jej rodzicami nastąpi na wczesnym obiedzie w Leśnym Gnieździe.

Obiad ten wyznaczono na dwunastą w południe, ale Jennifer wzięła własny samochód i udała się do hotelu znacznie wcześniej. Nie chciała bowiem, by Tim przebywał pod lupą rodziców cokolwiek dłużej niż trzeba, a jednocześnie chciała spędzić z rodzicami trochę więcej czasu i przygotować ich na jego przyjazd.

Dzień był pogodny, więc siedzieli na tarasie swego pokoju i gawędzili, popatrując na ocean. Jej ojciec, Emery Bruce, był wziętym księgowym, mężczyzną niewiele starszym od Tima, choć za sprawą siwiejących włosów i drobnej nadwagi wyglądał na bardziej posuniętego w latach. Jej matka, Lucy, miała te same co Jennifer piękne, delikatne rysy i wciąż szczupłą figurę, tylko ciemniejsze włosy. Oboje rodzice należeli do ludzi bywałych w świecie i w swych sądach o bliźnich zazwyczaj byli bardzo wielkoduszni.

Jennifer przysiadła się i przyłączyła do rozmowy. W pewnej chwili ojciec popatrzył na nią i rzekł:

– Jak rozumiem, często się z tym Timem Moore'em widzisz.

– Był dla mnie cudowny, tato. Mój sukces w roli zawdzięczam głównie jego radom.

– Ale talent jest twój – zaoponowała matka. Szare oczy ojca były zimne jak stal. – Mam nadzieję, że nie narzucal ci się, wykorzystując twój romantyczny stosunek do teatru.

– To nie jest tego pokroju człowiek – wyjąkała przerażona.

– Twój ojciec chce tylko twojego dobra. Troszczy się o ciebie – matka wzięła stronę ojca.

– Chodziły tu różne słuchy. Fred czuł się w obowiązku powiedzieć nam o tym.

Jennifer zmarszczyła brwi. – Nie wiem, jakie słuchy was doszły. Ale sądzę, że to, co jest między mną i Timem, jest wyłącznie naszą sprawą. – Moje dziecko...

– I nikogo więcej nie powinno to obchodzić. Emery Bruce odchrząknął. – Wprawdzie na scenie on wygląda dość młodo, ale z tego, co wiem, jest niewiele młodszy ode mnie.

– Nie jesteś znowu taki stary!

– Tu nie chodzi o to, czy ja jestem stary, czy nie.

Chcę powiedzieć, że jeśli idzie o sprawy sercowe, mężczyzna w moim wieku jest z całą pewnością za stary dla ciebie.

– Tata ma rację, kochanie – odezwała się matka. – Musisz te amory z Timem Moore'em dobrze przemyśleć. Z tego, co słyszałam, w zespole jest kilku miłych chłopców, którym wpadłaś w oko. Jeśli już koniecznie chcesz z kimś chodzić, dlaczego nie umawiasz się z nimi?

– Bo tak się składa, że wolę towarzystwo Tima – odparła zgnębionym głosem. – Czy to nic nie znaczy?

– Jest od ciebie starszy i bardziej doświadczony – rzekł ojciec – a tym samym nie jest dla ciebie idealnym towarzystwem. Zresztą twoja matka i ja nie prosimy cię, żebyś zupełnie zerwała tę znajomość, lecz tylko, żebyś nie przekraczała pewnych granic. Nie chciałbym pewnego ranka obudzić się i zastać w domu zięcia-aktora, który jest niewiele młodszy ode mnie samego. Miejże jakiś wzgląd na rodziców.

– Czy to nie mnie powinno się tu mieć przede wszystkim na względzie?

– Mówimy to ze względu na ciebie moje dziecko – powiedziała pojednawczo, lecz stanowczo matka. – Nie dość, że ten człowiek jest starszy od ciebie, to jeszcze nie najlepiej stoi z pieniędzmi.

– Jest znakomitym aktorem! – wykrzyknęła Jennifer.

– Co wcale nie znaczy, że będzie kiedykolwiek dobrze zarabiał – wyraził powątpiewanie ojciec. – To zbrodnia, rzecz karygodna: wychodzić za starszego mężczyznę, który nie będzie nawet potrafił utrzymać rodziny.

– Nie przejmuję się tym.

– A ja tak – powiedział z naciskiem Emery Bruce. – Fred powiada, że w przyszłym roku ten Tim Moore może stracić nawet to letnie zajęcie.

Zatkało ją. – Jak to? On tu gra od dziesięciu lat bez przerwy. Chyba nie zamierzasz się go pozbyć tylko dlatego, że ośmielił się do mnie zalecać?

– Ależ skąd – obruszył się ojciec. – Jak mogło ci coś takiego przyjść do głowy?

– Twój ojciec nie jest człowiekiem tego pokroju – wtrąciła matka.

– Sama nie wiem, co myśleć – rozłożyła ręce – po tym, czego tu wysłuchałam. Dlaczego to Tim nie miałby tu wrócić na następny sezon?

– Bo, po pierwsze, będzie o rok starszy – odpowiedział jej ojciec. – Istnieje coś takiego jak limit wieku. Nawet kiedy się gra w letnich sztuczkiach.

– On przecież nie wygląda na swój wiek!

– Ależ moja droga – tłumaczyła jej matka – on tu się po prostu zasiedziało. Wielu ludziom znudziło się już oglądanie go rok po roku w każdej sztuce.

– Otóż to – powiedział ojciec. – Fred jest członkiem rady nadzorczej, jak wiesz, i on powiada, że Roger Deering planuje zmienić od przyszłego sezonu charakter teatru. Zamiast robić inscenizacje tu na miejscu, będzie sprowadzał przedstawienia objazdowe z gwiazdami, tak jak ci z Ogunquit. Dzięki temu teatr będzie mógł z większym powodzeniem konkurować.

Jennifer zmartwiła. – Nie wierzę. W zespole nic się o tym nie mówi.

– To jeszcze nie jest przesądzone – zastrzegł się ojciec. – Aczkolwiek Fred jest pewien, że tak będzie. Roger twierdzi, że teatr nie zarabia tyle, ile w ubiegłym roku. Wpływy brutto spadają z roku na rok.

Nie chciała tego przyjąć do wiadomości.

– Uwierzę, kiedy będzie oficjalnie wiadomo.

– Wierz sobie, w co chcesz – rzekł ojciec. – Mnie chodzi jedynie o to, żebyś znała fakty. Jeśli zmiana profilu dojdzie do skutku, Tim przestanie być gwiazdą. Będzie mógł mówić o

szczęściu, jeżeli w przyszłym roku znajdzie zajęcie na lato. Chyba że weźmie pracę w programie objazdowym.

Jennifer nagle zaczęła się bać o Tima.

– Proszę was, nie wspominajcie mu o tym, dobrze?

– Ani bym nie mógł – uspokoił ją ojciec. – Prawdę mówiąc, obiecałem Fredowi, że powiem tylko tobie. Nie chcę, żeby przedwcześnie rozeszły się pogłoski.

Ulżyło jej choć troszkę. – Jeśli to prawda, nie chcę, by Tim dowiedział się wcześniej, niż to stanie się konieczne. To będzie dla niego cios.

Matka i ojciec wymienili spojrzenia. Matka rzekła:

– Jesteś wobec niego bardzo opiekuńcza, moje dziecko.

– Chyba jestem w nim zakochana – odrzekła Jennifer po prostu.

Ojciec sposepniał. – Obawialiśmy się, że powiesz coś takiego.

– Nie rzucaj się w to tak na oślep – upraszała matka. – Masz tę pracę w szkole od jesieni. Wykorzystaj ten czas na przemyślenie i uporządkowanie swoich spraw. Gdy stąd wyjedziesz, uświadomisz sobie, że to ta letnia atmosfera nadaje wszystkiemu taki czar i omamia ludzi...

– Gdzieś już to słyszałam.

– Ten czar opadnie i zobaczysz wszystko we właściwych kolorach.

– Mamo, nie jestem wcale pewna, czy chcę jesienią iść do szkoły. Może postaram się o jakąś stałą pracę w teatrze.

– O nie! – załamała ręce matka.

Ojciec wciąż był nasrożony. – Fred ani trochę nie przesadzał, jak widzę. Ten cały Tim Moore kompletnie zawrócił ci w głowie. A mnie się zawsze wydawało, że jesteś taką zrównoważoną dziewczyną...

– Nic nie rozumiecie – wpadła mu w słowo. – Nie macie pojęcia, jak to daleko zaszło. Żywimy do siebie głębokie uczucie, potrzebujemy się nawzajem. Różnica wieku jest nieważna, ja wiem, że możemy być ze sobą szczęśliwi.

Emery Bruce wysłuchał tego w milczeniu, a potem zapytał: – Czy ten człowiek poprosił cię o rękę?

– Nie.

– A sądzisz, że poprosi?

– Mam nadzieję, że poprosi – powiedziała szczerze.

– Jennifer! – jęknęła matka.

Ojciec gestem nakazał matce spokój i rzekł:

– Ja też mam nadzieję, że to zrobi. Może cię to zdziwi, ale z dwojga złego wolałbym, by ci się oświadczył, bo w ten sposób dałby dowód, że myśli o tobie poważnie, że nie byłas dla niego jedynie zabawką na lato.

– Tato!

– Takie rzeczy się zdarzają nie od dzisiaj – ciągnął ojciec. – Dajmy mu jednak szansę i założmy, że zamierza ci się oświadczyć. Pewien jestem, że nie przyjdzie do mnie i do twojej matki po pozwolenie. Złoży tę propozycję tobie. Kiedy to zrobi, musisz to porządnie rozważyć. Pomyśl o tym, co ci tu z matką powiedzieliśmy. Nie zamykaj się na fakty i głęboko

się zastanów, zanim podejmiesz wobec niego jakiegokolwiek zobowiązanie.

– Zgoda, tak będzie, tato – powiedziała z kamienną powagą. – Ale proszę, żebyście w rewanżu byli dla niego mili i spróbowali go zrozumieć.

– Naturalnie, że będziemy dla niego mili – zdeklarowała się od razu matka.

– Tato? – zapytała Jennifer.

Westchnął. – Będzie mnie to kosztowało trochę wysiłku, ale spróbuję go traktować jak starego przyjaciela rodziny. Nie myśl sobie tylko, że to coś zmienia.

Szczęśliwie się złożyło, że doszli akurat do tego wątego porozumienia, bo w tejże chwili na hotelowy parking wjechał sportowy samochód Tima. Jennifer zeszła, by go powitać i zaprowadzić do pokoju rodziców. Starła się zapomnieć o tym, czego się tu nasłuchiwała, i pokazać panu swego serca pogodne oblicze.

Tim przyjechał w eleganckim sportowym ubraniu i sprawiał wrażenie dziwnie onieśmiałego.

– Gotowa, by rzucić mnie lwom na pożarcie? – zapytał.

– Zaspokoiliam już ich pierwszy głód – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Tobie nic chyba nie grozi.

Przyjrzał się jej uważniej. – Zdaje się, że było z nimi ciężko, co? Wyglądasz na wykończoną.

Skrzywiła się. – Zabawianie rodziców nigdy nie jest rzeczą łatwą.

Obiad przeszedł, co rozumiałe, w dość sztywnej atmosferze. Ogółem jednak biorąc Jennifer uważała, że sprawy poszły nie najgorzej. W końcu jej matka, mimo pewnej oschłości, była uprzejma, a ojciec zaledwie jeden raz popatrzył na Tima wilkiem. Popołudniowe przedstawienie dało zaś jej i Timowi pretekst do wymknięcia się zaraz po posiłku. Pożegnali się bez wylewności i udali się do swoich samochodów.

Gdy znaleźli się sam na sam, Tim rzekł z wahaniem:

– Coś im chyba nie przypadłem do gustu. Zaśmiała się gorzko. – Nikt nigdy nie był dość dobry dla ich córki.

Tim popatrzył na nią z czułością.

– Ja bym się zachował dokładnie tak samo. Nie mam do nich żalu.

– Nie wchodź w rolę ojca, kiedy jesteś ze mną. Nie przystoi – upomniała go.

– Przepraszam. Zapomniałem się. Musimy się pośpieszyć. Niedługo kurtyna pójdzie w górę.

– Zobaczymy się w teatrze.

Odeszli każde do swojego samochodu i odjechali w kierunku teatru. Zostawszy sama ze sobą, Jennifer zaczęła rozmyślać o tym, co usłyszała od rodziców. Matka i ojciec posiali w niej niepokój. Szczególnie niepokojąca i przygnębiająca była wiadomość o możliwej zmianie profilu teatru: tylu ludzi, których polubiła, przestałoby być potrzebnych i musiałyby odejść. A najgorsze ze wszystkiego, rzecz jasna, było to, że taka zmiana oznaczałaby koniec kariery Tima w Kennebunkport.

Popołudniowa publiczność już gromadziła się koło teatru, gdy Jennifer przemykała tamtędy swoim małym samochodzikiem w stronę pensjonatu. Pod pensjonatem zaparkowała,

i pośpieszyła pieszo do teatru. Na schodach spotkała Dudleya Moffeta, który z trudem, niemal po omacku pisał się w górę.

– Dzień dobry panu, panie Moffet – pozdrowiła go i podała mu pomocne ramię. – Pan też tak późno, jak ja.

– Tak, ale ja wychodzę dopiero w drugim akcie – odrzekł ze swym zwykłym wdziękiem i dystynkcją. Nie potrzebuję zatem być tu zbyt wcześnie. Nawiasem mówiąc, panno Bruce, zdumiewa mnie pani świetna gra w roli Ann. Wytrawna aktorka by się nie powstydziała.

– Dziękuję panu. – Uśmiechnęła się.

Jako że obsada „Proszę przyjść jutro nie była bardzo liczna, Jennifer miała własną garderobę. Robiąc sobie przed lustrem makijaż, wciąż nie mogła się uwolnić od myśli p rozważanych zmianach w teatrze. Choćby taki Moffet, któremu właśnie pomogła na schodach – i on zaliczał się do tych aktorów, którym trudno byłoby znaleźć jakieś inne zatrudnienie w czasie lata. Ledwo co widział, ale Roger pozwalał mu ćwiczyć nieco dłużej niż innym i aktor jakoś dawał sobie radę. Gdzie indziej mógłby liczyć na takie traktowanie?

Kończyły się długie i jasne lipcowe dni, które oddawały pole dłuższym i odczuwalnie chłodniejszym sierpniowym nocom. Czwarty Lipca, Święto Niepodległości, odszedł już dawno w zapomnienie, a ludzie raczej rozprawiali o weekendzie Dnia Pracy* [Amerykański Dzień Pracy przypada zawsze w pierwszy piątek września. Te trzy wolne od pracy dni (piątek, sobota, niedziela) zwyczajowo uważa się w USA za koniec wakacji.], o tym, jak i gdzie spędzą ten wolny czas. Letni sezon w Kennebunkport był co prawda jeszcze w pełni, ale tylko patrzeć, jak fala napływających letników zacznie opadać, a w sklepowych witrynach pojawią się zwiastuny posezonowej wyprzedaży.

Teatr miał za sobą połowę przedstawień, a repertuar na sierpień został już dopięty na ostatni guzik. Na początku miesiąca wystawiano „40 karatów” z Ruth Crane jako gwiazdą. Potem miało iść „Morderstwo na telefon” z Timem w roli głównej oraz „6 Rms Riv Vu”, w którym pierwsze skrzypce znów miała grać Ruth. Popisowa rola w ostatniej tego roku sztuce, „Więźniu Drugiej Alei”, przypadła Timowi. Tak to równo podzielono.

Życie i praca zespołu wpadły w pewną rutynę. Po wyjeździe rodziców Jennifer nie słyszała już od Freda Shorta żadnych uwag na temat swego romansu z Timem. Roger Deering też nic nie mówił. Tylko mściwa Ruth uraczyła ją kilkoma sarkastycznymi komentarzami. Znana aktorka nie mogła pogodzić się z tym, że traci Tima na rzecz młodej stażystki.

Randy i Helen stali się główną atrakcją miasteczka. Ich kawiarniane popisy ściągały jak magnes turystów z całej okolicy; co wieczór po spektaklu w teatrze dawali przedstawienia w barze na piętrze przy Placu Portowym, i co wieczór ciasny skwer i pobliskie uliczki zapelniały się samochodami chętnych do zobaczenia ich występu. Rozeszły się pogłoski, że jakiś bostoński hotel chce ich nająć na sezon jesienno-zimowy. Spaślaczek przeżywał godziny triumfu.

Inną elektryzującą nowinę przyniosła Sybil: Jeff Martin poprosił ją o rękę, wkrótce miały się odbyć ich oficjalne zaręczyny. Okazało się przy tym, że Jeff jest jedynym synem pewnego zamożnego bostońskiego małżeństwa, co mogło oznaczać, że Sybil jednak porzuciła myśl o karierze na scenie.

Najlepiej ujął to Randy, mówiąc jednego razu:

– Kariera karierą, ale i bez kariery można sobie wygodnie ułożyć życie.

Roger jeszcze niczego publicznie nie ogłosił na temat przyszłego sezonu, ale było rzeczą powszechnie wiadomą, że interesy teatru nie stoją najlepiej. A właściwie to idą w kratkę: jednego wieczoru na sztukę waliły tłumy, innego znów widownia świeciła pustkami. Jennifer była przekonana, że decyzje zapadną w ostatnim tygodniu sezonu.

W trakcie przedstawień „40 karatów” zachorowała żona kierownika sceny, Kena Chadwicka, i musiał wyjechać do domu w New Jersey. Odpowiedzialność za całą techniczną stronę realizacji spadła na barki Buddy’ego. Młody stażysta stanął na wysokości zadania i .. Morderstwo na telefon” zrealizował zupełnie samodzielnie.

Jennifer została najczęściej obsadzana, stażystką sezonu. Występy w „Proszę przyjść

jutro” uczyniły z niej ulubienicę miejscowych miłośników teatru, którzy domagali się jej dalszych występów. Zdawali się uważać ją za swoje specjalne odkrycie. Poniekąd zresztą tak było.

Tim nadal jej służył swoją wiedzą, a grając ciągle nowe role Jennifer zyskiwała cenne doświadczenie. Sama zresztą zauważała, że czuje się na scenie coraz pewniej i coraz lepiej panuje nad swoją grą. Rzecz to naturalna, bo po prostu w miarę upływu czasu poprawiała się jej technika aktorska. Chociaż wciąż często widywała się z Timem, nie brakowało jej też czasu na zabawę w gronie stażystów oraz spotkania z Buddym.

Pewnego wieczora w środku tygodnia, w którym grali „Morderstwo na telefon” oraz próbowali „6 Rms Riv Vu”, Buddy zaprosił ją do tawerny U Biednego Ryszarda. Knajpa położona była przy głównej drodze do Ogunquit i jak słyszała Jennifer – słynęła z dobrej muzyki. Tim umówił się po przedstawieniu na kielicha z rodziną letników, nie musiała się więc na niego oglądać i bez wahania przystała na propozycję Buddy’ego.

Buddy zawiózł ją do Biednego Ryszarda swoim samochodem. W drodze zapytał:

I jak, zdecydowałaś się już, co będziesz robić po sezonie?

Nie jestem pewna przyznała i poprawiła się nerwowo na skórzanym fotelu sportowego samochodziku.

– Nie zostało ci wiele czasu do namysłu powiedział, nie odrywając oczu od drogi.

Wiem.

– Dzień Pracy za pasem.

– Wiem – powtórzyła z westchnieniem. – A wydaje się, jakbyśmy tu ledwie wczoraj przyjechali.

– Zawsze tak jest – zgodził się. – Mogę uczciwie powiedzieć, że wiele się tu nauczyłem. A wcale nie było łatwo. Te ostatnie tygodnie bez Kena to był koszmar.

– Przecież pięknie sobie radzisz.

– Prześlizguję się.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. – A co z twoimi planami na jesień? Zmieniłeś może zdanie co do prowadzenia ojcowych teatrów?

– Nie. W zeszłym tygodniu przyjechał tu na rozmowę ze mną jego człowiek. Powiedziałem, że nie jestem zainteresowany.

– Musiałeś mu tym zabić klina.

– Gdzie tam. Mojemu ojcu nie można zabić klina – rzekł kwaśno Buddy. – Z nim jest tak, że jeśli nie zrobisz tego, czego on od ciebie oczekuje, to po prostu trafia go szlag. Ale tym razem mam w nosie jego złość. Niech się wścieka do woli.

– A co z tobą?

– Jadę do Nowego Jorku. Ken dał mi parę adresów. Uważa, że mam szansę na pracę w jakimś telewizyjnym studiu w charakterze kierownika produkcji.

– To nie byłoby złe.

– Przede wszystkim byle się gdzieś zaczepić. Potem może uda się złapać jakąś robotę w teatrze, choćby i na boku.

Była pod wrażeniem determinacji, z jaką Buddy dążył do niezależności i doskonalenia się

w swoim fachu. Obok Randy'ego Buddy był chyba najbardziej oddanym teatrowi stażystą z ich zespołu.

Przed tawerną powierzyli samochód obsłudze i eskortowani przez miłego człowieka w marynarskim stroju wkroczyli do lokalu. Wewnątrz duet złożony z perkusisty i klawiszowca raczył gości głośnym rockowym łomotem. Uprzejmy marynarz znalazł im stolik w głębi dużej sali, z dala od muzyki. Nie było tam wprawdzie całkiem cicho, ale ze świecą by szukać na tej sali innego miejsca, w którym można było jako tako rozmawiać. Parkiet zajmujący środek pomieszczenia wypełniał tabun tańczących.

Buddy rozsiadł się wygodnie i popatrzył na nią z uśmiechem. – Mam nadzieję, że cię nie rozbolą uszy.

– Znowu jest na rockowo. Ale siedzimy tak daleko, że da się wytrzymać.

Gdy już zamówili napoje, Buddy poprosił ją do tańca. Akurat rozległy się dźwięki popularnej ballady. Kiedy dynamiczny duet jał ponownie rznąć rocka, pośpiesznie wrócili do stolika.

Buddy podjął rozmowę. – Mówiono dziś przy mnie na twój temat.

– Tak?

– A tak. Roger lamentował, że nie ma dla ciebie roli w ostatnim przedstawieniu. Stanęło na tym, że będziesz na wszelki wypadek dublować Ruth.

– Teraz też ją dubluję. No i robię równocześnie roi Portorykanki. Szczerze mówiąc, to jest ochłap, a nie rola ale przynajmniej wejść na scenę.

– Czyli tam, gdzie twoje miejsce.

– Cieszę się, że tak myślisz.

– Wszyscy tak myślą.

– Jaka szkoda, że sezon się kończy.

– Mnie też żal – zgodził się. – Tyle decyzji trzeba teraz podjąć. A jeśli dobrze słyszałem, Roger zapowiada, że to już ostatni normalny sezon. Od przyszłego roku nasz teatr będzie sprowadzał gotowce.

– Ja też o tym słyszałam. Myślisz, że to prawda?

– Owszem. Ogunquit sprowadza takie inscenizacje i ma cały czas komplet na widowni. Roger wie, że teatr potrzebuje gwiazd.

– To znaczy, że w przyszłym roku nie będzie już stałego zespołu?

– Aktorów nie. Ken będzie. Kierownika sceny przecież muszą mieć. Mnie zaproponowano posadę jego asystenta. Jeśli nie trafi się nic lepszego, to ją przyjmę.

– To fatalnie – zmarkotniała. Przykro patrzeć, jak ten teatr się zmienia. To już nie będzie to samo.

– Aktorom będzie ciężko. Zwłaszcza Timowi i Ruth. Nie wspominając o nieszczęsnym Dudleyu Moffecie.

– Powinien w najbliższym czasie odejść na emeryturę. Buddy pokiwał głową. – Może i odejdzie. Ale mam pewien pomysł, który mógłby mu pomóc.

– Jaki pomysł?

– To dotyczy teatru w ogóle. Otóż nie widzę powodu, dla którego teatr nie mógłby

zachować stażystów. Przecież ci, którzy tu teraz są, odwalają Rogerowi mnóstwo czarnej roboty, włączając w to sprzątanie i sprzedaż biletów. To i tak ktoś musi robić. Kto? Jeśli Roger pozbędzie się stażystów, będzie musiał najmować do tego specjalnych pracowników. I nawet jeśli weźmie okolicznych wyrostków, będzie go to co nieco kosztowało, a tej samej pasji dla teatru spodziewać się po nich trudno.

– A więc?

Buddy zapalał się z każdym słowem coraz bardziej.

– A więc, jak mówię, lepiej zostawić grupę stażystów. Niech robią to, co dotąd. A oprócz tego niech się uczą na kursach gry i podglądają w akcji zawodowców. A co niedziela, późnym wieczorem, kiedy teatr stoi pusty, mogliby wystawiać własne inscenizacje.

Pomysł Buddy'ego wydał się jej po prostu znakomity.

– Uważam, że pomysł jest cudowny. Tylko że potrzeba by ludzi do prowadzenia tych kursów.

– Nic prostszego, jak zatrudnić kogoś takiego jak Dudley Moffet. Bez kłopotu mógłby uczyć interpretacji, dykcji itepe, bo tego może nauczać nawet niewidomy. Ty mogłabyś być czymś w rodzaju asystenta reżysera, a Roger tylko szlifowałby ostateczny kształt przedstawienia. Na mnie i Kena spadłaby realizacja, jak zwykle.

– Nie wiem, czy mam dość doświadczenia – zaproponowała.

– Zamierzałaś uczyć w średniej szkole – przypomniał jej. – To będzie głównie młodzież w tym właśnie wieku. Przecież to jasne, że dasz radę.

– Jeśli Roger będzie tego chciał, to spróbuję. Tym sposobem teatr utrzymałby w jakimś stopniu własne inscenizacje.

– Właśnie o to mi chodzi – przytaknął. – I wówczas zmiana profilu przebiegnie łagodniej.

– Widzę tylko jeden mankament tego wszystkiego.

– A mianowicie?

– W twoim pomysłe nie ma nic dla Tima.

– Niestety – odrzekł z wyzywającym uśmiechem. – Nie pomyślałaś, że mogę chcieć wykluczyć go z gry? Może wtedy miałbym u ciebie jakieś szanse.

Odwzajemniła uśmiech. – Ale ja mówię serio. Co się stanie z Timem?

Buddy wzruszył ramionami i spoważniał.

– W tym projekcie nie ma dla niego miejsca. On nie lubi reżyserować.

– Martwię się o niego.

– Jeśli jest taki dobry, jak niektórzy mówią, to na pewno coś znajdzie. Oboje dobrze wiemy, że jest świetnym aktorem, zna się na rzeczy i łatwo mógłby się przerzucić na reżyserkę, gdyby tylko zechciał.

– Szkoda by chyba było. Za dobrze prezentuje się na scenie.

– Ale jest z każdym rokiem starszy. Może lepiej by na tym wyszedł, gdyby zaczął reżyserować. Aktorzy charakterystyczni nie zarabiają ani małej części tego, co reżyserzy. A za rok, dwa będzie zmuszony grać takie właśnie role.

Westchnęła smętnie.

– Nigdy dotąd nie zastanawiałam się nad wiekiem, starością. Ot, co najwyżej nie mogłam

się doczekać, kiedy będę dorosła. A teraz – gdybym mogła, cofnęłabym kalendarz.

– Wielu by tego chciało. Sprytniejsi i przezorniejsi po prostu planują naprzód. Roger też kiedyś grywał główne role. Ale kiedy zaczął się starzeć, kupił sobie teatr. I może w nim teraz pracować choćby do grobowej deski, o ile będzie na nim zarabiać. Timowi właśnie czegoś takiego potrzeba.

– Muszę z nim pogadać – postanowiła.

Okazja do tego nadarzyła się jej kilka dni później, kiedy wczesnym popołudniem po próbie pojechała z Timem popływać. Ostatnimi czasy Tim zawarł z młodym, sympatycznym szefem Kolonii bliską przyjaźń i tamtejszy basen stał dla niego otworem na co dzień. Tam też pojechali. Sezon zbliżał się ku końcowi, i na basenie było pustawo.

Upatrzyli sobie leżaki w głębi po lewej stronie, z dala od ludzi, i po krótkiej kąpieli rozłożyli się na słońcu. Był to leniwy sierpniowy dzień, taki bez jednej chmurki, że wymagało to od Jennifer wielkiego samozaparcia, by podniósłszy się na łokciu zagadnąć Tima jak najbardziej poważnie:

– Timie? Myślałeś cokolwiek o tym, co będziesz robił w przyszłości?

Tim odwrócił się do niej i zdjął słoneczne okulary, odsłaniając ironicznie przymrużone oczy.

– Mogę wiedzieć, skąd to pytanie?

– Nie odpowiedziałeś mi!

– Oczywiście, że nie. Chcę najpierw wiedzieć, czemu mi zadajesz takie pytanie. Jestem aktorem. A zatem gram. Cóż więcej mogę robić w przyszłości?

– A jeśli pewnego dnia okaże się, że jako aktor nie jesteś nikomu potrzebny?

– Aha! – zawołał. – Tu cię mam, moja mała: doszły cię wieści, że Roger zmienia coś w działalności teatru.

– I co ty na to?

– On o tym gada od lat, a nic z tego gadania nie wynika. Jeśli dotąd jakoś tego nie zrobił, to i tym razem nic z tego nie będzie.

– A jak będzie? Z tego, że dotąd nic nie zrobił, nie wynika, że i tym razem nic nie zrobi.

– Znam Rogera. Za bardzo lubi reżyserować. Kiedy przyjdzie do konkretnego planowania, rozmyśli się i zostawi wszystko po staremu. Już nieraz tak było.

– A może tym razem już się nie rozmyśli?

– Rozmyśli się, mówię ci. Spokojna głowa.

– A jeśli nie, to co? – nalegała. – Przypuśćmy, że rzeczywiście przestawi teatr na objazdówki?

Lekki cień w końcu zasnuł oblicze Tima.

– W takim razie będę sobie musiał znaleźć pracę gdzie indziej. Najzwyczajniej w świecie. Bo to mało takich teatrów, które utrzymują stałe zespoły? To chciałaś usłyszeć?

– Tych teatrów wcale nie jest takie zatrzęsienie, sądząc z tego, co słyszałam.

– Czy ty mi po prostu chcesz popsuć smopoczucie? – zapytał poważnie.

– Nie. Chcę, żebyś był realistą. Z twoim doświadczeniem powinieneś przestawić się na produkcję albo reżyserię. Czas, żebyś pomyślał o jakiejś kierowniczej funkcji.

Utkwił w niej ciężkie spojrzenie. – Pomysł, żeby zostać reżyserem, nigdy mi się nie podobał.

– Dawalesz mi lekcje i jestem przekonana, że masz do tego prawdziwy dar.

– To dwie różne rzeczy – nie zgodził się.

– Niezupełnie. Szkoda tylko, że jesteś taki uparty. Tim roześmiał się i pogładził jej rękę.

– Szkoda, żebyś w twoim młodym wieku tak bardzo się zamartwiała.

– Myślę o tobie. O nas, jeśli wolisz. Popatrzyl na nią z tkliwością.

– Jeżeli już ktoś musi się martwić, to pozwól, że ja to będę robił. Dobrze?

– Równie dobrze mogłabym do ciebie nie otwierać ust – westchnęła. – I tak mnie nigdy nie słuchasz.

I tak było w istocie. Mimo iż nieustannie zapewniał ją o swej miłości, w gruncie rzeczy traktował jak dziecko i kiedy usiłowała zaproponować cokolwiek konstruktywnego, z reguły jej nie słuchał.

Wieczór, w który wypadła premiera „6 Rms Riv Vu”, był wyjątkowo gorący i parny, jak gdyby natura chciała zafundować im powtórkę z tamtych wieczorów z początku sezonu. Sala była wypełniona do ostatniego miejsca, a sztuka została bardzo dobrze przyjęta. Ruth i Tim, grający dwójkę ludzi, którzy szukając mieszkania natykają się na siebie w nieumeblowanym pokoju do wynajęcia i, zauroczeni sobą, przeżywają krótkie romantyczne uniesienia, zrobili na publiczności wielkie wrażenie. Ruth była w świetnej formie, chociaż rozdrażniona i źle usposobiona do Jennifer.

Jennifer grała epizodyczną rolę i dublowała Ruth. Helen z kolei dublowała Jennifer. Ponieważ na całą tę rolę składały się zaledwie trzy czy cztery kwestie w jednym wejściu, Helen z powodzeniem mogła jednocześnie towarzyszyć Randy’emu w kawiarnianych wygłupach.

Tego samego wieczora Roger wydawał w Kolonii doroczne przyjęcie dla swoich artystów i personelu. Panowało z tego powodu ogólne podniecenie, a Roger zrobił kilka wyjątków, zapraszając niektórych spośród stażystów,) którzy pomagali przy inscenizacji premiery.

Zaraz po przedstawieniu Tim zabrał ją do samochodu i razem pojechali do Kolonii. Dla zespołu zarezerwowano jeden z bocznych stołów, i tam też Jennifer i Tim usiedli. Wkrótce zaczęli się zjeżdżać pozostali aktorzy, którzy zajmowali miejsca wokół nich. – Ruth przybyła z Rogerem. Miała na sobie szykowną suknię z trójkątnym stanikiem i wyglądała olśniewająco. Przyjechał też Buddy, sam.

Podano napoje, co jakby wlało nowe życie w niemrawe do tej pory rozmowy przy stołach. Jennifer, ulokowana tuż obok Tima, ciągle czuła na sobie wrogie spojrzenie Ruth. Próbowwała nie patrzeć w tamtym kierunku i bawiła rozmową Kena, który siedział po jej drugiej stronie. Mimo to z każdą upływającą chwilą wieczoru coraz bardziej pragnęła być gdziekolwiek indziej, byle dalej od tego przyjęcia. Z naprzeciwka dochodziły ją bez przerwy kąśliwe i ubliżające przymowki Ruth. Tim poszedł dokądś z Rogerem i czuła się okropnie osamotniona.

Wtem Ruth, która od dłuższego czasu piła na umór, wstała ciężko od stołu i chwiejnym krokiem podążyła ku niej. Stała nad nią i popatrzyła spode łba. Jej twarz była niemal

purpurowa od gniewu i alkoholu.

– Chcę z tobą pogadać – powiedziała. Jennifer podniosła oczy. – Słucham.

– Nie tutaj – burknęła. – Wyjdź ze mną na basen.

– Nie sądzę, byśmy miały cokolwiek do omówienia.

Ruth uśmiechnęła się po pijacku.

– I tu się mylisz. Mamy mnóstwo do omówienia. Już dawno powinnyśmy to zrobić.

Jennifer zdała sobie sprawę, że słucha tego już kilka osób, a nie chciała robić widowiska. Zbyt szanowała Rogera, nie miała ochoty psuć mu przyjęcia. Rozejrzała się dokoła i spostrzegła, że Roger i Tim stoją przy barze, rozmawiając o czymś z ożywieniem. Nie wypadało im przerywać, bo mogła to być ważna rozmowa o interesach. Znikąd ratunku. Postanowiła zatem co prędzej zaspokoić kaprys pijanej Ruth.

Wstała i rzekła: – W porządku, chodźmy.

Ruth szła przodem, zatrzymała się dopiero przy obmurowaniu blado oświetlonego basenu. Odwróciła się nagle z furją: – Dlaczego chcesz zniszczyć Tima?

– Co też pani wygaduje – osłupiała Jennifer.

– Niszczysz go!

– Też coś! Nie wiem, o czym pani mówi.

– To twoje dziecinne flirtowanie z nim odbije się na jego przyszłości. Będzie go kosztować karierę!

– A to niby dlaczego? – zaprotestowała Jennifer.

– Tim i ja kochaliśmy się, dopóki ty się nie przyplątałaś.

Jennifer wiedziała, że to nieprawda. Wcale tak nie było. Tim sam jej powiedział, że choć szanuje i ceni Ruth jako aktorkę, uważa ją za osobę na co dzień nie do zniesienia. Był z nią na przyjacielskiej stopie, nigdy wszakże nie myślał o niej poważnie.

– Nie sądzę, by tak było – odpaliła prosto z mostu. – Tim nigdy pani nie kochał. Pani jego – może i owszem, a jeśli tak, to jest mi przykro.

– Dziękuję ci za współczucie – wycodziła Ruth.

– Naprawdę jest mi przykro. Nie chcę nikomu sprawiać bólu.

– W takim razie powinnaś zrezygnować z Tima.

– Dlaczego?

– Bo go ośmieszasz. – Jej głos przechodził miejscami w pijacki bełkot. – Gdyby ożenił się ze mną, znalazłabym mu pracę w moim serialu. I znam wielu ludzi, którzy mogliby dla niego to i owo zrobić.

– Skoro może mu pani pomóc, to pewnie pomoże mu pani tak czy inaczej. On na pewno by zrobił dla pani wszystko co w jego mocy, gdyby pani tego potrzebowała.

Ruth zaśmiała się chrapliwie. – Tak? Niedoczekanie! Pomóc? Dlaczego miałabym pomagać mu w układaniu sobie życia z tobą? Ty mała glisto! Myślisz, że jak Tim wyuczył cię czegoś tam niczym papugę, to już jesteś aktorką? Bez niego nie wydusiłabyś z siebie jednego słowa!

– Sama pierwsza przyznaję, że mi pomógł! Ruth wykrzywiła twarz w szyderym uśmiechu.

– Ty złotouste Bógwieco, te twoje szlachetne porywy duszy! Kto się na to nabierze?! Ja nie!

– Skoro zdaje się pani, że ma pani coś Timowi do powiedzenia, to chyba z nim pani powinna porozmawiać, a nie ze mną. Od początku miałam rację: nie mamy sobie nic do powiedzenia!

– Ja ci dam nauczkę, ty smarkata żmijo! – wrzasnęła rozwścieczona aktorka. Złapała zaskoczoną Jennifer za ramię, pociągnęła do siebie, po czym obróciła o sto osiemdziesiąt stopni i pchnęła z impetem do basenu.

Jennifer była zupełnie zaskoczona. Tych kilka sekund, w ciągu których Ruth ją chwyciła, zakręciła i cisnęła do zimnej wody, nie wystarczyło jej, aby pozbierać myśli i zacząć się bronić. Ładowanie w basenie było nie tyle niebezpieczne, ile upokarzające. Natychmiast stanęła na nogi i wściekła, ociekająca wodą patrzyła, jak Ruth zanosi się pijackim śmiechem.

Pierwszą osobą z reszty towarzystwa, która zorientowała się, że dzieje się coś niedobrego, był Buddy. On też pierwszy zjawił się na miejscu zdarzenia. Ogarnął sytuację jednym spojrzeniem. Spiorunował wzrokiem Ruth, która wciąż nie posiadała się z uciechy, i pośpieszył do basenu, by pomóc Jennifer wyjść.

– Masz za swoje, zmij! – zawyła Ruth. – To cię nauczy! – Popatrzyła ostatni raz na swoje dzieło i ze słowami: – No, czas na mnie – skierowała się ku wejściu do holu.

– Idź za nią! – Jennifer poleciała szybko Buddy’emu. – Ona ma tu swój samochód, a w tym stanie nie wolno jej usiąść za kółkiem!

– A co z tobą?

– Nic mi nie będzie. Wejdę bocznymi drzwiami i ogarnę się trochę w damskiej toalecie. Potem Tim odwiezie mnie do domu.

Buddy odprowadzał wzrokiem Ruth, która pijackim zygzakiem oddalała się w kierunku głównego holu.

– Ależ kretyński wybryk! – rzekł z niesmakiem. Pchnęła go lekko. – Biegnij, bo odjedzie, nim jej dopadniesz.

Ruszył, ale jeszcze zawołał przez ramię:

– Mam pogadać z Timem?

– Nie, goń ją! Ja sobie dam radę.

Buddy zniknął w holu w ślad za zapijaczną aktorką. Jennifer, przemoczona do suchej nitki, ruszyła biegnącym wokół hotelu betonowym chodnikiem i okrężną drogą znalazła się w wiodącym do salonu korytarzu, a następnie w damskiej toalecie. Szybko zdjęła i wykręciła sukienkę, po czym – cóż! – włożyła ją na powrót. Potem zabrała się do układania mokrych włosów. Niewiele dało się z nimi zrobić. Ale mnie urządziła – myślała, stojąc bezradnie przed lustrem. O ile to, co zrobić z włosami, zaprzętało jej myśli jeszcze przez kilka długich chwil, o tyle uwagi i oskarżenia Ruth tylko jedną krótką chwilę, bo wydały się jej one co najmniej bezsensowne.

Kiedy doprowadziła się do jako takiego stanu, wróciła na salę, gdzie bawiono się w najlepsze: nikt chyba nie zauważył, że przy basenie miała miejsce owa osobliwa scena. Tim rozmawiał przy drzwiach z Dudleyem Moffetem, bez trudu więc zwróciła na siebie jego uwagę.

Wyszedł i wytrzeszczył na nią z niedowierzaniem oczy.

– A cóż tobie, na Boga, się stało? Uśmiechnęła się krzywo.

– Ruth wepchnęła mnie do basenu. Niestety, nie byłam przy niej dość czujna.

– Co takiego zrobiła?!

– Wrzuciła mnie do basenu.

– Gdzie ona jest? – zapytał, tocząc wokół złym okiem.

– Pojechała. Wysłałam za nią Buddy'ego, bo nie wyglądała na zdolną do prowadzenia auta. Mam nadzieję, że udało mu się wybić jej z głowy prowadzenie.

– Wątpię – rzekł posepnie Tim. – Kiedy wypije za dużo, całkiem jej odbija. Dzisiaj, zdaje się, przeszła samą siebie.

Podszedł do nich Roger, przyglądając się Jennifer ze zdziwieniem.

– Gdzie się tak cała zmoczyłaś? – spytał. Wyjaśniła mu to w kilku słowach.

– Ruth musi za to beknąć – oświadczył ze złością Tim. – Mogła przecież poważnie Jennifer zranić.

– Chyba oszalała. – Roger pokiwał z ubolewaniem głową. – Rozmówię się z nią.

– Nie chcę, żeby były przeze mnie jakieś kłopoty – powiedziała Jennifer. – Była, bądź co bądź, pijana.

– To żadne usprawiedliwienie – rzekł ostro Tim. – Od dawna ostrzyła sobie na ciebie pazurki.

– Masz rację – przyznał Roger z zatroskaną miną. – Musi dostać porządną burę.

– Bura to mało – stwierdził cierpko Tim. Zwrócił się do Jennifer: – Odwiozę cię na kwatery, zanim dostaniesz zapalenia płuc.

– Właśnie, chciałabym zrzucić te mokre ciuchy. Pożegnali Rogera i pośpieszyli do samochodu Tima.

Gdy wyjeżdżali na drogę, Tim powiedział z niepokojem:

– Ciekawe, czy Buddy sobie z nią poradził.

– Mam nadzieję, że oddała mu kierownicę.

Jechali tą samą trasą nad rzeką, którą wcześniej musiała jechać Ruth. Kiedy dojeżdżali do Placu Portowego, Jennifer ujrzała w przedzie błyskające światło policyjnego wozu i grupę stojących samochodów. Poczula nagle dławienie w gardle: od razu zrodziło się w niej straszne podejrzenie, że musiał się tu zdarzyć wypadek i że to sprawka Ruth.

– Co, tu się dzieje? – głowił się Tim, wyhamowując powoli samochód.

Wysiedli oboje i podbiegli bliżej, w samą porę, by zobaczyć znikające w karetce pogotowia nosze. Opodal stały dwa rozbite auta, z których jedno miało zmiążdżony przód, a drugie silnie wgnieciony bok. W jednym z wraków struchlała Jennifer rozpoznała samochód Ruth.

Z trwogą w sercu pobiegła naprzód ku policjantowi, który kierował akcją, i błagalnym tonem zapytała:

– Kto został ranny, niech mi pan powie? Młody oficer spojrział na nią bystro.

– Pani jest z tego teatru, nieprawdaż?

– Tak. Jestem pewna, że w jednym z aut jechał mój przyjaciel!

Policjanta twarz nie wróżyła nic dobrego.

– Jacyś ludzie z teatru byli w samochodzie, który spowodował wypadek. Za kierownicą siedziała młoda kobieta, a obok niej mężczyzna.

– Czy są ciężko ranni?

– Owszem, dosyć ciężko – potwierdził funkcjonariusz. – Właśnie zabrano ich karetką do szpitala w Biddeford. Tych czworo z drugiego samochodu też tam zabrano, ale oni nie mieli poważnych obrażeń i pojechali wozem policyjnym.

Dołączył do nich Tim. – Co się stało? – spytał Jennifer.

Opowiedziała mu w dwu zdaniach. Była bliska płaczu.

– Dlaczego wysłałam za nią Buddy’ego? Mogłam się domyślić, że ona nie pozwoli mu prowadzić. A on z nią i tak pojechał. Ma się rozumieć, to ona spowodowała tę kraksę!

Tim wziął ją pod ramię. – Wrócimy się kawaleczek i pojedziemy do szpitala inną drogą. Ta będzie zakorkowana jeszcze przez jakiś czas.

Pozwoliła się odwlec od feralnego miejsca i wsadzić do samochodu. Siadła otępiała, pogrążona w głuchej rozpacz, a Tim zawrócił samochód i skierował go w podrzędną boczną drogę, która miała ich kilkoma stromiznami zaprowadzić na autostradę do Biddeford.

– Może nie jest aż tak źle – odezwał się poblady z przejęcia Tim.

– Policjant był raczej innego zdania.

Tim nie żałował gazu, drzewa po obu stronach drogi zwały się w jednolitą ścianę.

Niebawem znaleźli się na przedmieściach Biddeford. Jennifer wiedziała, iż szpital położony jest przy autostradzie na obrzeżu miasta, pilnie zatem obserwowała przydrożne znaki i zawczasu wskazała Timowi dojazd.

W informacji szpitala rozłożono bezradnie ręce. Niestety, z sali operacyjnej, dokąd niezwłocznie zabrano ofiary wypadku, nie było jeszcze żadnych wieści. Kazano im czekać; zaczęło się dla nich czuwanie, które miało potrwać parę bitych godzin.

– Zatelefonuję do Rogera. Trzeba mu powiedzieć – westchnął Tim – na przyjęciu mogli jeszcze nie słyszeć o wypadku.

– Tak, zadzwoń – poparła go.

Połączył się z Kolonią z publicznego aparatu w holu szpitala. Kiedy wrócił do Jennifer, w zimnym świetle na jego obliczu rysowało się znużenie i przygnębienie.

– Roger i inni właśnie otrzymali wiadomość. Jest w drodze do szpitala – poinformował lakonicznie.

Roger zjawił się po jakichś dwudziestu minutach. Wstali i podeszli do niego, a on zapytał bez wstępów:

– Dowiedzieliście się, jak ciężko są ranni?

– Są teraz na górze w sali operacyjnej – odpowiedział Tim.

Roger pokręcił głową. – Co za wieczór! Co za sezon! Poszedł porozmawiać z panią z informacji i wrócił.

– Pociuszające jest choć to, że nikomu z tamtej czwórki z drugiego samochodu nie stało się nic poważnego. Tylko niegroźne obrażenia i wstrząs. Żeby dowiedzieć się czegoś o Ruth i Buddym, trzeba poczekać.

Zbliżała się już druga po północy, gdy otworzyły się drzwi windy i wyłonili się z niej dwaj lekarze, którzy zajęli się Ruth i Buddym. Roger znał ich osobiście, należeli bowiem do stałych mecenasów jego teatru. Podeszedł więc, by zapytać o wieści, Jennifer i Tim zaś stali cicho z tyłu.

Dały się słyszeć słowa starszego z chirurgów:

– Pani Crane ma zmiądzoną klatkę piersiową i skomplikowane złamanie lewej nogi. Zostanie u nas jakiś czas, ale się wyliże. Rokuje nadzieje na powrót do pełnego zdrowia.

Roger skinął markotnie głową. – A chłopak?

– Z nim jest problem. Ma groźne urazy pleców i głowy. Zrobiliśmy, co było w naszej mocy, ale dopiero za kilka dni będziemy rzeczywiście wiedzieli, jak ciężkich doznał obrażeń.

– Czy nie powinien polecieć do Bostonu na dodatkowy zabieg? – zapytał Roger.

– Odradzałbym przewożenie go w tej chwili – brzmiała odpowiedź lekarza. – Może jednak uznamy za konieczne sprowadzenie specjalisty tutaj. Chodzi o jego mózg. Tam się wszystko zadecyduje. Nie mamy co do tego pewności, ale mogło nastąpić nawet poważne jego uszkodzenie. Chłopak jest nadal nieprzytomny.

– Będzie mnie pan informował na bieżąco?. – poprosił Roger.

– Może pan na mnie liczyć – zapewnił go starszy chirurg i obaj lekarze udali się w swoją stronę.

Gdy Roger obrócił się do Tima i Jennifer, na jego twarzy malowała się rozpacz. – Sami słyszeliście!

– Tak – rzekła Jennifer i dodała łamiącym się głosem: – Myślę, że powinien pan natychmiast powiadomić ojca Buddy’ego. Jest właścicielem sieci hotelowej Phillips. Buddy jest jego jedynym synem.

– Tak zrobię. – Roger z miejsca ruszył do budki telefonicznej.

Tim i Jennifer stali w milczeniu, osowiali.

– A to ci sposób na zakończenie sezonu – mruknął wreszcie Tim.

Potrząsnęła głową. – Nie powinnam była go za nią posyłać!

– A skąd mogłaś wiedzieć, co się zdarzy? – uspokajał ją łagodnym głosem. – Wyrzucam sobie, że zostawiłem cię samą. Wiedziałem, że Ruth jest w paskudnym nastroju, ale nie spodziewałem się, że dokaże czegoś takiego.

– Wygląda na to, że Buddy może nawet umrzeć. – Głos jej zadrżał.

Tim objął ją mocno ramieniem. – Przestań. Roger nie dał im długo czekać na swój powrót. Znać było po nim psychiczne napięcie i przemęczenie.

– Jego ojca nie zastałem, ale mówiłem z macochą, która obiecała odszukać męża. Podobno jest w San Francisco, gdzie załatwia kupno jakiegoś hotelu. Trochę to potrwa, zanim się do niego dotrze i zanim on dotrze tutaj.

– Nie dłużej niż jeden dzień – powiedział Tim. Roger westchnął.. – Nie wiem, czy wy też, ale ja muszę się napić kawy. Dużo czarnej kawy.

Pojechali do podłej, rozświetlonej niegustownymi neonami jadłodajni, która czynna była do tej pory, gdyż obsługiwała pracujących nocami. W rogu knajpy siedziała zresztą taka grupka nocnych marków, kierowców ciężarówek, którzy rozmawiali hałaśliwie, nie stroniąc od wulgarnych wykrzykników. Jennifer, Tim i Roger usiedli więc w przeciwnym rogu, gdzie było całkiem pusto.

Podeszło do nich tęgawe indywiduum w białym czepku i średnio czystej białej koszuli.

– Co podać, psze państwa?

Roger machnął od niechcenia ręką. – Dzban kawy. Siedzieli na trzech drewnianych zydłach, Jennifer w środku.

– Wiem, że i tak już dziś nie pośpię – rzekła przybitym głosem.

– Chyba nikomu z nas nie będzie to dane – dorzucił Tim.

Na stół wjechała kawa. Wypili po kilka łyków w milczeniu, a potem Roger spojrzał jakoś dziwnie na Jennifer i powiedział:

– Zdaje się, że Ruth przypadkiem zrobiła dla ciebie ostatnią rzecz, której by ci życzyła.

– Co pan ma na myśli? – zdumiała się.

– A no, jako że jesteś jej dublerką, odstąpiła ci główną rolę kobiecą w „6 Rms Riv Vu”.

Zaniemówiła na moment. – Nie pomyślałam o tym. Byłam tym wszystkim taka przejęta, nie miałam głowy!

– A czas już najwyższy, żeby pomyśleć o przedstawieniu – rzekł Roger. – Szczęściem Buddy nie był w obsadzie, więc poradzimy sobie gładko bez niego. Gorzej, jeśli idzie o aktorów: ty będziesz musiała zastąpić Ruth, a Helen ciebie.

– Nie wiem, czy potrafię! – Wpadła w panikę na samą myśl o tym.

– Musisz – powiedział reżyser tonem nie znoszącym sprzeciwu. – Powiedz jej to sam, Timie.

– Roger ma rację, Jennifer – przytaknął mu Tim. – W takiej chwili jak ta musisz zapomnieć o tremie, nerwach i tym wszystkim. Nie możemy przecież zamknąć teatru.

– Wkułaś już sporo, prawda? – zapytał Roger.

– I owszem – odpowiedziała zrozpaczonym głosem – tylko że teraz nie umiem sobie przypomnieć ani zdania.

– Zwołamy próbę na jutro rano – kontynuował rażno Roger. Szybko otrząsnął się z szoku i odzyskiwał swoje zwykłe rzeczowe podejście do spraw.

– A ja dodatkowo poćwiczę z Jennifer – zaofiarował się Tim. – Zrobię, ile będę mógł.

– To może wyznaczmy próbę na pierwszą, co? – zdecydował Roger. – A rano poświęćcie na podszlifowanie roli Jennifer.

– Tak będzie lepiej – zgodził się Tim.

Jennifer patrzyła bezradnie to na jednego, to na drugiego.

– Jak ja, waszym zdaniem, będę mogła się skupić, kiedy nie wiem, czy Buddy będzie żył, czy umrze?

– Nie wolno ci się nad tym długo zastanawiać. W tej chwili i tak nie możesz mu w niczym pomóc. Jedyne, co możesz dla niego zrobić, to uratować sztukę. Na Buddym świat się nie kończy, pomyśl o innych ludziach z naszego teatru. Dla wielu z nich ten Teatr to jedyne źródło utrzymania.

Jeszcze przez jakiś czas obaj, Tim i Roger, przemawiali jej do rozsądku, próbując jej uzmysłwić ten trudny fakt. Zrozumiała, że mają rację: pod nieobecność Ruth odpowiedzialność za przedstawienie spadała na nią i uchylić się nie było jej wolno. Powinna podjąć wyzwanie i dać z siebie wszystko, aby teatr mógł dalej funkcjonować.

Tim odstawił ją na kwaterę o trzeciej nad ranem. Ucałował ją na dobranoc i rozstali się, wyznaczwszy sobie spotkanie w teatrze na dziesiątą rano.

W holu pensjonatu paliło się światło i kiedy weszła, ze zdziwieniem stwierdziła, że niektórzy stażyści są jeszcze na nogach. Czekali na nią i na najświeższe wieści ze szpitala. Helen, Sybil i Randy stali w kuchni przy lodówce, popijając mleko. Helen rzuciła się do niej z pytaniem:

– I co z nimi?

– Ruth nic nie będzie, ale martwią się o Buddy’ego – powiedziała markotnie, a potem wyłożyła im szczegóły.

Randy wolno pokręcił głową. – Z tej Ruth zawsze był wredny numer. Ci ludzie, w których wrąbała, wyszli z naszego przedstawienia, więc ja i Helen znaleźliśmy się od razu na miejscu wypadku.

Helen spojrzała znacząco na Jennifer.

– W takim razie ty i jak przejmujemy robotę!

– Ano – westchnęła Jennifer. – Właśnie wracam z rozmowy z Rogerem. Oczekuje, że weźmiemy to w swoje ręce.

– Dla mnie to pestka, ale dla ciebie... To strasznie długi tekst!

– Umówiłam się na dziesiątą z Timem, będziemy nad tym pracować. Najlepiej więc zrobimy, jak pójdziemy zaraz spać.

– Nie wiesz, kiedy będzie coś więcej wiadomo o Buddym? – wtrąciła się Sybil.

– Przypuszczam, że rano – odpowiedziała jej Jennifer. – Roger powiadomił rodzinę. A lekarze być może będą musieli sprowadzić specjalistę, żeby Buddy’ego zoperować.

Udali się do łóżek, a tak byli wszyscy wyczerpani, że sen zmorzył ich w okamgnieniu. Mimo to Jennifer zerwała się rano przed innymi, około ósmej, i samotnie zjadłszy śniadanie, wymknęła się do teatru z egzemplarzem tekstu „6 Rms Riv Vu” pod pachą. W teatrze nie było jeszcze nikogo oprócz stróża, który krzątał się z miotłą przy swojej robocie i nie przeszkadzał jej w nauce.

Zanim zjawił się Tim, zdążyła przejść cały tekst i czuła się już całkiem pewnie. Przed przystąpieniem do prób skorzystali z biurowego telefonu, by zadzwonić do szpitala w Biddeford. Poinformowano ich, że Buddy leży spokojnie, a Ruth czuje się dobrze i wraca do zdrowia. Z ulgą przyjęli te pomyślne nowiny i energicznie zabrali się do pracy.

Pracowali od razu na deskach, a ponieważ większość scen rozgrywała się tylko między nimi dwojgiem, mogli w zasadzie rozplanować sobie grę w całej sztuce. Tim po raz kolejny dawał dowody swoich dużych możliwości reżyserskich, aż Jennifer znowu zrobiło się żal, iż nie chce wykorzystać tego daru w swojej karierze.

Po jakiejś godzinie zrobili sobie przerwę. Usiedli na gołych deskach – krzeseł żadnych na scenie nie było, gdyż dekoracja przedstawiała pusty, nie umeblowany pokój – a Tim uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Podoba mi się, jak grasz tę rolę. Podeszłaś do niej zupełnie inaczej niż Ruth, ale jest to równie dobre.

– Słuchałam jej co wieczór i zastanawiałam się, jak ja bym zagrała tę czy inną scenę. Nie wyobrażam sobie, żeby niektóre rzeczy mogła zrobić tak jak ona.

– Uważam, że tak jak to robisz, jest równie dobrze.

– Mam nadzieję. – Uśmiechnęła się niewyraźnie. – Niedobrze, gdy człowiek musi tak od razu rzucać się na głęboką wodę. Oby to jakoś wyszło.

– Dotąd nie miałaś ani jednego złego występu. Czemu się tym razem tak martwisz? Tylko się nie daj nerwom, a pójdzie jak z płatka.

Wrócili do pracy. Teraz Tim objaśniał jej, jak grać niektóre trudniejsze momenty, żeby wyzyskać ich atuty i ominąć groźne rafy. Dochodziło wpół do pierwszej, gdy między rzędami krzeseł na widowni pojawił się Roger. Podszedł do sceny i uśmiechnął się, zadzierając głowę.

– Siedziałem tam z tyłu i oglądałem was – powiedział. – Wszystko mi się do tej pory podobało.

– Dzięki. – Jennifer podeszła do rampy. – Są jakieś nowe wieści ze szpitala?

– Tylko to, że Buddy jakby odzyskiwał przytomność. Lekarze przejawiają teraz trochę więcej optymizmu, a dziś wieczorem przybędzie jego ojciec.

– Czy Jennifer nie powinna napić się kawy i przekąsić coś, zanim zaczniemy właściwą próbę? – zaproponował Tim.

– Owszem, powinna – zgodził się Roger. – I ty też trochę odpocznij.

Opuściła teatr i poszła prosto do swojego pokoju, gdzie wyciągnęła się na łóżku i zdrzemnęła kilkanaście minut. Obudziła ją Helen, która przyszła wypytać ją, jak poszło rano. Zeszły razem na kawę, a potem popędziły do teatru.

Jennifer nieraz widywała filmy, w których dublerka musiała zastąpić niedysponowaną gwiazdę, po czym sama zostawała wielką gwiazdą. Ale te ekranowe historyjki nie bardzo przystawały do rzeczywistości, którą teraz Jennifer poznawała, bo nigdy nie pokazywano w nich tej wyczerpującej pracy, której wymagało od aktorki pośpieszne przygotowanie się do długiej roli. Nie mogła się też łudzić, że występy w tej sztuce uczynią z niej wielką gwiazdę: choćby nawet odniosła oszałamiający sukces, to iluż ludzi może ją w tym teatrze zobaczyć? Niemniej jednak szczerze pragnęła uratować teatr od zamknięcia, i ten cel przede wszystkim jej teraz przyświecał. Czekano ją zatem także uczenie się głównej kobiecej roli w zamykającej sezon sztuce, „Więźniu Drugiej Alei”, która to rola do krótkich również nie należała.

Generalna próba trwała całe popołudnie. Roger okazywał więcej cierpliwości niż zwykle, ale jak zwykle nie umykały jego uwagi najdrobniejsze nawet detale. Nie mogło być mowy o niestarannej inscenizacji. Nie u niego. Gdy wreszcie około piątej Roger zakończył próbę, ludzie padali z nóg.

Tim odprowadził Jennifer na kwaterę.

– Nie martw się o to, co będzie wieczorem – uspokajał ją. – Na próbie grałaś doskonale.

– Jestem zmęczona, ale rzeczywiście przybyło mi wiary w siebie – przyznała.

– Roger jest z ciebie zadowolony. Widać to było po nim. Teraz powinnaś się już nastawiać na następną sztukę. Musisz się z nią czym prędzej zapoznać.

– Cieszę się, że to już ostatnia.

– Ja też, chyba pierwszy raz w życiu. A jednak smutna to chwila. Koniec sezonu i koniec lata.

Uśmiechnęła się doń ciepło.

– To tylko koniec tego jednego lata.

– Prawda.

Rozstali się przy drzwiach. Na górze, idąc za przykładem Helen, wzięła prysznic i ucięła sobie znowu drzemkę. Obie wiedziały, jak ważną rzeczą jest wypoczynek przed występem. Przy kolacji Jennifer ledwo tknęła jedzenia, a w teatrze zameldowała się grubo przed czasem.

Miała znowu własną garderobę, aczkolwiek tym razem na spółkę z Helen. Pogodna natura i zabawne uwagi współlokatorki były jak balsam dla jej nerwów. Dochodziła ósma, gdy jej makijaż i kostium były gotowe. Pozostało tylko czekać na wezwanie na miejsca.

Nie mogła w tej chwili, siedząc przed lustrem jak na szpilkach, nie pomyśleć o Buddym, jej cichym i serdecznym przyjacielu. To on ostatnimi czasy obwieszczał podniesienie kurtyny. Tylko że tego wieczora jego ciepły głos nie mógł rozbrzmieć w teatrze, ponieważ Buddy'ego tu nie było.

Jakkolwiek ostatnie wieści ze szpitala były pocieszające, wciąż się o niego okropnie niepokoiła.

– Pięć minut! – rozległ się głos Kena, zamiast głosu Buddy'ego.

Jeszcze raz rzuciła okiem w lustro i udała się na scenę.

U drzwi garderoby czekał na nią Tim. Już tylko sekundy dzieliły ich od wejścia na deski teatru. Podniósł jej rękę do ust i złożył na niej pocałunek.

– To żeby życzyć ci powodzenia, nie psując ci makijażu – powiedział.

Wypadek Ruth i Buddy'ego był przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny na ustach wszystkich w Kennebunkport i najbliższej okolicy, więc publiczność przybyła tego wieczoru na spektakl doskonale zdawała sobie sprawę, iż Jennifer przejęła rolę niemal z marszu. Wielu stałych bywalców pamiętało ją poza tym z wcześniejszych sztuk i wiedziało, że jest jedynie stażystką. Kiedy weszła na scenę, na znak życzliwości powitano ją gorącymi brawami.

Takiego właśnie dodatkowego bodźca potrzeba było Jennifer, by wzniosła się na wyżyny swoich możliwości. Tim partnerował jej z właściwą mu klasą, a ona grała z niespotykaną werwą i polotem. Gdy spadła kurtyna po pierwszym akcie, posypały się gromkie oklaski, zarówno z widowni, jak i zza kulis.

W garderobie rychło zjawił się Roger.

– Pięknie, Jennifer, naprawdę pięknie. – Zatarł ręce. – Oby tak dalej. Przy okazji: przybył pewien gość.

– Kto taki?

– Stephen Phillips, ojciec Buddy'ego. Przyjechał tu prosto ze szpitala. Miałem z nim długą rozmowę.

– Jak czuje się Buddy?

– Dużo lepiej, ale rany na plecach okazały się cięższe, niż lekarze początkowo myśleli. To może być kwestia długich miesięcy, nim Buddy będzie zdolny normalnie się poruszać. – O ile z tego w ogóle wyjdzie.

– Pan Phillips twierdzi, że zdaniem lekarzy tak. Wie, że jesteś jego bliską przyjaciółką, i prosił o spotkanie z tobą po przedstawieniu.

– Bardzo chętnie go poznam. – I dodała z kwaśnym uśmiechem: – Jeśli przeżyję drugi akt.

– Spokojna głowa! – zapewnił ją Roger.

I przeżyła drugi akt, bez dwóch zdań. Jeszcze jak przeżyła! Kiedy sztuka dobiegła końca, wywołano ją na scenę i dostała własną porcję burzliwych braw. Ledwo kurtyna opadła po ostatnich ukłonach, dopadł jej Tim. Wziął ją w ramiona i czule ucałował.

– Jestem z ciebie dumny – rzekł krótko.

Był to najpiękniejszy wyraz uznania, jaki mógł ją spotkać.

– Dziękuję ci za wszystko, Timie – powiedziała || drżącym głosem, a do oczu napłynęły jej łzy szczęścia.

Inni także się do niej tłoczyli, gratulowali. Tego wieczora dokonała czegoś dużego i fantastycznego, i gdyby Ruth miała pojęcie o tym, do czego doprowadziła, czułaby się na pewno bardzo marnie. Jej niecne zamysły i postęпки skończyły się dla Jennifer prawdziwym scenicznym triumfem.

Ledwo zdążyła się przebrać w zwykłe ubranie, rozległo się pukanie do drzwi garderoby. Otworzywszy je, ujrzała Rogera i jeszcze jednego mężczyznę, który do tego stopnia, przypominał Buddy'ego, że od razu odgadła, kim jest.

– Jennifer, to pan Stephen Phillips – przedstawił go, i| chyba na wszelki wypadek, Roger. Ojciec Buddy’ego uścisnął jej serdecznie rękę.

– Niech mi będzie wolno pogratulować pani urzekającego występu.

– Jeśli o mnie chodzi, to wołałabym, żeby nie doszło do tego zastępstwa – odrzekła. – Tak się martwię o Buddy’ego.

– Jest w ciężkim stanie, ale wydobrzeje – powiedział Stephen Phillips. – I trudno w tej chwili chcieć więcej.

– Wszyscy byśmy tego chcieli.

– Słyszałem, że niedaleko stąd jest miła kawiarenka. Może moglibyśmy tam wstąpić na parę chwil? Chciałbym trochę pogwarzyć z przyjaciółką Buddy’ego.

Pomyślała o Timie. Zapewne zaplanował spędzenie tego wieczoru triumfu w jej towarzystwie. Ale czy nie można by mu tego wytłumaczyć? On to zrozumie, była przekonana. A prócz tego wydawało się jej, że jest dłużna ojcu Buddy’ego nieco swojego czasu, bo wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu tego wypadku.

– Jeśli zechce pan poczekać momencik – rzekła – sprawdzę, czy uda mi się uzyskać zwolnienie z pewnego zobowiązania.

– Nie chciałbym sprawiać kłopotu... – zaczął.

– Ale to nic ważnego – zapewniła go szybko. – Za chwilę będę z powrotem.

I popędziła do garderoby Tima. Tim akurat zęgnął się w korytarzu z Dudleyem Moffetem. Odwrócił się i zobaczył ją nadbiegającą.

– Cześć – powiedział. – Właśnie po ciebie szedłem. Spojrzała nań z zakłopotaniem.

– A ja właśnie przyszedłam to z tobą załatwić.

– To znaczy?

– Jest u mnie ojciec Buddy’ego i chce mnie zabrać na kawę. Wydaje się trochę przybity. Mam nadzieję, że będę w stanie nieco mu pomóc.

Aktor uśmiechnął się pogodnie. – Nie ma sprawy. Rozumiem. Będzie się czuł dużo swobodniej, jeśli nie będzie osób trzecich. Nie gryź się tym, zobaczymy się jutro.

– Na pewno nie masz nic przeciwko temu? Pochylił się, by wycisnąć na jej czole pocałunek.

– Jasne, że nie. Uważam, że to, co robisz, jest najzupełniej właściwe.

Zrobiło się jej lżej na sercu i ochoczo wróciła do Stephena Phillipsa. Hotelarzmilioner jeździł drogim wypożyczonym samochodem, do którego ją zaprosił, a ona objaśniła mu drogę do owego kawowego baru, w którym wieczorami występowali Helen i Randy. Udało im się akurat zdążyć na przedstawienie; ba, dostali nawet dobry stolik z przodu tuż przy estradzie. Młodzi komedianci wypadli w ich oczach znakomicie, a gdy skończyli wygłupy, Jennifer przedstawiła ich ojcu Buddy’ego.

Kiedy Helen i Spaślaczek odeszli, pan Phillips rzekł:

– Myślę, że tych dwoje powinno dalej występować razem. Mają świetny program.

– Ja też tak uważam – przytaknęła.

– Mam w Bostonie znajomego, który szuka dobrych artystów do swojego lokalu. Podeślę mu informację o tych dwojgu.

Uśmiechnęła się do niego.

– To bardzo uprzejmie z pana strony.

– Zapatrywałbym się na to inaczej. Raczej zrobię w ten sposób przysługę mojemu znajomemu.

– Gdzie pan ma główną siedzibę, panie Phillips?

– W Nowym Jorku. Dzięki temu będę mógł tu znowu przylecieć za parę dni. Będę zaglądał do Buddy’ego co kilka dni i sprawdzał, czy zdrowieje jak należy.

– Był w stanie pana rozpoznać?

– Owszem, poznał mnie tuż przed tym, jak wyszedłem, żeby pojechać do teatru. Lekarze chyba uznali to za dobry znak.

– To naprawdę dobry znak. Czuję taką ulgę. Wie pan, w pierwszej chwili wieści były niedobre, a ja się obwiniałam za to, co się wydarzyło.

– Niepotrzebnie – zaoponował. – Niech pani tego nie robi. Jest tyle rzeczy, za które ja mógłbym się obwiniać, gdybym chciał. Ale, moim zdaniem, z takiej postawy nie wynika nic pożytecznego. Fakt, nieraz wymagałem od niego zbyt wiele. Próbowałem go zmusić do robienia tego, czego ja sobie życzyłem, nie zważając na jego zdanie. Widzę teraz, że źle czyniłem.

– Na pewno chciał pan być dobrym ojcem.

– A tak. Ale nie brak mi obiektywizmu i znam swoje wady. Potrafię być uparty i nieubłagany. Oczekiwałem, że po tym sezonie Buddy przejmie kierowanie moimi teatrzykami. Nie zgadzał się, mówił, że nie będzie miał dość doświadczenia. Ja zaś twierdziłem uparcie, że da sobie radę. Nigdy tego nie rozstrzygnęliśmy ostatecznie. No a teraz stało się, co się stało, i sprawa sama znalazła swoje rozstrzygnięcie: nie będzie zdolny do żadnej pracy przez długie miesiące.

– Tak mu współczuję – powiedziała.

– Chociaż być może obu nam to wyjdzie na dobre – rzekł z westchnieniem pan Phillips. – Chyba byłbym na niego zły, bo odczułbym to jako zawód z jego strony. A tym sposobem uniknęliśmy otwartego konfliktu.

Utkwiła w nim ciężkie spojrzenie.

– Muszę powiedzieć panu prawdę, panie Phillips. Buddy rozmawiał o tym ze mną. Uważam, że to on miał rację, a pan był w błędzie.

Przez moment patrzył na nią dość surowym, wzrokiem. Potem wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni.

– Podziwiam pani szczerłość. Cieszę się, że Buddy ma takich przyjaciół jak pani.

– On bardzo chce wybić się o własnych siłach. Sądzi, że wówczas będzie dla pana cenniejszym pracownikiem. I ma rację.

Stephen Phillips pokiwał głową. – Teraz rozumiem.

Spędzili w kawiarence jeszcze jakieś pół godziny, potem pan Phillips odwiózł ją na kwaterę. Obiecał, że spotka się z nią znowu za kolejnej swojej tutaj bytności, a ona zapewniła, że będzie codziennie odwiedzać Buddy’ego w szpitalu.

Helen czekała na nią w pokoju cała rozgorączkowana i z wypiekami na twarzy zarzuciła

ją pytaniami o Phillipsa.

– Jest właścicielem tych wszystkich teatrów – wzdychała bez przerwy, a jej ostatnie pytanie brzmiało: – I co, zaproponował ci pracę? – Nie – uśmiechnęła się Jennifer – ale zamierza napisać do takiego jednego znajomego z Bostonu, który być może będzie miał pracę dla ciebie i Randy’ego.

– Jezu, serio? Nie wierzę! – wykrzyknęła Helen i uściskała ją z radości.

Teraz przyszło Jennifer mierzyć się z codziennym teatralnym mozołem – spędzała na scenie całe ranki i wieczory, grając w jednej sztuce i przygotowując się do roli w następnej. Tim poświęcał jej wiele godzin, ćwicząc z nią, służąc jej radą, co było dla niej wielką pomocą, ale przecież nie umniejszało ogromu jej zadania. Dotrzymywała też słowa danego panu Phillipsowi i codziennie jeździła do Buddy’ego do szpitala. Próbowwała nawet odwiedzić Ruth, lecz nieznośna aktorka nie chciała jej widzieć.

Buddy był już w stanie z nią rozmawiać, opowiedziała mu więc, jak potraktowała ją Ruth. Buddy uśmiechnął się dobrodusznie i powiedział:

– Ja bym się tym na twoim miejscu nie przejmował.

O ile wiem, Roger nadal jej płaci i bierze na siebie wszystkie koszty leczenia. Ona stąd zresztą wyjdzie przed końcem tygodnia.

– Nie przypuszczam, by została w Kennebunkport? – spytała, raczej niż stwierdziła.

– Nie, nie po tym skandalu z prowadzeniem po pijanemu. Ludzie z tego drugiego samochodu wytaczają proces jej firmie ubezpieczeniowej.

– To była jej wina. Tak samo jak to, co stało się z tobą.

Zdobyl się na niewyraźny uśmiech. – Ze mną wszystko będzie w porządku, niech tylko zejść z tego wyciągu.

– Nie musisz się śpieszyć. Kiedy wraca ojciec?

– Z Nowego Jorku wyjedzie w przyszły piątek i będzie tu przed ostatnim przedstawieniem – odpowiedział, odradzając fakt, iż teatr bynajmniej nie wywietrzył mu z głowy.

Roześmiała się. – Przyjeżdża do ciebie, a nie na sztukę.

– A niby czemu nie miałby jej obejrzeć, skoro i tak tu będzie? A propos ojca: spodobałaś mu się.

– No to się cieszę.

– O, ja też – rzekł, krzywiąc się niemiłosiernie. – Jesteś bodaj pierwszą moją przyjaciółką, o której raczył się dobrze wyrazić.

Po premierze „Więźnia Drugiej Alei” nastał wreszcie dla Jennifer czas pewnego odprężenia. Najtrudniejsze miała za sobą, mogła nieco odsapnąć. Nie miała już więcej sztuk ani ról do nauki, wiadomo było, że teatr jakoś przetrwa ten ostatni tydzień i szczęśliwie dobieje do mety sezonu. Przyjemne to było uczucie.

Lecz nie z samych przyjemności świat się składa. Tak więc choć zarówno jej występ, jak i całe przedstawienie spotkały się z nader przychylnym odbiorem, nic nie mogło zmienić faktu, iż było to przedstawienie definitywnie ostatnie. Interesy teatru szły ledwie poprawnie, a pogoda była coraz chłodniejsza i słotna. Najlepsza część lata w Maine należała już do

przeszłości.

Roger zaś w końcu podał do publicznej wiadomości, że od przyszłego sezonu teatr w Kennebunkport przestanie inscenizować własnymi siłami i wystawiać będzie jedynie gotowe inscenizacje objazdowe. Prawie wszyscy przyjęli to z rozczarowaniem, aczkolwiek mało kto dawał to po sobie poznać. Dla Rogera zmiana ta nie miała w sobie nic z katastrofy czy dopustu bożego, była zwykłą życiową koniecznością: teatr po prostu nie mógł dalej działać po staremu – i Roger nie miał wyboru.

A jednak któregoś dnia poprosił Jennifer do siebie i oświadczył, iż ma zamiar urzeczywistnić pomysł Buddy'ego i utrzymać grupę stażystów, która w niedzielne wieczory dawałaby cotygodniowe przedstawienia. Dudley Moffet podobno ochoczo zgodził się zostać jednym z wykładowców, a jej samej Roger zaproponował pracę w charakterze reżysera.

Siedział za swym szerokim biurkiem i obserwował ją z zachęcającym uśmiechem.

– No i jak, co ty na to?

– Nie wiem.

– Planujesz w tym roku uczyć, prawda?

– Nawet tego nie jestem pewna.

– Cóż, miałem nadzieję, że przyjmiesz tę propozycję. W każdym razie oferta pozostaje aktualna, pamiętaj. Dlaczego właściwie nie masz ochoty na tę pracę?

– Myślę, że to już nie byłoby to samo. Teatr się zmienia. A prócz tego w tym projekcie brak miejsca dla Tima Moore'a.

– Tak – westchnął. – Przykro mi, ale dla niego miejsca nie ma.

– Przemyślę to – obiecała na koniec.

Będąc tego popołudnia w szpitalu u Buddy'ego, powiedziała mu o tej rozmowie.

– Cieszę się, że wprowadza w życie twój projekt – stwierdziła – ale chyba nie chcę w tym uczestniczyć.

– Jeśli stanę do tej pory na nogi, to będę tu pracował – oświadczył Buddy. – Dlaczego nie chcesz? Z powodu Tima?

– Chyba tak.

Buddy przypatrywał się jej ze szpitalnej poduszki.

– Nadal jesteś w nim zakochana?

– Bardzo mi na nim zależy.

– A mówił z tobą o przyszłości? Prosił cię o rękę?

– Nie.

– To skąd wiesz, co do ciebie czuje?

– Powtarzał mi chyba ze sto razy, że zależy mu na mnie.

Buddy uśmiechnął się krzywo. – A mnie na tobie. Chociaż na zdrowie mi to nie wychodzi.

Wzięła go za rękę. – Wiesz, że masz we mnie przyjaciółkę. Jesteśmy i zawsze będziemy przyjaciółmi, Buddy.

– Tak, tak – potaknął niechętnie. – Przyjaciółmi. Jesteśmy przyjaciółmi, jakich mało. I na tym koniec, kropka. A czy to moja wina, że chcę dla nas czegoś więcej?

Rumieniec oblał jej policzki. I znowu miała to znajome uczucie, że jest niełojalna wobec Tima.

– Przykro mi, Buddy. Jest już późno, muszę iść. Była już przy drzwiach, gdy Buddy zawołał:

– Pozdrów ode mnie Tima. Powiedz, że życzę mu powodzenia!

Jadąc do pensjonatu, miała w głowie i sercu zupełny mętlik. Twardo jednak sobie postanowiła, że zanim ten tydzień minie i wszyscy się rozjadą, musi dojść z Timem do jakiegoś porozumienia.

Tego wieczora wróciła ciepła pogoda z początku lata. Było bardzo przyjemnie, a po przedstawieniu Tim zaprosił ją do Leśnego Gniazda na późną przekąskę.

W drodze do tego oryginalnego domu wypoczynkowego Jennifer wzięła go na spytki.

– Ile razy odwiedziłeś Buddy’ego, Timie?

– Parę razy – odparł wymijająco.

– Uważasz, że to wystarczy?

– No, niezupełnie – przyznał. – Ale wiem, że czuje się lepiej, a ty jeździsz do niego dzień w dzień.

– Czeka go jeszcze długi pobyt w szpitalu i bardzo długa rekonwalescencja – przypomniała mu. – Wiesz, jak wolno mu tam biegnie czas. Bardzo lubi, kiedy się go odwiedza.

Tim przybrał skruszoną minę, ale nie spuszczał wzroku z jezdni. – Przepraszam – powiedział. – Nie omieszkam wpaść do niego przed wyjazdem.

– Koniecznie musisz – rzekła z naciskiem.

– Kiedy wraca jego ojciec?

– Jutro wieczorem. Będzie tu na ostatnim przedstawieniu.

– Tak, to koniec pewnej ery – odezwał się po chwili z ciężkim westchnieniem. Po raz pierwszy dało się u niego zauważyć uczucie smutku z powodu zmian w teatrze.

– Wiem – powiedziała, a w jej głosie było ubolewanie i zrozumienie. – Trudno uwierzyć, że cię tu w przyszłym roku nie będzie.

– Zasiedziałem się tutaj. – Uśmiechnął się gorzko. – Chyba powinienem był liczyć się z tym, że to się prędzej czy później skończy.

– Znajdziesz sobie inny teatr. Sam tak powiedziałaś.

– Pewnie tak – odrzekł, ale jakby bez przekonania. Zajechali na parking przy Leśnym Gnieździe. W hotelowym holu panował spory ruch, jak zwykle o tej porze roku. Fred Short siedział w recepcji, a jego czujne oczy zauważyły ich od razu. Rozpromienił się na widok Jennifer.

– Świetnie ci poszło w tej sztuce – powiedział, a potem zwrócił się z uśmiechem do Tima:

– Wyborny z was dwojga duet. Jaka szkoda, że nie możemy mieć nadziei na oglądanie was w przyszłym sezonie.

– Wygląda na to, że nic z tego – rzekł Tim, siląc się na niedbały ton.

– Szkoda, że wszystko się zmienia – podjął Fred. – Roger twierdzi jednak, że musi to zrobić, bo inaczej trzeba by było teatr zamknąć.

– A tego nikt z nas by nie chciał – dorzucił Tim. – To miejsce pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Przeżyłem tu jedno z najpiękniejszych chwil mojego życia.

Fred pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ja zaś będę żył nadzieją, że pewnego dnia tu wrócisz.

– Być może – rzekł Tim, a po jego ostentacyjnej wesołości nie było już śladu.

W hotelowej świetlicy znaleźli sobie stół, z którego mogli swobodnie wyglądać na zewnątrz i obserwować żeglujący nad oceanem księżyc. Nie jedli wiele, a po kilku chwilach wyszli na balkon, by pełniej nacieszyć oczy przepięknym widokiem.

– Fredowi najwyraźniej naprawdę żal, że cię tu już nie będzie – powiedziała, gdy stanęli u balustrady. – Jestem pewna, że tak jest z większością ludzi.

Tim popatrzył na nią z wątlym, wymuszonym uśmiechem.

– Zawsze to jakaś satysfakcja. Chociaż tyle. Czują, że nadszedł właściwy moment. – A co z nami?

– Z nami?

– Tak. Staliśmy się przecież sobie bardzo bliscy.

Wiesz, że cię kocham. Nie chcę, żebyśmy się rozstawali. Timie, wyjedźmy stąd razem!

Objął ją i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Wydaje ci się, że cię kocham. To dobrze, bo tak jest. W jej oczach zabłysły łzy radości. Wtuliła się w niego.

– Och, Timie!

Pocałował ją i mocno do siebie przycisnął.

– Nie zapomnij nigdy tej chwili. Ja ją zapamiętam na zawsze – rzekł cicho.

– Nie zapomnę – szepnęła. – I wyjedziemy razem, Timie. Prawda?

Zwolnił nieco uścisk, by spojrzeć jej znowu w oczy.

– Nie – powiedział. – Nic podobnego. To by wszystko popsulo. To, co w tobie kocham, to twoja młodość, twoje dwadzieścia jeden lat! Nie chcę tego zepsuć!

– Jestem dorosła i wiem, czego chcę! Chcę być z tobą!

– Dwadzieścia jeden lat – powtórzył, jakby w ogóle jej nie słyszał. – To cudowny, magiczny, rzekłbym, wiek. Powinnaś teraz żyć pełną piersią, Jennifer, wykorzystać każdy moment, z każdego wydusić tyle rozkoszy, ile się da!

– Timie! – usiłowała przywołać go do porządku. – Powiedziałaś, że mnie kochasz!

– Kocham cię taką, jaka jesteś – rzekł zupełnie spokojnie. – Nigdy bym się nie odważył, by cię zmieniać. Dlatego właśnie nie może być dla nas przyszłości. Nie mam ci nic do zaferowania, ani młodości, ani bezpieczeństwa. Nie rozumiesz?

Mocowała się z rozpaczą. – Rozumiem, że zrobiłam z siebie tego lata idiotkę! Chwył ją za ramiona.

– Nie mów tak! Nawet tak nie myśl! Nie daj się zjeść goryczy, Jenny, bo to przecież tylko jakiś tam koniec jakiegoś tam lata. Przed tobą jeszcze niejedno takie lato i wiele, wiele pięknych chwil.

– Może i tak. Ale nie będzie już ani jednego lata z tobą.

– Obawiam się, że nie.

Odwróciła się od niego. Stała tak chwilę, ze wzrokiem wbitym w ziemię, a potem oznajmiła:

– Chciałabym już wracać.

Całą drogę powrotną przejechali w zupełnym milczeniu. Kiedy jednak zatrzymał samochód pod pensjonatem, zanim wysiadła, znowu ją pocałował.

– Chcę, żebyś wiedziała, że było to dla mnie cudowne lato. Najwspanialsze w moim życiu, Jennifer!

Otworzyła gwałtownie drzwi samochodu i pobiegła do budynku. Błyskawicznie znalazła się na górze, w sypialni. Przebijając się do snu, starała się stłumić łkanie, aby nie obudzić Helen i Sybil. Nim zasnęła, jej poduszka była wilgotna od łez.

Jak przystało na taki smutny czas, ostatnie dwa dni były brzydkie i zimne. I jakoś te dni Jennifer z rozpędu przeleciały. Z Timem spotykała się nadal w pracy, za kulisami i na scenie. Zachowywał się wobec niej uprzejmie i życzliwie, ale wydawał się jej jakby dużo starszy i przygnieciony troskami. W rozmowach unikali wszelkich osobistych tematów.

Stephen Phillips przybył pod koniec tygodnia, aby odwiedzić Buddy'ego i zobaczyć sobotnie, ostatnie w sezonie przedstawienie. Z radością przyjęła jego wizytę w garderobie i zaproszenie do Kolonii.

W hotelowej restauracji nie zastali tłumów. Urlopowy szczyt w Kennebunkport już minął.

– Buddy ma się coraz lepiej – podzielił się wiadomością pan Phillips. – Za kilka tygodni wyślę go do naszego domu w Palm Beach. Tam będzie mógł spokojnie wracać do zdrowia, lekarz mówi nawet, że pływanie będzie dla niego świetną terapią. W przyszłym roku o tej porze Buddy powinien być już całkiem zdrowy.

– To znakomicie – powiedziała, siląc się na bycie towarzyską i zarazem wyczuwając, że jej wysiłki są daremne.

– A co u pani?

– Mam posadę nauczycielki w szkole dramatycznej koło Bostonu.

– Wspaniale! W takim razie będzie pani mogła widywać się ze swoimi przyjaciółmi, Helen i Randym. Wie pani już, że dostali kontrakt w Bostonie?

– Powiedzieli mi. Bardzo się ucieszyłam.

Akurat na salę weszła Sybil ze swoim narzeczonym. Uśmiechnęli się oboje, gdy spostrzegli Jennifer, i pomachali jej rękami, a potem poszli poszukać sobie stolika. Jennifer wytłumaczyła ojcu Buddy'ego, kim są.

– Kiedy pani wyjeżdża? – zapytał.

– W poniedziałek rano. Nie muszę się śpieszyć.

– Niech pani odwiedzi Buddy'ego przed wyjazdem – zasugerował. – Ja muszę jechać już jutro.

– Taki mam zamiar – rzekła z uśmiechem.

Następny dzień składał się niemal wyłącznie z pożegnań. Nim przyszedł poniedziałkowy rano i Jennifer była gotowa do wyjazdu, została w żółtym pensjonacie zupełnie sama, tylko z panią Thatcher za całe towarzystwo. Z samego rana rzuciła gospodyni „do widzenia” i wytoczyła się z tobołami na parking, gdzie stał jej samochodzik.

Tam złapał ją Roger, który podjechał pod pensjonat swym sportowym kabrioletem i wytknął głowę przez okienko.

– Cześć – zawołał.

Odwróciła się, przerywając układanie worków w bagażniku.

– Cześć – odpowiedziała słabo.

Na jego twarzy pokazał się szeroki uśmiech.

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy wrócisz tu za rok. Wzruszyła ramionami.

– Jeśli ta praca jest nadal do wzięcia, to ją biorę.

– Wyśmienicie – ucieszył się. – Dam ci znać listownie, kiedy ustalę wszystkie szczegóły.

Przy okazji: właśnie pożegnałem Tima. Prosił, żebym ci w jego imieniu powiedział do widzenia. I życzy ci wszystkiego dobrego w przyszłym roku.

– Dziękuję – burknęła. – Miło z jego strony. Roger spojrział na nią ze współczuciem, ale i pewną przyganą.

– W jego ustach zabrzmiałoby to o niebo lepiej. To facet z klasą.

– Tak. Z klasą – powtórzyła bezbarwnym głosem. Roger odjechał, a ona siadła za kierownicą własnego pojazdu i wyruszyła w długą drogę do Bostonu. Nie omieszkała jednak zahaczyć o biddefordzki szpital.

Buddy przywitał ją w pozycji siedzącej, wsparty na stosie poduszek i, jak się zdawało, w bardzo dobrym nastroju. Ostatnio jakoś stale dopisywał mu humor.

– No i już po sezonie – zaczął.

– Ano – bąknęła – już po. Spojrział na nią badawczo.

– Jesteś jakaś nie w sosie. Ciężko to przeżywasz? Napotkała jego wzrok. – Owszem.

– Tato mi mówił, że odniósł co do ciebie takie wrażenie. Współczuję ci. A co tam u Tima?

– Wrócił do Nowego Jorku.

– Tak jak mój ojciec. Aha, zdaje się, że powinienem ci o czymś powiedzieć: wykombinowałem ojcu reżysera. Wiesz, że liczył na mnie i nie chciał trzymać tego człowieka, który dla niego teraz pracuje. No więc doradziłem mu najlepszego kandydata, jakiego znam, i tato zamierza się niezwłocznie spotkać z jego agentem.

Było w jego głosie, gdy o tym opowiadał, coś szczególnego, co sprawiło, że ledwo z siebie wydusiła:

– Kto to jest?

– Tim Moore. – Buddy uśmiechnął się spod oka. – To pierwszorzędna robota, która może mu wiele dać. A Tim pokazał, że mógłby być dobrym reżyserem. Głowę daję, że mu się uda.

– Buddy! – wykrzyknęła radośnie, po czym z tej radości dość lekkomyślnie rzuciła mu się na szyję i mocno go ucałowała.

– Wolnego! – śmiał się. – Jestem jeszcze w gipsie.

– Przepraszam. I to w dodatku przeze mnie.

– Tylko że ja, jak by to powiedzieć, nawet się cieszę, że tak się stało. Tyle rzeczy się dzięki temu ułożyło. Planuję przyszłego lata przyjechać tu do pracy. A ty?

Skwapliwie potaknęła ruchem głowy.

– Ja też tu będę!

– Myślę, że stworzymy niezły zespół – uśmiechnął się.

– Na pewno, Buddy. Współ ze wszystkimi świeżymi stażystami.

Sięgnął nagle pod poduszkę. – Skoro planujemy być przyszłego lata razem, chciałbym, że tak powiem, nadać temu formalną oprawę. Poprosiłem niedawno ojca, żeby mi kupił największy diament, jaki znajdzie w Biddeford. Nie jest on wprawdzie aż taki wielki, ale byłbym szczęśliwy, gdybyś go ode mnie przyjęła.

– Buddy! – wykrzyknęła na widok pierścionka z olbrzymim diamentem, który Buddy podał jej na dłoni.

– No i co? – spytał. – Zgoda?

Patrzyła szeroko otwartymi oczyma to na Buddy'ego, to na pierścionek. Słowa uwięzły jej gdzieś w gardle pod wpływem wzruszenia i zaskoczenia. Skinęła więc tylko głową i wyciągnęła palec, by mógł jej pierścionek nałożyć. A potem złączyli się w długim i nabrzmiałym znaczeniem, choć bardzo nieformalnym uścisku.

I stało się dla niej nagle jasne, że nie warto żałować tego lata. Nic to, że lato się kończy, kiedy oto rodzi się coś dalece ważniejszego: miłość nowa i nowe szczęście, źródło siły i radości na przyszłe lata i zimy długie, lecz już niestraszne.